

Człowiek, który pomalował smoka Griaule'a

„Poza kolekcją Sichiego jedyne zachowane prace Cattanaya znajdują się w galerii miejskiej w Regensburgu. Można obejrzeć tam zespół ośmiu obrazów olejnych, wśród których najbardziej znanym jest „Kobieta z pomarańczami”. Jest to część studenckiej wystawy malarza, zorganizowanej na kilka tygodni przed jego wyjazdem z rodzinnego miasta i udaniem się na południe do Teocinte, gdzie przedłożył pewną propozycję ojcom grodu. Jest mało prawdopodobne, że kiedykolwiek dowiedział się o dalszych losach swoich prac, a jeszcze mniej, że wiedział o powszechnej obojętności krytyki, z jaką się spotkały. Zapewne dla współczesnych uczonych obrazem najbardziej ciekawym i nawiązującym do jego późniejszych zainteresowań jest „Autoportret”, namalowany w wieku dwudziestu ośmiu lat, na rok przed odejściem. Większa część płótna pokryta jest grubo zawerniksowaną czernią, w której dostrzegamy niewyraźne, ledwo widoczne kształty desek podłogowych. Czerń przekreślają dwie złote, nieregularne smugi, a poza nimi widzimy kawałek szczupłego oblicza artysty i część ramienia. Perspektywa obrazu sprawia, że wydaje nam się, jakbyśmy patrzyli na malarza z góry, być może przez szczelinę w dachu, on zaś spogląda w naszą stronę, mrużąc oczy przed światłem, z ustami wykrzywionymi w grymasie napięcia i skupienia. Przy pierwszym kontakcie z obrazem uderzyła mnie promieniująca z niego atmosfera napięcia. Odnosi się wrażenie, że podglądamy człowieka uwięzionego w ciemności przez dwa złote pręty, dręczonego możliwościami, jakie daje światło z drugiej strony murów. Można też odnieść wrażenie, że uwięzienie to artysta sam sobie narzucił. Choć z łatwością mógłby się z niego wydostać, wie, że ograniczenie stanowi niezbędną pożywkę jego ambicji i dlatego też przymusił się do tego żmudnego i całkowicie irracjonalnego zadania percepcyjnego...

dr fil. Reade Holland

„Meric Cattany. Polityka wyobrażenia”

W 1853 roku, w kraju położonym daleko na południu i w świecie oddzielonym od naszego minimalną granicą prawdopodobieństwa, smok zwany Griaule panował nad Doliną Carbonales, żyzną okolicą znaną z produkcji indygo, wyrobów ze srebra i mahoniu. Stolicą prowincji było miasto Teocinte. W owych latach żyły jeszcze inne smoki, zamieszkujące przede wszystkim skaliste wysepki na zachód od Patagonii. Były to jednak maleńkie, skore do gniewu stworzonka, z których największe mogło posłużyć najwyżej na jeden kęs. Griaule jednak był jedną z tych wielkich bestii, które władały przez stulecia. Wyrósł do takich rozmiarów, że liczył sobie 750 stóp wysokości w kłębie i 6000 stóp długości od końca ogona do czubka pyska. (Należy tu podkreślić, że przyrost rozmiarów smoków nie wypływa z ilości spożywanych kalorii, lecz wchłaniania energii wynikającej z upływu czasu). Gdyby nie źle rzucone zaklęcie, Griaule padłby przed tysiącletkami. Czarownik, któremu powierzono zadanie zabicia smoka, wiedząc, że życie jego zagrożone jest powstałym w tej sytuacji magicznym zawirowaniem, w ostatniej sekundzie poczuł lęk. Zaklęcie pozbawione tej maleńkiej cząstki odwagi chybiło o fatalny cal. Gdzie podział się czarownik, nie wiadomo, ale Griaule pozostał żywy. Jego serce zatrzymało się, oddech ustał, ale umysł kipiał energią i spływał pianą ponurych wibracji, które zniewalały wszystkich przebywających wystarczająco długo w ich zasięgu. Panowanie Griaule'a było czymś nieuchwytnym. Ludzie z doliny przypisywali swój trudny charakter wieloletniemu przebywaniu w jego psychicznym cieniu, ale przecież istnieją i inne lokalne społeczności, które niechętnie odnoszą się do otaczającego świata, choć nie posiadają smoka, na którego mogą zrzucić odpowiedzialność. Również częste najazdy na okoliczne państwa mieszkańcy doliny przypisują oddziaływaniu Griaule'a, twierdząc, że w głębi duszy są narodem miłującym pokój. Ale z drugiej strony, czyż i to nie leży w ludzkiej

naturze? Pomimo niewygasającej oferty, gwarantującej całą fortunę w srebrze każdemu, kto by zabił smoka, nikomu do tej pory się to nie udało i to, być może, stanowi najbardziej wiarygodny dowód władzy Griaule'a. Próbowano setek sposobów i wszystkie zawiodły. Jedne ze względu na głupotę, inne na niepraktyczność. Archiwa Teocinte pełne są projektów zakrojonych na ogromną skalę. Opisywano mieczy poruszanych siłą pary i innych, równie nieprawdopodobnych urządzeń. Zaś wszyscy autorzy owych planów pozostali w dolinie zbyt długo i stali się częścią mizantropijnej społeczności. Powtarzał się zawsze ten sam wzór. Przybywali, potem próbowali odejść, ale zawsze wracali, nie potrafili oderwać się od doliny. Aż wreszcie wiosną 1853 roku przybył Meric Cattanay i zaproponował pomalowanie smoka.

Był to kościsty, młody człowiek ze strzechą czarnych włosów i zapadniętymi policzkami. Nosił luźne spodnie i chłopską koszulę. Machał rękami, by podkreślić to, o czym właśnie mówił. Gdy słuchał, jego oczy rozszerzały się jakby spływało nań olśnienie. Plótł coś chaotycznie o „konceptualnym przedstawieniu śmierci przez sztukę”. I choć ojcowie miasta nie byli tego pewni, choć dopuszczali możliwość, że po prostu taki jest jego styl bycia, odnosili wrażenie, że malarz się z nich naigrywa. Ogólnie rzecz biorąc, nie był to typ człowieka, któremu skłonni byłiby zaufać. Ponieważ jednak przybył wyposażony w olbrzymią ilość wykresów i szkiców, zmuszeni byli rozważyć poważnie jego propozycję.

- Nie wierzę, by Griaule był w stanie dostrzec zagrożenie w czymś tak subtelnym jak sztuka - oznajmił im Meric. - Udając, że chcemy go ozdobić, zatrujemy smoka farbą. Ojcowie miasta dali wyraz swemu niedowierzaniu i Meric z niecierpliwością czekał, by się uciszyli. Wcale nie bawiło go prowadzenie rozmów z tymi poczciwcami. Siedzieli z kwaśnymi minami przy długim stole, a wielka smuga sadzy na ścianie nad ich głowami wyglądała jak ucieleśnienie ich wspólnych, paskudnych myśli. Przypominali mu gildię handlarzy winem w Regensburgu, gdy ta odrzucała namalowany przez niego portret grupowy.

- Farba może być zabójcza - oznajmił, kiedy ucichły już ich szepty. - Weźmy na przykład zieleń werońską. Otrzymuje się ją z tlenku chromu i baru. Wystarczy choć trochę jej powąchać, by zemdleć. Musimy jednak potraktować to poważnie, stworzyć prawdziwe dzieło sztuki. Gdybyśmy po prostu smarowali farbą jego boki, mógłby przejrzeć nasze intencje.

Pierwszym etapem - oznajmił im - będzie wybudowanie wieży z rusztowań, wraz z wyciągami i drabinami, która zostanie oparta o kość nad oczodołem smoka. Zapewni to bezpośredni dostęp do liczącej siedemset stóp kwadratowych platformy przeładunkowej i głównego stanowiska, mieszczącego się za okiem. Według jego obliczeń, do wykonania tej konstrukcji niezbędne będzie osiemdziesiąt jeden tysięcy stóp tarcicy i dziewięćdziesięciu ludzi zdoła ukończyć prace budowlane w ciągu pięciu miesięcy. Ekipy znajdujące się na ziemi, którym towarzyszyć będą chemicy i geolodzy, zajmą się poszukiwaniami złóż wapienia (przydatnego do zagruntowania łusek) oraz źródeł materiałów pigmentacyjnych, zarówno pochodzenia organicznego, jak i mineralnego, takich jak lazuryt czy hematyt. Inne zespoły zostaną wyznaczone do oczyszczania smoczyczych łusek z porostów, złuszczonej skóry i produktów rozkładu, a następnie pokryją je warstwą żywicy. - Łatwiej byłoby wybielić je niegaszonym wapnem - powiedział. - Jednak w ten sposób zlikwidowalibyśmy rozbarwienia i smugi wywołane wiekiem, a one będą podstawą naszej pracy. Wszystko inne wyglądałoby jak jakiś cholerny tatuaż.

Potrzebne były również kadzie do przechowywania farby i maszyny: kruszarki do oddzielania pigmentów od rudy, młyny kulowe do ich rozdrabniania, mieszkarki do łączenia z olejem. A także kotły i prażalniki - wielkie piece wykorzystywane do produkcji wapna gaszonego stosowanego do produkcji roztworów uszczelniających.

- Aby ułatwić dostęp do maszyn, większość z nich postawimy na czubku głowy smoka - powiedział. - Na kości czołowej. - Sprawdził kilka cyfr. - Według moich obliczeń ma ona około 350 stóp szerokości. Powinno chyba się zgadzać. Większość ojców miasta siedziała oszołomiona

kreślonymi przed nimi perspektywami, ale jeden z nich zdołał skinąć potakująco głową, drugi zaś zapytał:

- Jak długo będzie jeszcze żył?

- Trudno przewidzieć - padła odpowiedź. - Któż wie, jak wiele trucizny jest w stanie wchłonąć. Może kilka lat. Ale w najgorszym przypadku w przeciągu czterdziestu, no pięćdziesięciu lat przez łuski przesączy się wystarczająco dużo trucizny, by osłabić szkielet, a wtedy rozpadnie się jak stara szopa.

- Czterdzieści lat! - zawołał ktoś z obecnych. - Ależ to absurd!

- Może pięćdziesiąt - uśmiechnął się Meric. - Dzięki temu zdążymy ukończyć malowidło.

Odwrócił się, podszedł do okna i stanął przy nim patrząc na białe, kamienne domy Teocinte. Zorientował się, że zamierzają robić mu trudności, ale jeżeli oceniał ich właściwie, nie uwierzyliby w ten plan, gdyby wyglądał na prosty. Musieli czuć, że ponoszą ofiarę, że szlachetność zobowiązuje ich do wielkich czynów.

- Jeżeli zajmie to czterdzieści czy pięćdziesiąt lat - oznajmił - projekt wyczerpie wszystkie wasze zasoby. Drewno, zwierzęta, minerały. Wasze życie ulegnie całkowitej zmianie. Ale gwarantuję, że się go pozbędziecie. Ojcowie miasta wybuchnęli pełnym oburzenia gwarem. - Czy naprawdę chcecie go zabić? - zawołał Meric podchodząc do stołu i opierając pięści o blat. - Przez wieki czekaliście na kogoś, kto przyjdzie i odrąbie mu głowę albo zamieni go w kłęb dymu. Ale tak się nie stało! Nie ma łatwego rozwiązania. Istnieje jednak praktyczne i eleganckie wyjście. Wykorzystać do zniszczenia smoka produkty kraju, którym włada. To nie będzie łatwe, ale pozbędziecie się go na pewno! A tego przecież chcecie, prawda?

Umilkli, wymieniając między sobą spojrzenia i Meric spostrzegł, że zaczynali wierzyć, iż zdoła wykonać to, co proponuje i zastanawiają się teraz, czy cena nie będzie zbyt wysoka.

- By wynająć inżynierów i rzemieślników, będę potrzebował pięciuset uncji srebra - dodał. - Przemyslcie to. Daję wam kilka dni. Pojadę obejrzeć tego waszego smoka... sprawdzę łuski i tak dalej. Gdy wrócę, udzielicie mi odpowiedzi.

Ojcowie miasta zaczęli pomrukiwać i drapać się po głowach, wreszcie jednak zgodzili się przedstawić zagadnienie ogółowi obywateli. Poprosili o tydzień na podjęcie decyzji i polecili Jarcke, burmistrzynie Hangtown, żeby zaprowadziła Merica do Griaule'a.

Dolina ciągnęła się pięćdziesiąt mil z północy na południe i otoczona była pokrytymi dżunglą wzgórzami, których pofałdowane stoki i grzebieniaste wierzchołki przywoływały w wyobraźni obraz śpiących pod nimi bestii. Na dnie doliny znajdowały się pola uprawne bananów, trzciny cukrowej i melonów, tam zaś gdzie ziemia leżała odłogiem, widniały kępy palm, zarośla jeżyn i pełniące gdzieś tam posępną wartość pojedyncze, wielkie figowce. Jarcke i Meric oddaliwszy się o pół godziny jazdy od miasta, spętali konie i ruszyli pod górę łagodnym zboczem prowadzącym do przesmyku między dwoma wzgórzami. Po przebyciu jednej trzeciej drogi spocony i zadyszany Meric zatrzymał się. Jarcke podążała jednak dalej, nieświadoma, że idzie już sama. Z natury była równie toporna jak jej nazwisko. Krępa jak beczułka do piwa o ogorzalej, brunatnej twarzy. Choć sprawiała wrażenie starszej o dziesięć lat od Merica, była jednak w tym samym wieku. Ubrana w szarą suknię, ściągniętą w talii skórzanym pasem, za który zatknęła cztery noże, przez ramię przewieszony miała zwój liny.

- Jak daleko jeszcze? - zawołał Meric.

Odwróciła się i uniosła brwi. - Stoisz na jego ogonie.

Cała reszta jest za tym wzgórzem.

Meric poczuł nagły chłód w dole brzucha i spojrzął w dół, na trawę, jakby oczekiwał, że zniknie ona nagle, odsłaniając lśniące łuski.

- Dlaczego nie wzięliśmy koni? - zapytał.

- Nie lubią tego miejsca - mruknęła z rozbawieniem w głosie. - Podobnie zresztą jak większość ludzi. - Ruszyła dalej.

Po następnych dwudziestu minutach marszu znaleźli się po drugiej stronie wzgórza, wysoko ponad dnem doliny. Stok w dalszym ciągu biegł ku górze, ale już nie tak stromo. Z gęstych zarośli dzikich wiśni wyrastały koślawe, karłowate dęby, w trawach brzęczały owady. Mogło się wydawać, że idą po naturalnej półce o szerokości kilkuset stóp, ale przed nimi, w miejscu gdzie teren wznosił się gwałtownie, wyrastało nagle z ziemi kilka grubych, zielonkawych kolumn. Między nimi zwisały skórzaste draperie inkrustowane bryłami gliny i pokryte arabeskami pleśni. Wyglądały jak przewrócony częstokół i przywodziły na myśl nawiedzane przez duchy starodawne ruiny.

- To są skrzydła - wyjaśniła Jarcke. - Większa ich część jest przykryta ziemią, ale jeżeli wychylisz się poza krawędź, możesz je sobie obejrzyć. A koło Hangtown są miejsca, w których można pod nie wejść... Ale nie radziłabym.

- Chciałbym je obejrzyć spoza krawędzi - rzekł Meric, nie mogąc oderwać spojrzenia od skrzydeł. Choć powierzchnie liści błyszcząły w ostrym słońcu, skrzydła wydawały się pochłaniać światło, jakby wiek i obcość pozbawiały je zdolności odbijania.

Jarcke zaprowadziła go na przesiekę, na której tłoczyły się obok siebie dęby i drzewiaste paprocie rzucając zielony cień. Ziemia w tym miejscu opadała gwałtownie w dół. Jarcke uwiązała jeden koniec liny do pnia dębu, drugim zaś opasała Merica.

- Szarpnij, gdy będziesz chciał się zatrzymać, a drugi raz, kiedy będziesz chciał, żeby wyciągnąć cię na górę - powiedziała i zaczęła luzować linę, która napinając się pozwoliła mu bezpiecznie cofać się w dół zbocza. Paprocie łaskotały Merica w kark, gdy przeciskał się przez zarośla, a liście dębu drapały policzki. Nagle wydostał się na jasne światło słoneczne. Spojrzął w dół i zobaczył, że jego stopy spoczęły na zgięciu smoczego skrzydła, a gdy popatrzył do góry, ujrzał skrzydło pokryte opończą ziemi i roślinności. Pozwolił, by Jarcke opuściła go jeszcze kilka stóp, a potem szarpnął linę i spojrzął na północ, wzdłuż gigantycznej wypukłości boku Griaule'a. Bok miał kształt sześciokątów o średnicy trzydziestu stóp i wysokości połowy średnicy. Dominowała na nich barwa bladego, zielonkawego złota, ale niektóre łuski zbieleły i pokrywały je płachty obumarłej, łuszczącej się skóry. Inne porosły zielonkawymi mchami, a na pozostałych liszaje porostów i pleśni utworzyły arabeski przypominające znaki węzowego alfabetu. W szczelinach gnieździły się ptaki, a z oddzielających je szpar wystrzelały tysiące paproci, kołyszące się pod uderzeniami wiatru. Był to wielki, wiszący ogród, którego rozmiary zapierały Mericowi dech w piersi. Przypominał obłą powierzchnię jakiegoś przedpotopowego księżycy. Świadomość wieków, które odłożyły się słojami na tych łuskach, wywoływała zawrót głowy i nagle Meric zorientował się, że patrzy jak zahipnotyzowany. Mógł tylko wlepić wzrok w rozpościerającą się przed nim panoramę i czuł jak jego dusza drży uświadamiając sobie nagle ponadczasowość i rozmiary stworzenia, do którego był przylepiony jak mucha. Utracił poczucie perspektywy - bok Griaule'a był większy niż niebo, posiadał swoją własną, potężną siłę przyciągania i malarzowi wydawało się, że bez trudu może po nim się poruszać, nie bojąc się upadku. Spróbował to zrobić, ale Jarcke, niewłaściwie interpretując szarpnięcie liny jako umówiony sygnał, podciągnęła go po skrzydle do góry, przez błoto i paprocie, z powrotem na przesiekę. Leżał u stóp Jarcke nie mogąc wykrztusić słowa, łapiąc spazmatycznie powietrze.

- Duży, co? - powiedziała i uśmiechnęła się.

Kiedy Meric odzyskał wreszcie władzę w nogach, wyruszyli w stronę Hangtown. Nie zdołali jednak przejść nawet stu kroków ścieżką wijącą się przez zarośla, gdy Jarcke wyszarpnęła nagle

nóż i cisnęła nim w zwierzę o rozmiarach szopa, które nagle wyskoczyło tuż przed nimi z krzaków. - Psykacz - wyjaśniła klękając przy nim i wyciągając ostrze z jego karku. - Nazywamy je tak, bo syczą w czasie biegu. Żywią się węzami, ale potrafią pożreć i dziecko. Meric kucnął obok niej. Tułów psykacza pokryty był krótką, czarną sierścią, głowę jednak miał nagą, trupio bladą i o pomarszczonej, jakby zbyt długo trzymanej w wodzie skórze. Pysk miał krótkonosy, o zezowatych ślepiach i nieproporcjonalnie wielkich szczękach, które otwierały się szeroko, odsłaniając paskudną kolekcję zębów. - To smocze pasożyty - oznajmiła Jarcke. - Zazwyczaj żyją w jego tyłku. - Przycisnęła łapę. Wysunęły się z niej hakowate pazury. - Wiszą przy krawędzi i atakują inne pasożyty, które się tam zablakają. A jeżeli nic się nie nawinie... - wyciągnęła nożem język zwierzęcia. Jego powierzchnia była pokryta sterczącymi wyrostkami jak ostrze pilnika-zdzieraka. - Wtedy na kolację wylizują Griaule'a do czysta.

W Teocinte smok wydawał się Mericowi czymś nieomal zwykłym - ot, zwyczajną, dużą jaszczurką, w której tliło się życie, kołatały resztki przytępionych zmysłów. Zaczynał jednak podejrzewać, że owo tłące się życie jest o wiele bardziej złożone niż to, z czym się do tej pory stykał. - Moja babcia mówiła - ciągnęła Jarcke - że stare smoki w mgnieniu oka potrafiły wzbiec się do słońca i przedostać do swojego starego świata, a kiedy wracały, przynosiły ze sobą pasożyty i całą resztę. Babcia mówiła, że smoki są nieśmiertelne. I że przylatują tu tylko młode, bowiem potem stają się zbyt wielkie, żeby wędrować na Ziemię. - Zrobiła kwaśną minę. - Na dobrą sprawę nie wiem, czy w to wierzę.

- A więc jesteś głupia - stwierdził Meric.

Jarcke spojrzała na niego, a jej dłoń drgnęła w stronę zatkniętego za pasem noża.

- Jak możesz mieszkać tu i n i e w i e r z y ć?! - rzekł, sam zaskoczony zapalem, z jakim bronił mitu. - Boże! To przecież... - urwał dostrzegając przelotny uśmiech na jej twarzy.

Cmoknęła, najwidoczniej z czegoś zadowolona. - Ruszajmy - rzekła. - Chciałabym się znaleźć przed zachodem słońca przy oku.

Szczyty złożonych skrzydeł Griaule'a porośnięte całkowicie trawą, krzewami i karłowatymi drzewami przypominały dwa spiczaste wzgórza rzucające cień na Hangtown i wąskie jezioro, wokół którego rozłożyło się miasto. Woda w jeziorze pochodziła ze strumienia spływającego ze wzgórza za smokiem. Przesączała się przez błony skrzydeł i ciekła po jego barkach. Jarcke powiedziała Mericowi, że pod skrzydłami jest pięknie. Paprocie i wodospady. Ale jednocześnie uważano, że jest to złe miejsce. Z oddali miasto wyglądało malowniczo - wiejskie chaty, dymiące kominy. Kiedy jednak znaleźli się bliżej, chaty okazały się nędznymi chałupami z wybitymi oknami i ścianami, w których brakowało desek. Na płyciznach jeziora unosiły się mydliny, śmieci i odchody. Poza paroma mężczyznami wałkującymi się na werandach, którzy zezowali na Merica i posepnie kłaniali się Jarcke, na ulicy nie było nikogo. Zdźbła trawy kołysały się na wietrze, pająki biegały pod chałupami. Wokół panował nastrój apatii i ruiny.

Jarcke sprawiała wrażenie zakłopotanej wyglądem miasta. Nie próbowała przedstawiać Merica mieszkańcom i zatrzymała się jedynie po to, aby z jednej z chałup wziąć nowy zwój liny. Gdy szli między skrzydłami, przez kolce sterczące na karku - las zielonozłotych igieł płonących w poświacie zachodzącego słońca - wyjaśniła, w jaki sposób dzięki Griaule'owi mieszkańcy miasta zarabiają na życie. Zioła zbierane na jego grzbiecie były cennymi surowcami przy sporządzaniu leków i magicznych napojów, podobnie jak złuszczone, obumarła skóra. Przedmioty pozostawione przez dawne pokolenia mieszkańców Hangtown dla rozmaitych zbieraczy przedstawiały również pewną wartość. - Są też łowcy łusek - powiedziała z niesmakiem. - Henry Sichi z Port Chantay płaci dobre pieniądze za kawałki łusek i choć przynosi to pecha, niektórzy nawet odłupują te obłuzowane. - W milczeniu zrobiła kilka kroków. - Ale są inni, którzy mają więcej powodów, żeby tu mieszkać. Przedni kolec nad okiem Griaule'a był skręcony spiralnie u podstawy, jak róg

narwała i odgięty do tyłu, w stronę skrzydeł. Jarcke umocowała liny do wywierconych w kolcu otworów, obwiązała jedną Merica, a drugą opasała się sama. Kazała mu czekać, a potem zniknęła za krawędzią. Po chwili zawołała, że może schodzić. Po raz wtóry w czasie schodzenia poczuł zawrót głowy. Dostrzegł daleko w dole pazurzystą łapę, omszałe kły sterczące z niewiarygodnie długiej szczęki, a potem zaczął obracać się i uderzać o łuski. Jarcke schwyciła go i pomogła usiąść na brzegu oczodołu.

- Do licha! - zawołała uderzając obcasem.

Liczący trzy stopy długości fragment sąsiedniej łuski odsunął się nieco. Meric przyjrzał mu się bliżej i dostrzegł, że choć pod względem faktury i odcienia zupełnie nie różni się od łuski, to jednak istnieje cienka jak włos szczelina oddzielająca go od podłoża. Jarcke z twarzą wykrzywioną obrzydzeniem nękała to stworzenie do chwili, kiedy nie znalazło się poza jej zasięgiem. - Nazywamy je płatkami - wyjaśniła, gdy zapytał ją, co to było. - To rodzaj owadów. Mają długi ryjek, który wsuwają między łuski i wysysają krew. Widzisz tam? - wskazała stado ptaków kołujące tuż przy boku Griaule'a. Okruch bladego złota oderwał się i spadł w dół, na dno doliny. - Ptaki polują na nie. Upuszczają je, żeby pękły, i wyjadają ze środka. - Kucnęła przy nim i po chwili zadała pytanie: - Czy rzeczywiście uważasz, że to się uda? - Co? Czy zabiję smoka?

Skinęła głową.

- Oczywiście - odparł, a potem dodał, całkowicie mijając się z prawdą. - Przez całe lata pracowałem nad tą metodą. - Skoro cała farba będzie się znajdowała na czubku jego głowy, to jak dostarczysz ją do miejsca, które ma być pomalowane?

- To żaden problem. Prześlemy ją rurami tam, gdzie będą potrzebne.

Skinęła ponownie głową. - Jesteś sprytnym facetem - powiedziała, a kiedy zadowolony Meric już chciał podziękować jej za komplement, rzekła, nie dopuszczając go do głosu: - To zresztą nie twoja zasługa. Spryt to po prostu coś, co człowiek ma. Na przykład wysoki wzrost. - Odwróciła się przerywając dalszą rozmowę.

Merik był zbyt zmęczony, by poczuć zaskoczenie, ale nawet w tej sytuacji oko wprawiło go w podziw. Oceniał, że miało siedemdziesiąt stóp długości i pięćdziesiąt wysokości. Przykrywała je nieprzezroczysta błona, która wyjątkowo była wolna od mchów i porostów. Połyskiwała niewyraźnymi migotaniem prześwitujących przez nią barw. Gdy chyłące się ku zachodowi słońce poczerwieniało i skryło się za dwoma odległymi wzgórzami, błona zaczęła drżeć, a potem rozdzieliła się pośrodku. Z majestatyczną powolnością teatralnej kurtyny jej połówki rozsunęły się odsłaniając płonąca tęczę. Meric, przerażony na samą myśl, że Griaule może go zobaczyć, zerwał się na równe nogi, ale Jarcke powstrzymała go.

- Siedź spokojnie i patrz - powiedziała.

Nie miał wyboru - oko oddziaływało na niego z magnetyczną siłą. W pionowej, wąskiej źrenicy widniała tylko bezkształtna czern, ale tęczę... nigdy dotąd nie spotkał takich pałających błękitów, purpury i złota. To co początkowo sprawiało wrażenie niewyraźnych połysków, dziwnych refleksów zachodzącego słońca, było, jak sobie uświadomił, jakąś reakcją na światło. Bajeczne pierścienie powstawały głęboko na dnie oka, pęczniały w wypełnione szprychami koła, wypełniały tęczę i gasły - ale zaraz po chwili pojawiały się następne i następne. Czuł napór spojrzenia Griaule'a, jego odwiecznego przenikającego umysłu i jakby w odpowiedzi w jego myślach zaczęły rozwijać się wspomnienia. Wyjątkowo wyraźne. Przypomniał sobie, w jaki sposób zamarała w misce zimową nocą woda, w której płucał pędzle - delikatny, spękany kwiat o barwie zgaszonej ochry. Archipelag skórek pomarańczowych, rozrzuconych przez dziewczynę na podłodze pracowni. Chwila, gdy sporządzał o świcie szkic na szczycie wzgórza Jokenam - pokryte śniegiem dachy Regensburga pochylone pod rozmaitymi kątami jak połamane płyty chodnika i

srebrne strzały słońca przebijające się przez ołowiane chmury. Odnosił wrażenie, jakby wszystko to zostało specjalnie przywołane, by się z nimi ponownie zapoznać. A potem zostały usunięte przez coś, co również wydawało się wspomnieniem, choć było jednocześnie czymś całkowicie nieznanym. Widział pejzaż światła, przez który się przedzierał - do góry i w dół. Graniastosłupy i siatki mieniącego się światła rozwijały się wokół niego i wszystko stało się przepelnionym grzotem upadkiem w jasność, aż wreszcie dotarł do serca białego żaru czując, jak jego własne serce pęcznieje z dumy, radując się swą mocą i władzą.

Był już zmierzch, gdy Meric wreszcie uświadomił sobie, że oko się zamknęło. Usta miał bezmyślnie otwarte, oczy go piekły, język przylepił się do podniebienia. Jarcke siedziała bez ruchu, skryta w cieniu.

- Tt... - musiał przełknąć ślinę, by uwolnić gardło z flegmy. - To dlatego tu mieszkasz, prawda?

- Powiedzmy - odparła. - Mogę tu dostrzec rzeczy, które mają się zdarzyć. Rzeczy, na które trzeba uważać, które należy poznać.

Wstała, podeszła do krawędzi oczodołu i splunęła w dół. Za nią rozciągała się dolina, szara i nierealna. Szczyty wzgórz były ledwo dostrzegalne w gęstniejącym mroku. - Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała.

Tydzień później, po wielu dalszych badaniach i rozmowach, zeszli do Teocinte. Miasto było w opłakanym stanie - porozbijane okna, hasła wypisane na murach, ulice zaśmieczone szkłem, zerwanymi transparentami i odpadkami żywności. Wyglądało to tak, jakby odbyło się tu jakieś święto i bitwa. I tak w istocie było. Ojcowie miasta spotkali Merica w ratuszu i oznajmili mu, że jego plany zostały przyjęte. Przekazali mu kufier, w którym znajdowało się pięćset uncji srebra i powiedzieli, że wszelkie zasoby społeczności miasta są do jego dyspozycji. Zaproponowali mu wóz z zaprzęgiem na podróż wraz z kufrem do Regensburga i zapytali, czy w czasie jego nieobecności można będzie przystąpić do prac przygotowawczych.

Meric uniósł jedną srebrną sztabkę. W jej chłodnym połysku dostrzegł obiekt swego pożądanego - dwa, może trzy lata wolności, bez potrzeby przyjmowania zamówień. Czas na malowanie tego, na co ma ochotę. Wszystko to jednak wydało mu się teraz nieważne. Zerknął na Jarcke. Wyglądała przez okno, pozostawiając decyzję jemu. Odłożył sztabkę z powrotem do kufra i zatrzasnął wieko.

- Będziecie musieli wysłać kogoś innego - oświadczył. A potem, gdy ojcowie miasta spojrzeli po sobie pytająco, zaczął się śmiać.

Śmiał się z tego, że tak łatwo odrzucił wszystkie swoje marzenia i plany.

... Minęło jedenaście lat od chwili, gdy byłem w dolinie, dwanaście zaś od momentu, kiedy rozpoczęto prace malarskie. Tak dużo się zmieniło. Wzgórza stoją brązowe i łyse, nie napotyka się prawie dzikich zwierząt. Oczywiście, najbardziej zmienił się Griaule. Z jego grzbietu zwisają rusztowania, zawieszani na pajęczynie lin rzemieślnicy pełzają po jego bokach i wszystkie łuski, nad którymi miano pracować, są zamalowane bądź zagruntowane. Na wznoszącej się w kierunku oka wieży kłębią się robotnicy, a w nocy piece wapienne i kotły na czubku głowy strzelają płomieniami w niebo, przypominając o tych podniebnych warsztatach. Koło łap Griaule'a rozciąga się nieporządne kłębowisko ruder zamieszkanego przez prostytutki, robotników, szulerów, nicponiów wszelkiego rodzaju i żołnierzy. Uciążliwości związane z projektem skłoniły ojców miasta Teocinte do powołania regularnej armii, która regularnie grabi sąsiednie państwa i utrzymuje siły okupacyjne w niektórych regionach. Stada przerażonych zwierząt kłębią się w zagrodach rzeźni w oczekiwaniu na przerobienie ich na tłuszcze i barwniki. Wozy wypełnione rudą i produktami roślinnymi turkocą po ulicach. Ja sam przewiozłem ładunek korzeni marzanny, z których otrzymywano różowy barwnik.

Niełatwo było spotkać się z Cattanayem. Gdy nie zajmował się malowaniem, przebywał w biurze, naradzając się z inżynierami i rzemieślnikami albo kupcami. Kiedy wreszcie się z nim zobaczyłem, przekonałem się, że zmienił się równie silnie jak Griaule. Włosy mu posiwiały, twarz pobruździły głębokie zmarszczki, w połowie jego prawego ramienia widniała dziwna wypukłość - rezultat upadku. Rozbawiło go, że chcę kupić malowidło, zebrać łuski po śmierci Griaule'a i nie przypuszczam, żeby potraktował mnie poważnie. Ale Jarcke, jego stała towarzyszką, poinformowała go, że jestem szanowanym człowiekiem interesu, że skupowałem już kości, zęby, a nawet ziemię spod brzucha Griaule'a (którą sprzedawałem, jako posiadającą magiczne właściwości). - No cóż - powiedział Cattanay. - Sądzę, że będzie to musiało stanowić czyjaś własność.

Wyprowadził mnie na zewnątrz i staliśmy, patrząc na malowidło.

- Będzie je pan trzymał wszystkie razem? - zapytał.

- Tak - odparłem.

- Jeżeli da mi pan to na piśmie - stwierdził - są pańskie.

Oczekiwałem, że będę musiał długo i zażarcie targować się o cenę. Byłem oszołomiony, ale to co powiedział zaraz potem, zdumiało mnie jeszcze bardziej.

- Sądzi pan, że to jest coś warte? - zapytał. Cattanay nie uważał, że malowidło jest owocem jego wyobraźni. Sądził, że po prostu iluminuje on kształty pojawiające się na boku Griaule'a i był przekonany, że gdy tylko farba zostaje położona, powstają pod nią nowe kształty, które zmuszają go do dokonywania ciągłych zmian. Uważał się bardziej za rzemieślnika niż twórcę. Nie mógł jednak nie wiedzieć, że ludzie zjeżdżają z całego świata, by podziwiać malowidło. Niektórzy twierdzili, że w jego błyszczącej powierzchni widzą obrazy przyszłości, inni doznawali przeżyć, które odmieniały ich całkowicie, jeszcze inni - o skłonnościach artystycznych - sami próbowali przenieść coś z Griaule'a na swoje własne płótna w nadziei, że zdobędą sławę przynajmniej jako dobrzy naśladowcy sztuki Cattanaya. Malowidło nie miało figuratywnego charakteru, szczególnie smuga o barwie bladego złota przecinająca bok smoka, ale pod pokrytą warstwami farby powierzchnią kryło się mnóstwo opalizujących kolorów, które - gdy słońce świeciło z nieboskłonu i blask to rozjaśniał się, to przygasał - gęstniały w niezliczone kształty i formy sprawiające wrażenie, jakby przepływały tam i z powrotem. Nie będę próbował systematyzować tych kształtów, bowiem była ich nieskończona liczba i były tak różne, jak różne były warunki, w których je oglądano. Powiem jednak, że tego ranka, kiedy poznałem Cattanaya, ja, który jestem człowiekiem praktycznym do szpiku kości i nie ma we mnie ani krzty marzycielstwa, ja sam poczułem, jakby jakiś wir wciągał mnie w to malowidło, w jego geometrię światła, w sieć tęczy barw ukształtowanych tak, jak ukształtowane są krawędzie chmur, obok kul, spirali i kół ognistych...

Henry Sichi

„Griaule - dzieło i interesy”

Od chwili gdy Meric przybył do doliny, przez jego życie przewinęło się kilka kobiet. Większość przyciągnęła jego wzrastająca sława malarza i związek z tajemnicą smoka. I z tego samego powodu większość porzuciła go - czując się niedoceniana i zagrożona. Lise była jednak inna pod dwoma względami. Po pierwsze, kochała Merica szczerze i mocno, a po drugie, była poślubiona - choć nieszczęśliwie - niejakiemu Pardielowi, brygadziście z obsługi pieców wapiennych. Nie kochała go tak jak Merica, szanowała go jednak i czuła się w obowiązku rozważyć wszystko bardzo starannie, zanim zdecydowała się zerwać formalny związek. Meric nigdy dotąd nie spotkał kogoś tak uważnie analizującego samego siebie. Była od niego dwanaście lat młodsza, wysoka i zgrabna, z rozjaśnionymi słońcem włosami i piwnymi oczyma, które w chwilach zamyślenia stawały się ciemne i jakby zapatrzone wewnątrz. Miała zwyczaj analizować wszystko, co miało wpływ na jej życie, unikała emocji i traktowała je tak, jakby były stadkiem dziwnych owadów, pełzających po jej sukni. Choć jej zwyczaj ciągłej samooceny sprawiał, że wciąż była dla niego

nieosiągalna, Meric traktował to jako zaskakującą cnotę. Cierpiał na klasyczne objawy zakochania i nie potrafił dopatrzeć się w obiekcie swych pożądań niczego nagannego. Przez cały niemal rok byli tak szczęśliwi, jak można by się tego spodziewać. Rozmawiali godzinami i spacerowali, a kiedy Pardiel pracował na obie zmiany i musiał spać koło pieców, spędzali całe noce kochając się w obszernych pieczarach utworzonych przez skrzydła smoka.

Wciąż uważano to za przeklęte miejsce. Krążyły pogłoski, że żyje tam coś gorszego niż psykacze czy płatki i stworzenie to było oskarżane o zniknięcie każdego, nawet najbardziej niezadowolonego robotnika. Meric nie dowierzał jednak tym słuchom. Był na poły przekonany, że Griaule wybrał go na swego kata i wierzył, że smok nigdy nie dopuści, aby stała mu się krzywda. Poza tym było to jedyne miejsce, gdzie mogli liczyć na trochę prywatności. Pod skrzydła prowadziły prymitywne schody, których stopnie i poręcze zostały wycięte w łuskach niewątpliwie przez ich łowców. Było to niebezpieczne przejście, położone sześćset stóp nad dnem doliny, ale Lise i Meric przywiązywali się linami i przez pełne namiętności miesiące przywykli do tego. Ich ulubione miejsce znajdowało się pięćdziesiąt stóp od wejścia (Lise nie chciała iść głębiej - w przeciwieństwie do Merica bała się), niedaleko wodospadu, który spływał po skórzastych draperiach połyskujących mineralnym blaskiem. Było tu niesamowicie pięknie, jak w nawiedzonym muzeum. Płaty martwej skóry zwisały w cieniu jak zerwane draperie ektoplazmy, ze szczelin wyrastały paprocie o pniach grubszych niż katedralne kolumny, a jaskółki przecinały czarne powietrze.

Niekiedy, leżąc wraz z Lise, ukryty pod fałdą skrzydła, Meric myślał, że miejsce to ożywiane jest właściwie tylko biciem ich serc i natychmiast, gdy je opuszczą, woda przestaje płynąć, a jaskółki znikają. Żywił niezachwianą wiarę w transformacyjną moc ich uczucia i pewnego ranka, gdy ubierali się przed powrotem do Hangtown, zaproponował by z nim poszła.

- Do drugiej części doliny? - roześmiała się ze smutkiem.

- I po co? Pardiel i tak pójdzie za nami.

- Nie - powiedział. - Do innego kraju. Gdzieś daleko stąd.

- Nie możemy - odparła. - Dopóki Griaule żyje, nie możemy. Czyżbyś zapomniał?

- Nie próbowaliśmy.

- Ale inni próbowali.

- My jesteśmy wystarczająco silni. Wiem to!

- Jesteś romantykiem - powiedziała pośepnie i ponad wygięciem grzbietu Griaule'a spojrzała na dolinę. Świt oblał wzgórze purpurą i nawet końce skrzydeł płonęły mroczną czerwienią.

- Oczywiście, że jestem romantykiem! - wstał ze złością.

- I co w tym złego, do diabła?

Westchnęła z irytacją. - Nie zechciałbyś porzucić swojej pracy - powiedziała. - A gdybyśmy odeszli, to czym byś się zajął? Czy...

- Po co stwarzać problemy zawczasu?! - zawołał. - Będę tatuował słonie! Będę malował freski na piersiach gigantów, ozdabiał wieloryby! Kto się nadaje do tego lepiej niż ja? Uśmiechnęła się i jego gniew minął.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała. - Zastanawiałam się tylko, czy zadowoląłoby cię cokolwiek innego. Podała rękę, żeby pomógł jej wstać, a on przyciągnął ją w swoje objęcia. Gdy ją trzymał wdychając zapach wanilii z jej włosów, dostrzegł małą sylwetkę rysującą się na tle doliny. Sprawiała wrażenie jakiegoś nierzeczywistego, czarnego homunkulusa i nawet gdy zaczęła się zbliżać, powiększając się coraz bardziej przypominała raczej czarną dziurkę od klucza umieszczoną na szkarłatnym tle zbrocza, nie zaś człowieka. Meric poznał jednak rozkołysany chód oraz rozłożyste barki mężczyzny i wiedział, że jest to Pardiel. Trzymał w dłoni hak osadzony na długiej

rękojeści, jakim pomagali sobie rzemieślnicy pracujący na rusztowaniach. Meric zeszytywniał i Lise obejrzała się, chcąc sprawdzić, co go zaniepokoiło.

- O Boże! - zawołała wymykając się z jego objęć. Pardieli stanął w odległości kilku kroków od nich. Nic nie mówił. Jego twarz schowana była w cieniu, hak kołysał się leniwie w rękę. Lise zrobiła krok ku niemu, a potem cofnęła się i stanęła przed Mericem jakby próbując go osłonić. Pardieli wydał nieartykułowany wrzask i rzucił się do przodu wymachując hakiem. Meric odepchnął Lise na bok i schylił się. Gdy rozpedzony Pardieli mijał go, poczuł zapach siarki, którym przesiąknięte było ubranie robotnika. Mąż Lise potknął się na jakiejś nierówności łuski i runął jak długi. Śmiertelnie przerażony Meric, zdając sobie sprawę, że nie jest w stanie stawić czoła majstrowi, schwycił Lise za rękę i pobiegł wraz z nią głębiej pod skrzydło. Miał nadzieję, że Pardieli będzie się bał stworzenia, które rzekomo tam żyło i nie pójdzie ich śladem. Tak się jednak nie stało. Ruszył za nimi miarowym krokiem, uderzając hakiem o nogę. Wyżej, na grzbiecie Griaule'a skrzydło pokryte było setkami fałd i wypukłości, które tworzyły labirynt maleńkich pomieszczeń i tuneli, niekiedy tak niskich, że musieli schylać się, by przez nie przejść. Dźwięk ich oddechów i szuranie stóp odbijały się echem w zamkniętej przestrzeni i Meric nie słyszał już Pardiela. Nigdy dotąd nie zagłębiał się tak daleko. Sądził, że będzie tu panowała kompletna ciemność, ale przylepione do skrzydeł mchy i porosty świeciły. Pokrywały świetlistym wzorem każdą powierzchnię. Nawet łuski pod ich nogami jarzyły się rzucającymi upiorną poświatę splotami niebieskiego i zielonego ognia. Odnosił wrażenie, że są gigantami pełzającymi przez wszechświat, którego materia gwiazd nie zestaliła się jeszcze w galaktyki i mgławice. W tym słabym świetle twarz Lise, która co chwilę oglądała się, była rozgorączkowana i zalana łzami. Aż nagle, gdy wyprostowała się przechodząc do następnego pomieszczenia, nabierając powietrza w płuca, krzyknęła przeraźliwie.

Merik pomyślał najpierw, że Pardielowi jakimś cudem udało się ich wyprzedzić. Kiedy jednak wszedł do środka, zobaczył, że powodem jej przerażenia był człowiek, który siedział opierając się o przeciwną ścianę. Sprawiał wrażenie zmumifikowanego. Kosmyki kruchych włosów sterczały na jego głowie, przez skórę widać było kości, oczy były pustymi dziurami. Między jego nogami, w miejscu, w którym powinny znajdować się genitalia, widniał jedynie rozsypany pył. Meric popchnął Lise w stronę następnego tunelu, ona jednak zaczęła się opierać wskazując na siedzącego mężczyznę. - Jego oczy - powiedziała potwornie przerażona. Choć oczy siedzącego człowieka były wypełnione głęboką czernią, Meric uświadomił sobie w tym momencie, że przebiegają przez nie tęcze migotania. Poczuł, że musi uklęknąć przy tym mężczyźnie i był to nagły, bezsensowny przymus, który ogarnął go na jedną chwilę i przygiął wbrew woli. Gdy oparł dłoń o łuskę, poczuł pod nią leżący koło skurczonych palców masywny pierścień z czarnym kamieniem, przez który przebiegały takie same rozbłyski jak te, które widział w oczach siedzącego człowieka. Wygrawerowana była na nim litera S. Poczuł, jak jego wzrok odwraca się zarówno od kamienia, jak i oczu, jakby było w nich coś, co odpychało jego zmysły. Dotknął wyschniętego ramienia mężczyzny, ciało było twarde, skamieniałe. I żywe. Krótki moment kontaktu fizycznego pozwolił mu odczuć, czym było życie tego człowieka: kontemplowaniem przez wieki tego samego wzoru nieziemskiego ognia, myślami, które przekroczyły już granice zwykłego szaleństwa i przekształciły się w perwersyjną ekstazę, medytację nad jakimś ohydny dogmatem. Gwałtownie cofnął rękę z obrzydzeniem.

Za ich plecami rozległ się hałas. Meric zerwał się i popchnął Lise do następnego tunelu.

- Idź w prawo - szepnął. - Obejdziemy go i zawrócimy w stronę schodów. - Pardieli był jednak zbyt blisko, by dać się zwieść i ucieczka zamieniła się w dziką pogoń, bieg, potykanie się, migawkowe widoki usmolonej twarzy Pardiela. Wreszcie, gdy Meric znalazł się w dużym pomieszczeniu, poczuł, jak hak wbija mu się w udo. Upadł chwytając dłonią ranę i wyciągając z niej ostrze. W następnej chwili Pardieli już leżał na nim. Nad jego ramieniem pojawiła się Lise, ale odtrącił ją bez wysiłku i wczepiając palce we włosy Merica uderzył jego głową o łuskę. Lise krzyknęła i wewnątrz

czaszki Merica eksplodował biały ogień. Jego głowa ponownie trzasnęła o łuskę. I znowu. Jak przez mgłę dostrzegł Lise walczącą z Pardiem, zobaczył, jak odpycha ją gwałtownie do tyłu, ujrzał wznoszony do góry hak i wykrzywione w grymasie usta majstra. I nagle grymas ten zniknął. Pardiel otworzył nagle usta i sięgnął ręką do tyłu, jakby próbując podrapać się w łopatkę. Z kącika warg popłynęła mu strużka ciemnej krwi i mąż Lise przewrócił się uderzając Merica głową pod zębra. Cattanay usłyszał głosy. Spróbował zepchnąć z siebie martwe ciało i próba ta pozbawiła go resztek sił. Runął w mroczny wir, którego czerni wydawała się równie głęboka i niezgłębiona jak oczy skamieniałego mężczyzny. Ktoś trzymał jego głowę na kolanach i ocierał mu czoło wilgotną szmatą. Przypuszczał, że to Lise, ale gdy zapytał, co się stało, odpowiedziała mu Jarcke.

- Musiałam go zabić - powiedziała.

Głowa pulsowała mu bólem, noga jeszcze bardziej, widział wszystko jak przez mgłę. Zwisające nad głową strzępy martwej skóry zdawały się kołysać. Uświadomił sobie, że znajduje się niedaleko krawędzi skrzydła.

- Gdzie jest Lise?

- Nie martw się - odparła Jarcke. - Zobaczysz ją znowu.

W jej ustach zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Gdzie ona jest?

- Odesłałam ją do Hangtown. Byłoby niedobrze, gdyby widziano was razem w dniu zniknięcia Pardiela. - Nie powinna była odchodzić... - zamrugał oczyma próbując coś zobaczyć. Bruzdy koło ust Jarcke były głębokie i przypominały mu wzór, jaki tworzyły porosty na łuskach smoka. - Co zrobiłaś?

- Przekonałam ją, że to będzie najlepsze wyjście - odparła Jarcke. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ona tylko się z tobą bawi?

- Muszę z nią porozmawiać. - Czuł wyrzuty sumienia i było dla niego nie do pomyślenia, że Lise miałyby sama borykać się ze swoim smutkiem. Kiedy jednak spróbował się podnieść, poczuł przeszywający ból w nodze.

- Nie przejdziesz nawet trzech kroków - powiedziała Jarcke. - Gdy tylko ustąpią ci zawroty głowy, pomogę ci zejść po schodach.

Zamknął oczy, postanawiając, że odnajdzie Lise, gdy tylko wróci do Hangtown - i razem postanowią, co robić dalej. Łuska pod nim była chłodna i chłód ten przenikał w jego skórę i ciało, zupełnie jakby stapał się z nią, stawał się jedną z jej wypukłości.

- Jak nazywał się czarownik? - zapytał po chwili, przypominając sobie skamieniałego mężczyznę, pierścien i wygrawerowaną literę. - Ten, który próbował zabić Griaule'a... - Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałam jego nazwisko - odparła Jarcke. - Ale przypuszczam, że to on. - Widziałaś go?

- Ściagałam kiedyś łowcę łusek, który ukradł trochę lin, ale zamiast niego znalazłam tego mężczyznę. Marnie wygląda. Jej palce przesunęły się po ramieniu Merica. Delikatne, czułe dotknięcie. Nie zrozumiał, co oznaczało. Zbyt był pochłonięty myślami o Lise, o przerażających konsekwencjach tego, co zaszło. Ale wiele lat później, kiedy nic nie można już było zaradzić, przeklinał swoją niedomyślność. W końcu Jarcke pomogła mu wstać i weszli na górę do Hangtown, na spotkanie gorzkiej świadomości i żalu, pozostawiając Pardiela na pastwę ptakom, pogodzie, albo czegoś jeszcze gorszego.

„Uważa się za rzecz niegodną, jeżeli zakochana kobieta waha się, rozważa sytuację, nie zaś kieruje ślepo emocjami. Czułam odium takiej opinii - ludzie uznali, że popełniłam błąd nie działając szybko i zdecydowanie. Istotnie, może byłam zbyt ostrożna. Nie mam zamiaru twierdzić, że jestem bez zarzutu w tej sprawie, ale na pewno nie jestem winna świętokradztwa. Wierzę, że może w

końcu opuściłabym Pardiela. W naszych stosunkach nie było czegoś, co mogłoby przynieść nam szczęście. Miałam jednak istotne powody, by dokładnie rozważyć sytuację. Mój mąż nie był złym człowiekiem i zawsze staraliśmy się być lojalni wobec siebie.

Po śmierci Pardiela nie mogłam znieść widoku Merica i przenieśliśmy się do innej części doliny. Wielokrotnie próbował się ze mną zobaczyć, ale zawsze odmawiałam. Choć pokusa była wielka, jeszcze większe było we mnie poczucie winy. Cztery lata później, po śmierci Jarcke, która zginęła pod kołami wozu, jeden z jej współpracowników napisał mi, że Jarcke kochała się w Mericu. To ona poinformowała Pardiela o naszym romansie i na dobrą sprawę spowodowała zabójstwo. List ten stał się jakby znakiem, że częściowo odpokutowałam swoją winę i zaczęłam nawet rozważać możliwość spotkania z Mericem. Minęło jednak zbyt dużo czasu i oboje zaczęliśmy już nowe życie. Dlatego też postanowiłam nie robić tego. Sześć lat później, gdy wpływ Griaule'a osłabł na tyle, by umożliwić emigrację, przenieśliśmy się do Port Chantay. Nie miałam wiadomości o Mericu od prawie dwudziestu lat, aż nagle pewnego dnia otrzymałam list, którego fragment tu przytoczę.

„...Mój stary przyjaciel z Regensburga, Louis Dardano, mieszka tu od kilku już lat, pisząc swoją biografię. Narracja prowadzona jest w swobodnym tonie i przypomina historię opowiadaną w tawernie, co, jeśli przypominasz sobie moje wspomnienia o tym, jak wszystko się zaczęło, jest nader stosowne. Kiedy jednak czytam jego pracę, jestem zaskoczony widząc, że moje życie miało tak prosty kształt. Jeden cel, jedna namiętność. Na Boga, Lise! Mam siedemdziesiąt lat i wciąż śnię o tobie. I wciąż myślę o tym, co zdarzyło się pod skrzydłem smoka tego ranka. Dziwne, ale aż tyle czasu potrzebowałam, żeby sobie uświadomić, że winę za to, co się stało, ponosi nie Jarcke, ani ty, ani ja, lecz Griaule. Jakże oczywiste jest to dziś. Odchodziłem, on zaś potrzebował mnie, bym ukończył kompozycję na jego boku, jego sen o locie, ucieczce, żebym zabił jego pragnienia. Jestem pewien, że posądzisz mnie o pochopność w formułowaniu takiego wniosku, ale chciałbym ci przypomnieć, że pochopność ta trwała czterdzieści lat. Znam Griaule'a, znam jego potworną subtelność. Widzę ten subtelny wpływ na każde wydarzenie, jakie miało miejsce w dolinie od chwili mojego przybycia. Byłem głupcem, nie rozumiejąc, że jego moc doprowadziła do smutnego zakończenia naszych spraw. Obecnie, jak zapewne wiesz, wszystkim tu rządzi wojsko, Krążą pogłoski, że planują zimową kampanię przeciwko Regensburgowi. Czy możesz w to uwierzyć? Już ich ojcowie byli nieukami, ale to pokolenie jest koszmarnie głupie. Poza tym praca idzie dobrze, a u mnie wszystko po staremu. Ramiona mnie bolą, dzieci gapią się na mnie na ulicy i szepczą, że jestem szalony...”

Lise Claverie

„Pod skrzydłem Griaule'a”

Szczupły, ospowaty i arogancki major Hauk był bardzo młodym oficerem. Chodząc powłóczył nieco nogą. Kiedy Meric wszedł do pokoju, major ćwiczył właśnie składanie podpisu - pełnego eleganckich pętelek i zawijasów - najwyraźniej przekonany, że przekaże go potomności. W czasie rozmowy przechadzał się tam i z powrotem, ale co chwila zatrzymywał się, by podziwiać swoje odbicie w szybie. Wyglądał wtedy zmarszczki szkarłatnej kurtki albo przesuwając palcami po szwie białych spodni. Był to nowy typ umundurowania i Meric po raz pierwszy zobaczył go z bliska. Z pewnym rozbawieniem zauważył smoki wyszyte na epoletach. Zastanawiał się, czy Griaule zdolny był do takiej ironii i czy jego wpływ był wystarczająco subtelny, by zasiać pomysł tak operetkowego stroju w umyśle jakiejś generalskiej żony.

- ...nie jest to sprawa siły ludzkiej - mówił major - ale... - przerwał i po chwili odchrząknął.

Merik wpatrujący się do tej pory w plamy na grzbietach dłoni uniósł wzrok. Laska oparta o jego kolano ześlizgnęła się i z łoskotem upadła na podłogę. - Problemy materialne - stwierdził major stanowczym tonem. - Na przykład cena antymonu...

- Chyba nie będzie mi już potrzebny - odparł Meric. - Skończyłem pracę z czerwieniami pochodzenia mineralnego. Na twarzy majora pojawił się przelotny wyraz zniecierpliwienia.

- Doskonale - stwierdził. Pochylił się nad biurkiem i przejrzał kilka dokumentów. - Aha! Mam tu rachunek za dostawę mątw, z których otrzymywał pan... - przerzucił kilka kartek.

- Sepię - mruknął Meric. - Z tym również skończyłem. Będę już potrzebował tylko złota i fioletów. No i trochę błękitu i różu. - Pragnął, żeby ten człowiek przestał mu wreszcie dokuczać. Chciał znaleźć się przy oku przed zachodem słońca. W czasie gdy major ciągnął dalej swoje wyliczanie, wzrok Merica powędrował za okno. Otaczające Griaule'a skupisko bud i lepianek rozciągało się aż po wzgórze. Większość budynków postawiono tu na stałe, z kamieni i drewna. Dachy domostw, dym z otaczających miasto fabryk przypomniały mu Regensburg. Całe naturalne piękno tej krainy zostało przelane na dzieło malarskie. Czarnoszare, deszczowe chmury nadciągały ciężko od wschodu, ale poobiednie słońce świeciło jasno, zapalając ciężką, złocistą poświatę na boku Griaule'a. Wydawało się, że światło słoneczne jest kontynuacją błyszczącego werniksu, jakby grubość warstw farby stała się nieskończona. Głos majora był już tylko odległym brzęczeniem, ale nagle Meric drgnął. Zrozumiał, że major próbuje wysondować go na temat wstrzymania prac.

Pomysł ten początkowo wprowadził go w panikę. Próbował przerwać oficerowi, wyrazić swoje obiekcje, ale major mówił nie zwracając na to najmniejszej uwagi i im dłużej Meric o tym myślał, tym mniejszy sprzeciw budził w nim ten pomysł. Malowidło i tak nigdy nie zostanie ukończone, on zaś jest już zmęczony. Być może nadszedł czas z tym zerwać, przyjąć posadę gdzieś na uniwersytecie i zacząć wreszcie cieszyć się życiem.

- Rozważaliśmy możliwość czasowego wstrzymania prac - oznajmił major Hauk. - A jeżeli postępy kampanii zimowej będą zadowalające... - uśmiechnął się. - Jeżeli nie dotknie nas żaden kataklizm czy zaraza, wrócimy do rozpoczętych robót. Oczywiście, chcielibyśmy poznać pańskie zdanie. Meric poczuł, jak ogarnia go gniew na tego kołtuńskiego potworka. - Moim zdaniem jesteście głupcami - rzekł. - Nosicie podobiznę Griaule'a na waszych ramionach, umieszczacie go na swoich flagach, a mimo to nie macie zielonego pojęcia, jakie to ma znaczenie. Uważacie go tylko za użyteczny symbol...

- Pan wybaczy... - przerwał major sztywniejac nagle. - Diabła tam! - Meric schwycił laskę i podniósł się ciężko. - Uważacie się za zdobywców. Twórców przeznaczenia. Ale wszystkie wasze gwałty i rzezie są jedynie manifestacjami Griaule'a. Przejawami j e g o woli. Jesteście takimi samymi pasożytami jak psykacze.

Major usiadł, wziął do ręki pióro i zaczął pisać. - Nie mogę wyjść z podziwu - ciągnął Meric - jak możecie żyć tuż obok cudu, źródła tajemnicy i traktować go, jakby był jedynie dziwacznie uformowaną skałą.

Major wciąż pisał.

- Co pan robi? - spytał Meric.

- Sporządzam opinię - odparł major nie podnosząc wzroku.

- A jak ona brzmi?

- Że przerywamy prace natychmiast.

Wymienili wrogie spojrzenia i Meric odwrócił się w stronę wyjścia. Kiedy jednak ujął dłońią klamkę, major odezwał się ponownie.

- Tyle panu zawdzięczamy - powiedział. Na jego twarzy malowało się połączenie żalu i szacunku, co jeszcze bardziej zirytowało Merica.

- Ilu ludzi pan zabił, majorze? - zapytał otwierając drzwi.

- Nie jestem pewien. Służyłem w artylerii. Nigdy nie znaleźliśmy dokładnie liczb.

- No cóż, ja swój wynik znam - stwierdził Meric. - Pracowałem na niego przez czterdzieści lat. Tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt trzech mężczyzn i kobiet. Zatrutych, poparzonych, takich, którzy spadli z wysokości, zostali zabici przez dzikie zwierzęta. Zamordowani. Dlaczegoż nie mielibyśmy - pan i ja - uznać tego za remis?

Choć popołudnie było gorące i duszne, Meric idąc w stronę wieży czuł chłód, ten wewnętrzny chłód, który powodował osłabienie i zawrót głowy. Pomysł pracy na uniwersytecie w miarę oddalania się od biura majora stawał się coraz mniej pociągający. Bardzo szybko zmęczyliby go głupi studenci i wiwisekcje jego prac dokonywane przez zazdrosnych akademików. Kiedy skręcił na rynek, jakiś człowiek pozdrowił go głośno. Meric pomachał mu nie zatrzymując się i usłyszał, jak inny mężczyzna zapytał:

„To jest Cattanay?” (Ten obszarpany staruch?) Kolory na rynku były zbyt jaskrawe, zapach palącego się węgla drzewnego zbyt duszący, tłum zbyt gęsty i Meric skręcił w jedną z bocznych uliczek. Kuśtykał obok maleńkich, jednopokojowych domków pokrytych stiukiem i niewielkich kramików, w których sprzedawano olej na uncje i cygara przecięte na pół, jeżeli kogoś nie stać było na całe. Śmiecie, chmury pyłu i much, pijacy z zakrwawionymi ustami. Ktoś związał drutem bezpieczeństwa psa - sukę o obwisłych sutkach. Drut wrzynał się w ciało zwierzęcia, które leżało dysząc ciężko u wejścia do zaułka, patrząc w przestrzeń. Sterczące żebra suki pokryte były różową pianą. To ona, pomyślał Meric, a nie Griaule, powinna być ich godłem.

Kiedy jechał windą wzdłuż boku wieży, zgodnie ze starym zwyczajem sporządzał notatki dotyczące następnego dnia. Co ten sąg drewna robi na poziomie piątym? Niewielki przeciek żółci chromowej na poziomie dwunastym. Dopiero gdy spostrzegł jakiegoś mężczyznę rozbierającego część rusztowań, przypomniał sobie zalecenie majora Hauka i zrozumiał, że rozkazy zostały już wydane. Dopiero wtedy zrozumiał, że stracił pracę. Oparł się o poręcz, czuł ucisk w piersi i łzy w oczach. Wyprostował się, wstydząc się sam siebie. Słońce zachodziło w mgiełce barwy rozpalonego żelaza. Wisiało nisko nad wzgórzami na zachodzie - czerwone, spęczniałe i obrzydliwe jak wole sępa. Zatrute powietrze było jego dziełem i dobrze będzie, kiedy zostawi je za sobą. Kiedy wyrwie się z tej doliny poza strefę oddziaływania tego miejsca, będzie mógł zastanowić się nad przyszłością. Młoda dziewczyna siedziała na dwudziestym poziomie, tuż pod samym okiem. Wiele lat temu rytuał spoglądania w oko stał się właściwie czynnością kultową. Przychodziły tu grupy, które śpiewały i modliły się, odbywały się dyskusje na temat doświadczanych przeżyć. Teraz nastały czasy większego pragmatyzmu i bez wątpienia młodzi mężczyźni i kobiety, którzy dawniej zbierali się tutaj, obecnie pracowali na administracyjnych stanowiskach gdzieś w rozwijającym się imperium. To o nich właśnie powinien napisać Dardano, o nich i o wszystkich ekscentrycznych osobach, które odgrywały role w tym spowolnionym widowisku. Cyganka, która noc w noc tańczyła przed okiem w nadziei, że skłoni Griaule'a do zabicia jej niewiernego kochanka, odeszła zadowolona. Mężczyzna, który próbował wyrwać jeden z kłów - nikt nie wiedział co się z nim stało. Łowcy łusek, rzemieślnicy. Historia Hangtown była czymś jedynym w swoim rodzaju.

Podejście zmęczyło Merica, z trudem łapał oddech. Usiadł ciężko obok dziewczyny, która uśmiechnęła się do niego. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa, ale wiedział, że przychodziła często do oka. Przypominała mu Lise swym niewielkim wzrostem, ciemną cerą i utrzymywaniem jakiegoś wewnętrznego dystansu. Roześmiał się w duchu - większość kobiet w jakiś sposób przypominała mu Lise. - Dobrze się pan czuje? - spytała marszcząc z niepokojem czoło.

- O, tak - odpowiedział. Czuł potrzebę rozmowy, aby w ten sposób zmienić bieg swoich myśli, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Była taka młoda! Pełna świeżości, piękna i wrażliwości.

- Jesten tu ostatni raz - powiedziała. - Przynajmniej na jakiś czas. Będzie mi tego brakowało. - A potem, zanim zdążył zapytać dlaczego, dodała: - Jutro wychodzę za mąż i wyjeżdżamy stąd.

Złożył jej gratulacje i zapytał, kto jest tym szczęściarzem.

- To tylko jeden taki chłopiec. - Odrzuciła do tyłu włosy, jakby podkreślając w ten sposób, że jest on kimś bez znaczenia, a potem spojrzała na opuszczoną błonkę oka. - Co pan czuje, kiedy oko się otwiera? - spytała.

- To co wszyscy - odparł. - Przypominam sobie... wydarzenia z mojego życia. A także innych istnień... - Nie opowiedział jej o wspomnieniu lotu Griaule'a, nigdy nikomu o tym nie mówił, tylko Lise.

- Wszystkie te skrawki dusz, które są tu uwięzione - powiedziała wskazując oko. - Cóż one dla niego znaczą? Dlaczego je nam pokazuje?

- Uważam, że robi to celowo, ale nie potrafię powiedzieć dlaczego.

- Kiedyś wspominałam, jak byłam z panem - rzekła dziewczyna zerkając na niego chytrze przez ciemny kosmyk włosów. - Byliśmy pod skrzydłem.

Spojrzał na nią ostro. - Proszę mi powiedzieć.

- Byliśmy... razem - rzekła czerwieniąc się gwałtownie. - Wie pan, tak intymnie. Bardzo obawiałam się tego miejsca, panujących w nim dźwięków i cieni. Ale kochałam pana tak mocno, że nie zwracałam na to uwagi. Kochaliśmy się przez całą noc i byłam zaskoczona, sądziłam bowiem, że taka namiętność istnieje tylko w opowieściach, że wymyślili je ludzie tylko po to, aby upiększyć to, co naprawdę jest takie zwyczajne. A rankiem nawet to koszmarnie miejsce stało się piękne, kiedy czubki skrzydeł rozjarzyły się czerwienią i słychać było echo wodospadu... - opuściła spojrzenie. - I od tej chwili zawsze trochę się w panu kochałam. - Lise - powiedział czując się przy niej zupełnie bezradny.

- Czy tak miała na imię?

Skinął głową i przyłożył dłoń do czoła, jakby próbując wcisnąć z powrotem ogarniające go wzruszenie. - Przepraszam. - Jej wargi przesunęły się po jego policzku i miał wrażenie, że to delikatne dotknięcie osłabiło go jeszcze bardziej. - Chciałam powiedzieć panu, jak ona to czuła, jeżeli sama panu tego nie powiedziała. Była czymś bardzo zmartwiona i nie miałam pewności, czy się panu zwierzała.

Odsunęła się od niego, zakłopotana intensywnością jego uczuć i siedzieli tak bez słowa. Meric chłonał widok słońca zabarwiającego łuski na czerwonozłoty kolor. Światło skupiało się na krawędzi tworząc strumienie roztopionego metalu blednące w miarę gaśnięcia dnia. Zaskoczyło go, gdy dziewczyna zerwała się na równe nogi i cofnęła w stronę windy.

- On nie żyje - powiedziała w zadziwieniu.

Merice spojrzał na nią nic nie rozumiejąc.

- Widzi pan? - wskazała słońce, rzucające purpurowo- srebrne błyski ponad wzgórzem. - On nie żyje - powtórzyła i na jej twarzy odmalowało się uczucie strachu graniczącego z uniesieniem. Sama myśl o śmierci Griaule'a była dla Merica właściwie nie do ogarnięcia i odwrócił się w stronę oka, aby odnaleźć w nim zaprzeczenie jej słów - ale za błoną powieki nie zobaczył żadnego przebłysku koloru. Słyszał skrzypienie windy, którą dziewczyna zjeżdżała, ale czekał w dalszym ciągu. Być może zawiódł jedynie wzrok smoka. Nie. Może to, że prace zakończono właśnie dzisiaj, wcale nie było zbiegiem okoliczności. Siedział patrząc oszołomiony na martwą błonę, dopóki słońce nie zapadło za wzgórze. Potem wstał i podszedł do windy. Zanim przełożył dźwignię, liny zadrżały - ktoś podążał do góry. Oczywiście. Dziewczyna rozgłosiła nowinę i wszystkie majory Hauki i ich sługusy pośpieszyły, by ją sprawdzić. Nie chciał, żeby go tu zastali, nie chciał przyglądać się, jak pozują przy swym łupie niby wędkarze, którym udał się połów.

Wspinanie po kości czołowej było bardzo trudne. Drabina kołysała się, wiatr go szarpał i zanim dotarł na wierzch, kręciło mu się w głowie, a w piersi kłuło. Pokuśtykał do przodu i oparł o pokryte nalotami rdzy bok kadzi do gotowania. Ciemniejące w zmroku potężne paleniska i kotły piętrzyły się wokół niego i czuł, że ów system urządzeń cuchnących gotowanymi w nich substancjami organicznymi i minerałami jest zmaterializowanymi myślami Griaule'a leżały porzucone, martwe. Zostały zastąpione przez wydajniejsze urządzenia umieszczone na dole i minęło już - właściwie ile? - prawie pięć lat od chwili, kiedy użyto ich po raz ostatni. Piramidę drewna opałowego spowijały pajęczyny, schody prowadzące do krawędzi kadzi rozsypywały się. Samo czoło było pobrużdżone i pokryte mułem.

- Cattanay!

Z dołu dobiegł czyjś głos i szczyt drabiny zaczął drżeć. Boże, szli tu za nim! Kipiąc wprost od podziękowań, planów uroczystych bankietów, tablic pamiątkowych, specjalnie wybitych medali. Zanim skończą z tym wszystkim, pewnie zdążą go udekorować flagami, pokryją spizem, upstrzą gołębimi odchodami. Przez wszystkie te lata przebywał wśród nich jako ich niewolnik i mistrz, ale nigdy nie czuł się tu jak w domu. Opierając się ciężko na lasce ruszył obok czołowego rogu, który poczerniał owiewany przez lata oleistym dymem i schodząc między skrzydłami szedł do Hangtown. Obecnie było to wymarłe miasto. Rozsypujące się lepianki porastały chwasty, jezioro przekształciło się w śmierdzące bajoro. Osuszono je po tym, jak kilkoro dzieci utonęło latem '91 roku. Na miejscu domu Jarcke piętrzył się olbrzymi stos zwierzęcych kości połyskujący blado w słabym świetle. Wiatr świstał wśród rozczochranych krzewów.

- Meric! Cattanay!

Głosy rozlegały się coraz bliżej.

No cóż, istniało jedno takie miejsce, dokąd nie pójda za nim. Liście zarośli były kruche, pokryte plamami, rozpadały się, gdy odchyłał je na bok. Zawahał się na samym szczycie schodów ułożonych przez łowców łusek. Nie miał ze sobą liny. Wielokrotnie pokonywał tę drogę bez jej pomocy, jednak od tej pory minęło już parę ładnych lat. Podmuchy wiatru, okrzyki, przestrzeń doliny, światła rozrzucone jak diamenty na szarym aksamicie - wszystko to sprawiało wrażenie jakiegoś niestałego ośrodka. Usłyszał za sobą trzask łamanych gałęzi, znowu głosy. Do diabła z tym wszystkim! Zacisnął zęby, czując ukłucie bólu w ramieniu, zaczepił laskę o pasek, podszedł do schodów i schwycił palcami za szczeble. Wiatr szarpał jego ubranie, groził, że oderwie go od drabiny i ciśnie w pustkę. Poślizgnął się raz, raz zamarł w bezruchu nie mogąc pójść do przodu ani się cofnąć. Wreszcie dotarł na sam dół i przesunął ostrożnie w górę zbocza, aż wreszcie znalazł miejsce wystarczająco płaskie, by stanąć. Nagle przytłoczyła go tajemniczość tego miejsca i poczuł narastający lęk. Zrobił półobrót, myśląc przez chwilę o powrocie do Hangtown i poddaniu się temu zamieszaniu. W chwilę później uświadomił sobie jednak, jak głupi był to pomysł. Ogarniały go fale słabości, serce łomotało, białe płatki latały mu przed oczami. W piersi czuł straszny ciężar. Prerażony, zrobił kilka kroków do przodu macając laską w mroku. Było tak ciemno, że widział zaledwie zarysy kształtów, ale pamiętał, że przed nim znajduje się załom skrzydła, w którym chronili się z Lise. Ruszył w tym kierunku chcąc odwiedzić ponownie to miejsce, potem przypomniał sobie dziewczynę spotkaną pod okiem i zrozumiał, że już się z nim pożegnał. I rzeczywiście, było to pożegnanie, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Szedł przed siebie. Wydawało się, że czerń spływa ze stawu w zgięciu skrzydła, sączy się z wejścia do labiryntu świetlistych tuneli, w których natknął się na skamieniałego człowieka. Czy rzeczywiście był to stary czarownik, skazany przez magiczną sprawiedliwość na to, by pleśniał tu żyjąc przez wieki? Miało to jakiś sens. W każdym razie to właśnie przydarzyło się czarownikom zabijającym smoki. - Griaule? - szepnął w ciemność. Pochylił głowę, niemal spodziewając się odpowiedzi. Echo głosu pozwalało odczuć ogrom galerii pod skrzydłem, jej pustkę i przypomniał sobie, jak ważną niszą ekologiczną niegdyś była. Płatki przesuwające się po powierzchni, psykacze, dziwaczne owady brzęczące po zaroślach, ponura ludność Hangtown, wodospady. Nigdy nie był w

stanie wyobrazić sobie Griaule'a w pełni żywego - ten rodzaj żywotności przekraczał granice jego imaginacji. Ale mimo wszystko zastanawiał się, czy smok jakimś cudem nie ożył i może leci teraz przez złocistą noc do jądra słońca. A może był to jedynie sen, impuls w jakimś fragmencie tkanki ukrytym głęboko w wielotonowej masie jego mózgu? Roześmiał się. Łatwiej mógłby otrzymać odpowiedź, gdyby zapytał gwiazd o ich imiona.

Postanowił nie iść już dalej - choć nie była to właściwie jego decyzja. Ból promieniował na całe ramię, stawał się tak silny, że Meric miał wrażenie, że płonie od wewnątrz. Bardzo ostrożnie położył się opierając na ramieniu. W dłoni trzymał laskę. Dobre, magiczne drewno. Wyciął je z głogu rosnącego na udźcu Griaule'a. Kiedyś pewien człowiek zaproponował mu za nią małą fortunę. Kto ją teraz weźmie?

Najprawdopodobniej stary Henry Sichi schwyci ją dla swego muzeum i wpakuje do szklanej gablotki obok butów. Cóż za ironia losu! Postanowił położyć się na brzuchu i oprzeć brodę na przedramieniu - kamienny chłód ciągnący od spodu uśmierzał ból. Dziwne, co może być dla człowieka najważniejsze. Pomalowanie smoka, wysłanie setek ludzi w poszukiwaniu malachitu i koszenili, miłość do kobiety, wzmocnienie półcieni, a na koniec ułożenie swojego ciała w odpowiedni sposób. Chyba osiągnął ostatni etap. A co potem? Spróbował uspokoić oddech, zmniejszyć ucisk w piersi. Aż wreszcie, gdy coś zaszeleściło koło stawu skrzydła, odwrócił się na bok. Wydawało mu się, że spostrzegł jakiś ruch, płynącą w jego kierunku połyskliwą ciemność... Albo może były to przypadkowe impulsy nerwowe płatające psikusy jego zmysłowi wzroku. Bardziej zaskoczony niż przelęknięty, zaczął wpatrywać się w mrok czując, jak jego serce uderza nierówno o smoczą łuskę.

...Głupotą jest wyciągać proste wnioski ze skomplikowanych wydarzeń, ale przypuszczam, że w owym życiu, w tych wydarzeniach musi być zarówno prawda, jak i moralność. Zostawię to pijawkom. Historykom, socjologom, wytrawnym apologetom rzeczywistości. Wiem tylko tyle, że pokłócił się o pieniądze ze swoją przyjaciółką i odszedł od niej. Wysłał jej list z informacją, że pojechał na południe i wróci za kilka miesięcy z większą ilością pieniędzy niż będzie w stanie wydać. Nie miałem pojęcia, co ma zamiar zrobić. Sprawa Griaule'a wyniknęła, gdy cała nasza grupa siedziała „Pod Czerwonym Niedźwiedziem” przepijając moje honorarium (właśnie sprzedałem artykuł). Ktoś wtedy powiedział: - Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby Dardano nie musiał pisać artykułów, my nie musielibyśmy malować obrazów, które pasowałyby swoją kolorystyką do czyichś mebli albo harować, żeby dobrze oddać głupawe uśmiechy kuzynków i kuzyneczek? - Wysunięto mrowie najbardziej niewiarygodnych pomysłów zdobycia pieniędzy. Napady, porwania. Potem wypłynął pomysł nabrania ojców miasta Teocinte i opracowano dokładnie cały plan. Zapisano go na papierowych serwetkach, nagryzmołono w szkicownikach. Praca zbiorowa. Próbuje wciąż sobie przypomnieć, czy któryś z nas miał wtedy szklane spojrzenie, czy czułem zimne dotknięcie myśli Griaule'a przesuwające się przez mój mózg. Ale nie potrafię. Było to półgodzinne wrażenie, nie dłuższe. Pijacki kaprys, malarska metafora. Wkrótce skończyły się nam pieniądze i wytoczyliśmy się na ulicę. Padał śnieg - wielkie, wilgotne płatki, które topniały nam za kołnierzami. Boże, ależ byliśmy zalani! Śmialiśmy się balansując na oblodzonych balustradach Mostu Uniwersyteckiego. Wykrzywialiśmy się do okutanych mieszczuchów i ich tłustych matron, które posapywały wydmuchując kłęby pary i mijały nas nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem. I żaden z nas - nawet te mieszczuchy - nie przeczuwał, że awansem świętujemy szczęśliwe zakończenie...

Louis Dardano

„Człowiek, który pomalował smoka Griaule'a”

DLA JAMIE I LAURY

Przełożył Sławomir Kędzierski

LUCIUS SHEPARD

Po raz pierwszy na łamach naszego pisma przedstawiamy Państwu autora zaliczanego powszechnie do czołówki światowej SF lat osiemdziesiątych. Jego pierwsze opowiadanie pojawiło się w 1983 r. i od tego czasu Shepard otrzymał więcej nagród niż którykolwiek autor SF (może z wyjątkiem Johna Varleya, a ostatnio również Orsona Scotta Carda). Opowiadanie „Człowiek, który pomalował smoka Griaule’a” pochodzi z antologii „The Jaguar Hunter” wydane w 1987 r., uważanego za najlepszy zbiór opowiadań lat osiemdziesiątych.

D.M.

Lucius Shepard

Kapitulacja

Już nie raz unosił mnie nurt podobnych rzek; podczas kilkunastu rozmaitych wojen wdychałem ów tropikalny odór będący mieszaniną upału, gorączki i kału; napotykałem takie same spływające z zieloną falą rozdęte trupy; sto razy widziałem poćwiartowane zwłoki drobnych, smagłych mężczyzn i delikatnych kobiet. Jestem pierdzielonym turystą wojennym. Mam na walizkach nalepki z Kambodży, Nikaragui, Wietnamu, Laosu, Salwadoru i innych, należących do tej samej ligi miejsc bez powrotu. Dość tych bzdur, powtarzam sobie, twoja kolej, żeby się zająć frontem wewnętrznym, gdzie wszyscy chrzanią wszystko. Możesz wypisywać pogodne pierdoły o pozbawionych aktorskiego talentu dziewczuszkach ze zgrabnymi cyckami, pogłębione teksty o transcendencji i nowej fali konserwatywnych republikanów, którzy nie tracąc nigdy zwycięskiego uśmiechu rąbią opinię publiczną od zakrystii. A jednak zawsze ląduję w takim miejscu, gdziekolwiek w danym roku Takie Miejsce wypada i siedząc nad basenem w Holiday Inn opijam się „Absolutem” i przerzucam błyskotliwymi pogaduchami z innymi półgłówkami z mojej branży; chłopakami z UPI czy AP, kosami z Reutersa, a niekiedy z wpadającym raz na jakiś czas superasem - twoim Wpisz-Nazwisko-Swego-Ulubionego-Nadymanego-Telewizyjnego-Obszczymura - rodzajem facia, który postawi kilka kolejek, beknie parę banałów i będzie nawijać idiotyzmy w rodzaju: „No, Katanga to dopiero była p r a w d z i w a wojna”, zanim podcięty powędruje na górę, żeby przedyktować trzy zroszone łzami kolumny humanitarnego zaangażowania. Wierzyłem kiedyś, że robię to wszystko z przekonania, nie zaś zbłąkany bądź też powodowany perwersją; teraz już nie jestem tego pewien.

Kilka lat temu byłem w mieście Gwatemala: to taki bardziej słoneczny Mordor z architekturą w stylu kolonialnym, popierdującymi czarnym dymem autobusami na ropę i prawdziwie spektakularną dzielnicą slumsów, nazwaną w stylu lat dziewięćdziesiątych Strefą Pięć. Wałęsałem się w ramach przygotować do wypichcenia kolejnego tragicznego kawałka o zaginionych i unikałem band złowieszczo wyglądających hombres w toyotach bez numerów rejestracyjnych. Próbowałem sobie wmówić, że mój artykuł Wywrze Jakiś Wpływ, gdy napatoczył się pewien mój kumpel, Paul DeVries z Associated Press, poważny nieduży gość, w którym kochają się wszystkie gwatemalskie dziewczyny, bo jest jasnowłosy, wrażliwy i pod każdym względem stanowi zaprzeczenie męskich sił miejscowych, w których wcześniej rozwija się skłonność do piwnych bandziochów, broni krótkiej, tudzież częstowania lewym sierpowym przedstawicielek słabszej płci...

Więc DeVries powiada:

- Hej, Carl, zaciągnijmy dupska do Sayaxche, słyszałem, że była tam jakaś nawalanka.
- Sayaxche? - pytam. - Co się mogło zdarzyć w Sayaxche? Sayaxche to dla mnie i dla DeVriesa anegdotyczna historia, zresztą jedna z wieku. Razem obsługiwaliliśmy te podwórzowe wojenki od czterech lat i wypracowaliśmy wspólny język, zbudowany na robieniu sobie jajek ze wszystkiego, co się na przytrafia. Nazywamy Sayaxche „Jednokurewskim miastem”, takiej bowiem liczbie

królowych nocy daje utrzymanie. Monopolistka z Sayaxche nie jest towarem dla wybrednych: ma ospowatą twarz, kluchowate cielsko, plugawą jadaczkę i bez przerwy wrzeszczy po pijacku. Samo miasto to położona na skraju dżungli Peten dziura z hotelem, regionalnym oddziałem banku, bielonymi budami, eksperymentalnym gospodarstwem rolnym, promem przewożącym przez Rio de la Pasion cysterny zaopatrujące w paliwo fermy położone w głębi dżungli, masą zgniłej zieleni, tudzież głodujących Indian, krótko mówiąc, Joseph Conradlandia. I co się tam może zdarzyć?

- Daj sobie spokój - mówię z początku DeVriesowi. Tylko że, kapujecie, zaczynam mieć po uszy zaginionych, to znaczy, jaki coś takiego ma sens? - gdyby zniknęli za sprawą magii, wszyscy by tego chętnie posłuchali, ale następna tragedia, dalsze międlenie żalonych, a ciągnących się w nieskończoność plot z Trzeciego Świata... pieprzenie kotka, więc kończy się na tym, że wskakujemy z DeVriesem na DC-3 do Flores, potem godzinna jazda autobusem po pełnej wykrotów drodze gruntowej i oto jesteśmy na miejscu: pijemy piwo i kurzymy na oszklonej werandzie turkusowego pudełka nad rzeką zwanego hotelem Tropical, który ma trzydolarowe pokoje, karaluchy gigantycznych rozmiarów i gdziekolwiek spojrzeć, oprawne w ramki fotografie Don Julia, właściciela przybytku, obwieszono złotymi łańcuchami gościa o plamistej cerze, dumnie upozowanego ze strzelbą i rozmaitością ubitej zwierzyny. Słuchając wyjców i pohukująco-pogwizdujących ptaków z dżungli dookoła, gapimy się na mrocznozielone wiry Rzeki Namietności i usiłujemy wycisnąć jakieś informacje z Don Julia, który jednak nie słyszał o żadnej nawalance. Prawdziwy hart z tego Don Julia. Nienawidzi komuchów. To jedna z owych patriotycznych duszyczek, co to w pijanym widzie wymachuje potężną pistołą i deklamuje:

- Nikt mi tego nie odbierze! Komunista, który wlezie na moją ziemię, jest trupem!

Zatem niewątpliwie łże nam w oczy, aby osłonić swoich kumpli z tajnej policji. Wzrusza ramionami, proponuje następne piwo i rusza polerować kulki, pozostawiając mnie, DeVriesa i kanadyjską pielęgniarzkę o imieniu Sherril, która jedzie na południe, gdzie zamierza pracować dla sandinistów, przy głównej rozrywce wizualnej miasteczka, to jest przy obserwowaniu cystern staczających się z promu tylko po to, aby ugrzęznąć w gigantycznym wykrocie, artystycznie zlokalizowanym tam, gdzie kończy się nabrzeże, a zaczyna stromy podjazd, więc mało która ciężarówka potrafi uniknąć wpadki. Przed położonym po drugiej stronie ulicy bankiem, jednopiętrowym budynkiem z różowego żelbetu, kilku uzbrojonych w SMG indiańskich żołnierzy w panterkach podpowiada kierowcy aktualnej ciężarówki w opałach sposoby na wykaraskanie się z dziury. Optują za kombinacją desek i piasku pod kołami z rozhuśtaniem wozu w przód i w tył. Kierowca, w kłopotach już od godziny z okładem, jest bliski płaczu.

- Ano, bombowo jak sto skurwysynów - powiadam do

DeVriesa; jest o dziesięć lat młodszy ode mnie, a charakter naszych stosunków został solidnie ugruntowany, więc mam prawo wyrazić surową ojcowską dezaprobatę. - Napotkaliśmy tu złotą żyłę materiału dziennikarskiego.

- Może coś się wykroi - mówi DeVries. - Posiedzimy jeszcze trochę i przekonajmy się co.

- A czego właściwie, chłopaki, szukacie? - pyta Sherril. Jest smukła, wysoka, przystojna, ma jasnорude włosy, nie nosi stanika i czeka na faceta, który obiecał przewieźć ją łódką pod meksykańską granicę i pokazać ruiny Majów w Yaxchitlan. Ale jeszcze się nie pojawił, skoro zaś miał to uczynić dwa dni temu, zapewne nie pojawi się wcale. Sherril robi się na zaangażowaną-niezaangażowaną i kobieco-niezależną, kapujecie: „Chcę się sprawdzić wobec rebeliantów, aby móc żyć ze sobą, a potem w Calgary czy gdzie tam wychowywać moje dzieci tak, by kochały zwierzęta i nie używały brzydkich słów”. A ja, cóż, zaczynam dochodzić do wniosku, że jeśli jest na tyle durna, żeby pożegłować w górę Rzeki Zagłady z jakimś obrzypalcem poznanym w jednym z barów Antiquy, to znajdzie w sobie dość idealizmu, aby się przespać z takim przestrelonym żurnalistą jak ja. Widzę, że mój repertuar cynicznych odzywek wywarł na niej

wrażenie, no i zdecydowanie występuje ten wzajemny magnetyzm. - Obiło się nam o uszy, że były tu jakieś problemy - mówię. - Wszędzie masa żołnierzy.

- Ach, na pewno macie na myśli farmę - powiada.

Wymieniamy z DeVriesem spojrzenia i pytamy jak jeden:

- Co się stało?

- Nie wiem - mówi Sherril - ale wczoraj było tam wielu żołnierzy. Chyba jeszcze są. Bo musieliby się tu pojawić, gdyby wracali.

Farma, podobnie jak Sayaxche, to sprawa do pewnego stopnia anegdotyczna, choć ten jednokurewski numer jest dużo śmieszniejszy. Kilka lat temu w cwanej hochsztaplerskiej zagrywce Banco Americano Desarrollo - pierwszy w regionie bank rozwoju, a przez to najlepszy zawodnik w kanciarzkiej ekonomicznej wolnoamerykance, która w całej Ameryce Środkowej utrzymuje status quo pomiędzy szwadronami śmierci a nieludzką nędzą i w ten sposób chroni USA przez komunizmem - wynegocjował kontrakt z ówczesnym szefem gwatemalskiego łapownictwa, prezydentem o nazwisku Ydigoras Fuentes. Kontrakt ów odstępował wieczyste prawa do eksploatacji złóż naftowych w Peten w zamian za coś, co litera umowy określała mianem dynamicznej polityki Stanów Zjednoczonych, zorientowanej na reformę rolną i rozwój agrarny; polityki, która - za welonem cudownie mglistych przyrzeczeń - obiecywała w rzeczywistości założenie jednej farmy eksperymentalnej, właśnie w Sayaxche. Ten zatrudniający trzydziestu Gwatemalczyków obiekt uchodzi za okazowy model higieny i funkcjonalności; reforma rolna i rozwój agrarny są nadal, o czym nie trzeba wspominać, skryte za horyzontem. No więc jesteśmy z DeVriesem napaleni, żeby pogalopować na farmę i zobaczyć, co jest grane, ale Sherril powiada, że nie mamy szans... przynajmniej za dnia. Na szosie ustawiono blokadę. Ona jednak zna drogę i jeśli zaczekamy do nocy, to nas zaprowadzi. Otóż sprawy mają się tak, że czekając na swego opieszalego przewodnika spiknęła się z prawicowym wredem z Ciudad Guatemala, który miał ranczo w dole rzeki - i okazała się na tyle głupia, że poszła z nim na spacer po dżungli. Rozprawiał tylko o dyskotekach, cadillacach i rzeszy swoich pańienek, więc wzięła go za idiotę, nie zdając sobie sprawy, że tacy idioci bywają niebezpieczni. Kiedy się do niej zaczął dobierać, musiała uciekać, żeby go zgubić w dżungli, i w ten sposób odkryła cyaś sekretny szlak do Zacney Experimentalnej Farmy, która sprawiała wrażenie srodze strzeżonej.

Wchodzi tu w grę, uświadomiliśmy sobie, etyka dziennikarska. Czy dwóch oblatanych w świecie facetów powinno pozwolić, by ta naiwna Kanadyjeczka wiodła ich wprost we wrota piekieł, ryzykując całość swej osoby i w ogóle? Chyba nie. Ale to jest właśnie showbiznes, zgoda? Więc udając, że gównem jest fiołkiem, mówimy OK, kochanie, ależ zafundujemy sobie przygodę! Pijemy piwo i obserwujemy cysterny podrygujące i buksujące w Wyrwie Śmierci. No i czekamy nadejścia nocy. O pierwszym zmierzchu udaję się z Sherril na przechadzkę, opowiadam jej smutne historie o żołnierskim umieraniu i zostaję nagrodzony za swą bohaterską przeszłość kilkoma głębokimi, wilgotnymi pocałunkami, tudzież stuprocentowym dowodem bezstanikowości Sherril. - Boże! - mówi spłoniona i posikująca z uciechy. - Boże, nigdy by mi do głowy nie przyszło, że w tym okropnym miejscu spotkam kogoś takiego jak ty!

Otwierają się tu, pojmuję z miejsca, olbrzymie możliwości. Kto mówił, że Kanadyjki nie umieją całować? I w tym momencie kończą się żarty. Nie, żeby dotychczas było ich za dużo, ale to showbiz, no więc chciałem, żebyście dotrzymali do tego momentu. Nie wiem, co mam wam właściwie powiedzieć. Prawdopodobnie wychodzę w tym wszystkim na faceta przystrojonego w pozę moralnej wyższości, ale to tylko mechanizm samoobrony. Kapujecie, tak się przywykłem roznamiętniać, żeby zmusić was do popatrzenia na mnie spod ściągniętych brwi, jakbyście mieli powiedzieć: „Interesujący Okaz” albo „Boże, on naprawdę stoi przy swoim” albo (ziewnięcie) „Nudziarz; więc dobra, Zachód chyli się ku upadkowi, no i co z tego, może wiesz, gdzie

moglibyśmy załapać się na trochę Frajdy”, albo „Jezu, to naprawdę straszne i w ogóle, ale wcale nie chcę tego słuchać, tyram całe życie, gdy to farciarskie Słońce tacza się po niebie cały dzień, więc kiedy wieczorem wracam do domu, chcę zrzucić buty, strzelić zimne piwo i zaznać rozrywki”. Więc co mam powiedzieć? Nie mogę z wami dyskutować. Albo gównu was wszystko obchodzi, albo nie - i nic, co mógłbym powiedzieć, nie zmieni waszych poglądów. Skoro jednak pożądamie rozrywki, proponuję spacer, dajmy na to, w okolicy Tololi, w Salwadorze, gdzie będziecie mogli zobaczyć intrygujące rezultaty polityki zagranicznej, w myśl której helikoptery Apache zrzucają na wioski dwadzieścia ton bomb miesięcznie, powielając tym sposobem taktykę, jaką stosowaliśmy w Wietnamie, aby unicestwić ludowe poparcie dla Wietkongu (och, tak!) - w tym przypadku dla FMLN - i mimochodem czyniąc uciekinierów z jednej piątej całego narodu. Byłby to spacer w najwyższym stopniu ucieszny. Oto usłane szkieletami, opustoszałe miasta! Oto, proszę państwa, kolekcja lewych dłoni, gnijących w koszu przed zbombardowanym kościołem! Oto wioska beznogich! Jeśli podobały się wam Pola śmierci, zachwycicie się Tololą! Poważnie, kochani, to wam utkwi w pamięci.

Już sam smród stanowi prawdziwe przeżycie.

Ale oddaję się dygresjom. Może to fakt, że w Stanach Zjednoczonych łatwo o poczucie moralnej wyższości nawet takim pojebańcom, jak ja. W takim przypadku sędzę, że powinienem szybko skończyć tę opowieść, abyście mogli wrócić do waszego kanału z wideoklipami.

Ruszyliśmy zatem przez oślizgłe nocne powietrze, podążając dżunglą za doskonale kształtnym, przyodzianym w dzins zadeczkim Sherril. Dopiero po dwóch godzinach harowy, urozmaiconej przez ostrożne podbieżki i krwio pijące moskity, dotarliśmy do farmy, a dostrzegłszy światła przebijające przez listowie podkradliśmy się do skraju dżungli i rozplaszczeni na brzuchach wyjrzelśmy spomiędzy gęstych paproci. Kilkanaście transporterów z zamontowanymi na tyle M-sześćdziesiątkami otaczało kręgiem budynek z białego stiuku:

biuro farmy. Światła okazały się reflektorami, nakierowanymi na pole czegoś, co sprawiało wrażenie agawy... choć Bóg jeden wie, po co ktoś miałby uprawiać agawę. Widać było pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu żołnierzy, z których żaden nie miał zbyt zadowolonej miny; rozrzućeni w wachlarz przed budynkiem, stali w pełnej gotowości, mierząc z karabinów w pole. To wszystko wydawało się diablo dziwne. Nie wiem, co byśmy zrobili. Prawdopodobnie nic. Bo w żadnym razie nie zamierzałem podchodzić bliżej. Wrócilibyśmy pewnie do miasta i sprokurowali jakieś poszlakowe doniesienie. Nie dano nam jednak wolnego wyboru. Po kilku minutach usłyszałem za plecami charakterystyczny odgłos odbezpieczanej broni automatycznej, a potem wygłoszoną po hiszpańsku instrukcję, byśmy rozłożywszy ramiona legli twarzami do ziemi. Kilka chwil później, postawieni szarpnięciem na nogi, oślepieni światłem latarek, zostaliśmy - mimo okrzyków Americanos! Americanos! - brutalnie popędzeni przez grupkę żołnierzy ku budynkowi biura. Pod jego drzwiami rozpościerał się jeden z typowych środkowoamerykańskich widoczków: spoczywający w pyłe rząd podziurawionych kulami nagich ciał. Popędzani przez żołnierzy, nie zdołaliśmy się im dobrze przyjrzeć. Sherril próbowała oponować, ale popychałem ją przed sobą, szeptem nakazując milczenie. W budynku natknęliśmy się na kolejny typowy element środkowoamerykański, czyli, proszę państwa, sadystycznego oficera, w tym przypadku majora o nazwisku Pedroza, który zaszedłby wysoko w konkursie na sobotwóra generała Noriegi: ospowata cera i coś lekko orientального w rysach. Z tańczącymi w duszy wizjami szpicrut i pałek do baseballu popatrzył na nas marzycielsko, a jego oczy dłużej zatrzymały się na Sherril.

Może się wydawać, że jeśli chodzi o majora, wyciągam wnioski zbyt pochopnie, ale to tylko złudzenie. Doszedł do wysokiej szarzy w jednej z najbardziej niemoralnych i brutalnych armii świata, a trudno o takie osiągnięcie bez morza krzywda na sumieniu. Miał w twarzy tę okrutną świętoszkowatość człowieka, który zadawał tortury i czerpał z tego przyjemność. Podobnych ludzi charakteryzuje swoista flegma, ociężałość, rodzaj leniwego wdzięku przeżartego drapieznika z

dżungli, który zabija zbyt często i ze zbyt wielką łatwością. Nie popełni wobec nich pomyłki nikt, kto chociaż raz widział ich w działaniu. Ich występne skłonności są równie widoczne jak obwieszane baretkami i medalami piersi.

Pedroza zadał nam kilka pytań i gotował się już, jak sędzę, do obróbki fizycznej, gdy do pokoju wkroczył pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, srebrnowłosa i nobliwy. Na jego widok doznałem ogromnej ulgi. Był to Duncan Shellgrave, wiceprezes banku rozwoju. Przyjaźniłem się z jego bratankiem, w którego domu w Ciudad Guatemala zatrzymywałem się kilka razy.

- Co tu się, u diabła, dzieje, Duncan? - zapytałem, mając nadzieję, że agresywność uwierzytelnii mnie choć trochę w sferze psychicznej.

- Tylko się nie denerwuj, Carl - odparł i po hiszpańsku powiedział majorowi, że się wszystkim zajmie.

Major westchnął z powątpiewaniem, powiedział:

- Jak pan sobie życzy - i Shellgrave przeprowadził nas do przyległego gabinetu - białego pokoju z matowym szkłem w oknach i klimatyzowanym chłodkiem.

- Mamy niewielki problem - powiedział Shellgrave, zaszczycając nas najlepszym ze swych „kredytu nie przyznano” uśmiezków i dając do zrozumienia, że powinniśmy zająć krzesła. - Obawiam się, że musicie tutaj przesiedzieć. W przeciwnym razie major Pedroza będzie nader poirytowany. Były dwa składane krzesła; pozostawiłem je Sherril i DeVriesowi, a sam przysiadłem na skraju biurka. - Co za problem? - zapytałem.

Kolejny uśmiech i ręce rozłożone w geście wyrażającym bezradność.

Powinienem opowiedzieć wam pewną historyjkę, aby zilustrować charakter Shellgrave'a. Tydzień po rewolucji nikaraguańskiej, którą obsługiwałem dla kilku lewicowych szmat, przejeżdżałem przez Ciudad Guatemala, gdzie napatoczyłem się na bratanka Shellgrave'a, a ów zaproponował kolację u stryjaszka. Sądził, że wysłuchanie gównotoku dotyczącego stanu spraw w Managui przyda mu się jak cholera. No więc poszliśmy do domu w typowo amerykańskim paranoicznym stylu - z psami obronnymi, jeżącym się od potłuczonego szkła wysokim murem i masą zabezpieczeń elektronicznych - a kiedy Shellgrave usłyszał, że jadę prosto z Managui, oznajmił:

- Dobry Boże! Masz szczęście, że żyjesz. Wyrzynają tam ludzi na ulicach.

Wiedziałem, że nic takiego absolutnie nie ma miejsca, lecz kiedy próbowałem Shellgrave'a o tym przekonać, przyoblekł twarz w łagodny uśmiech i stwierdził:

- Musiałeś nie zauważyć. Prawdopodobnie manipulowano tobą tak, żebyś nie trafił w gęszcz wydarzeń.

Upewniałem go, że włąziłem wszędzie; nie jestem frajerskim fanem sandinistów, lecz jak na rewolucję, ta wystartowała zupełnie czysto i nie działo się nic z rzeczy, jakie sugerował Shellgrave. Mimo to nie zdołałem go przekonać. Fakt, iż wróciłem właśnie z Managui, wydawał mu się zupełnie pozbawiony znaczenia. Swych informatorów z CIA darzył najwyższym zaufaniem, mnie - żadnym. Danie wiary temu, co mówiłem, nie odpowiadało przyjętym przezeń założeniom, więc jej nie dawał. Nie udawał głuchego ani idioty. Po prostu mi nie wierzył. Ludzie pokroju Shellgrave'a, a znajdziecie ich w całej Ameryce Łacińskiej, mają dar silnej wiary; wiedzą, że dysponują prawidłowym obrazem spraw ważnych, panoramą, a zatem wszelkie docierające do nich informacje, które obraz ten podważają, muszą być lewe. Rozkwitają na micie realpolitik, basują tym, którzy ich ściągnęli, no i mają czyste sumienie. To naprawdę przerażający ludzie. Może nie tak przerażający jak major Pedroza i plemię mu podobnych, lecz - wedle mojej opinii - jednym do drugich brakuje niewiele.

Wiedziałem, że nie ma sensu przyciskać go o szczegóły; gapiłem się na białe ściany, próbowałem rozweselić Sherril mrugając do niej i uśmiechając się.

DeVries zaczął indagować Shellgrave'a, ale mu powiedziałem:

- Nie trać czasu.

Za te słowa się na mnie spienił; odrzucił z czoła ten blond loczek, który doprowadza wszystkie dziewczyny z Uniwersytetu Świętego Karola do delirium i powiada:

- Może w tobie, człowieku, już wszystko się wypaliło, ale we mnie wciąż nie. Tu, kapujesz, coś cuchnie i to zupełnie mocno, kapujesz. Jakieś wielkie gówno. Nie czujesz? - Ten facet - wskazałem Shellgrave'a - za to nie odpowiada. Dla niego niebiosa to pokój z widokiem na Wall Street. Nie wie, co to smród. Zeżarł tak wielu ludzi, że uważa to za normalne.

Shellgrave ani na chwilę nie przestał się uśmiechać; w gruncie rzeczy mógł być zadowolony z charakterystyki, jaką wygłosiłem.

- Popatrz - powiedziałem do DeVriesa. - Jest kurewsko piękny. Wie, że imperium się wali i że jego święty obowiązek polega na tym, aby tak długo, jak może, trzymać się ostatniego okrucha.

Ale DeVries, niech go Bóg ma w swojej opiece, był entuzjastą; przyciskał Shellgrave'a, choć bez sensownych rezultatów.

Strzelanina rozpoczęła się mniej więcej dziesięć minut od chwili, gdyśmy weszli do białego pokoju. Najpierw nad rozwibrowanym pomrukiem wentylatorów przypominało to odgłos strzelających korków, potem zadudniło cięższe łomotanie M-sześćdziesiątek. Sherril poderwała się na nogi, a Shellgrave powiedział jej z uśmiechem, żeby się nie denerwowała, bo wszystko jest w porządku. Wierzył w to. Chciał, żebyśmy i my w to uwierzyli. Dla własnego dobra.

- Więc co to jest? - zapytałem. - Odgłosy Demokracji w Natarciu?

Ze zdumieniem pokręcił głową. Byłem niepoprawny i po prostu nie wiedział, co ze mną począć.

Wrzaski wybuchły jakieś trzy minuty po strzelaninie;

Shellgrave zareagował na nie z równym spokojem. Wstał, spróbował wyrzeć przez matowe szkło, a kiedy poniósł fiasko, ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się. Po chwili jednak podszedł do nich i je zarygłował.

- Nie przejmuj się - powiedziałem do niego. - Wszystko jest w porządku.

Sherril spytała:

- Co to jest? Co się dzieje?

Miała twarz barwy płótna i nerwowo zacierała dłonie, a i mnie zaczynało mrozić. DeVries również wyglądał na poruszonego.

- Taa, co się dzieje? - zapytał Shellgrave'a, który z uniesioną i przechyloną na bok głową stał na środku pokoju jak człowiek nasłuchujący dalekiego wołania.

Wrzaski były rozdzierające i straszne, wrzaski najczystszej udręki i przerażenia; albo zagłuszały znaczną część strzałów, albo też nie strzelało już tylu ludzi, co poprzednio. Potem ktoś krzyknął przy samym oknie, na co Shellgrave rzucił się do regału i otworzywszy go począł piętrzyć na biurku papiery. Podniosłem jeden arkusz i zanim wyrwał mi go z dłoni, dostrzegłem słowo „mutagenny”. Wciąż wierzyłem, że przeżyjemy, moja wiara jednak słabła i może z tej przyczyny postanowiłem skończyć z trwaniem w niewiedzy. Pchnąłem mocno Shellgrave'a, posyłając go na podłogę, i zacząłem kartkować akta. Znów mi spróbował przeszkodzić, więc kopnąłem go w brzuch.

DeVries i Sherril stanęli obok mnie. Nie bardzo mogłem coś z tych papierów wykombinować, ale, jak się zdawało, dotyczyły realizowanego od dwudziestu lat projektu, który miał jakiś związek z nowym rodzajem pokarmu i jego wpływem na tutejszą wioskę indiańską. Mieszkańcy - okrutnie niedożywieni - prawdopodobnie oburącz uchwycili się możliwości jedzenia tego gówna.

- Jezu Chryste! - powiedziała Sherril, gapiąc się na jeden z dokumentów.

- Co to jest? - zapytałem.

- Poczekaj! - Zaczęła wertować następne papiery.

Shellgrave jęknął, powiedział:

- To ściśle tajne. - Tym, który teraz mu dokopał, był DeVries.

Nastąpił nagły wzrost napięcia ognia, jak gdyby fala bitwy napłynęła z powrotem.

- Boże - powiedziała Sherril słabo i osunęła się na krzesło Shellgrave'a.

- Powiedz nam wreszcie, do cholery! - zażądał DeVries. - Sądzę - zaczęła i zająknęła się; dla uspokojenia zaczerpnęła powietrza. - Nie wierzę w to. - Patrzyła na nas pustym wzrokiem. - Mutanci. Ten pokarm spowodował okropne zmiany w drugim pokoleniu. Degenerację tkanki mózgowej. Dzieci tych, którzy zaczęli jeść pokarm, są idiotami. Są tu rzeczy dla mnie niezrozumiałe. Ale nastąpiły także zmiany w skórze i krwi. I myślę... myślę, że stali się istotami nocnymi. Ich oczy... - Z trudem przełknęła ślinę. - A teraz ich zabijają. Przestali dawać pokarm, a oni mogą się żywić tylko rośliną, jaką się tu uprawia.

Przyklęknałem obok Shellgrave'a.

- I teraz ci nieszczęśnicy próbują ci się dobrać do dupska. To oni są na zewnątrz, nie?

Miał kłopoty z oddychaniem, ale zdobył się na skinięcie.

Wskazał papiery.

- Spalcie je - wysapał.

- Mhm - odparłem. - Jasna sprawa.

Uderzyła mnie nagle metaforyczność faktu, że jesteśmy oto w tym chłodnym, białym pokoju, odizolowani od wrzasków, strzałów i potwornego umierania, jakie działo się teraz w wilgotnym gorącym dżungli. To było bardzo Amerykańsko-Kontemplacyjne, to była klasyczna amerykańska sytuacja. Wszystkie moje lata zbierania opowieści grozy - opowieści, w których nie było nic z niesamowitego technologicznego horroru rozgrywającego się obecnie, choć przecież wyrosły z występów równie diabolicznych - opowieści kończących swój los w koszu na śmieci redaktora w jakimś mieście... przypuszczam, że wszystkie te lata pozwoliły mi wówczas zrekapitulować własną egzystencję. Był to, rozumiecie, moment dla mnie szczególnie znaczący. Uświadomiłem sobie, że okropność dziejąca się teraz na zewnątrz współgra z wszystkimi innymi okropnościami, jakich byłem świadkiem. Jestem pewien, że czytając tę relację jako fikcję literacką - a jest to jedyny sposób, w jaki ją mogę opublikować - ten i ów stwierdzi, że doklejając do niej elementy science fiction trywializuję prawdziwą rzeczywistość środkowoamerykańską. Tak jednak nie jest. To, co się działo, nie różniło się niczym od tysiąca innych wydarzeń zaistniałych w przeciągu minionych, powiedzmy, stu pięćdziesięciu lat. Nie był to wyjątek, lecz r e g u ł a. I przez brak kontrastu wobec innych okropieństw unaocznił odrażający charakter tej reguły. Wysoki United Fruit, szatański sadyzm ludzi takich, jak Torrijos, Somoza, D'aubisson i tysiące mniej wsławionych kreatur, jatki, inwazje, groby masowe, wysypiska śmieci z wypiętrzonymi stosami smażących się ciał, kanibalizm, gwałty i tortury na ogólnonarodową skalę, a wszystko to skrzętnie udokumentowane i skrzętnie ignorowane... to, co działo się teraz, było tylko częścią większej całości, maleńkim adagio w symfonii cierpień, podtrzymywaniem zrakowaciałej tradycji. Pojmowałem, że ktokolwiek z tej bitwy wyjdzie zwycięsko, nie okaże żurnalistom wielkiej

wyrozumiałości. Jeszcze większy refleks okazał w tej kwestii DeVries. Wygrzebał pistolet z papierowego uroczyska na biurku Shellgrave'a, ujął składane krzesło, polecił nam zmykać ku drzewom, a potem cisnął krzesłem w okno i usunął pozostałe we framudze ułamki matowego szkła. Wykaraskałem się na zewnątrz, pomogłem wyleźć Sherril i DeVriesowi, który ścisnął w dłoni plik dotyczących sprawy dokumentów. Po chłodzie pokoju omal nie zakrztusiłem się cuchnącym upałem. Zerknąwszy na pole poza budynkiem zarządu dostrzegłem tuziny, nie, setki ciemnych, dziwnie poskręcanych nagich postaci uwijających się pośród agawy; część z nich klęcząc obrywała liście, wszędzie też wałały się ciała, z których wiele wyglądało w blasku reflektorów na zakrwawione. To jakby zdjęcie z polaroidu, które, w ciągu jakiejś sekundy wywołane w twej duszy, zamieszka w niej na zawsze, ostre w swej średniowiecznej niesamowitości i brutalnym szczególe. Od drzew dzieliło nas może pięćdziesiąt metrów i sądziłem, że przebedziemy je bez przeszkód, skoro wrzaski i strzelanina dochodziły z frontu budynku. Lecz z tyłu doleciał mnie rozpaczliwy okrzyk i dojrzałem, że wydobywającego się z okna Shellgrave'a ściąga w dół grupa poskręcanych postaci. Shellgrave miał okrwawioną twarz. W następnej chwili inne ciemne sylwetki znalazły się obok mnie.

Ponieważ reflektory były nakierowane na plantację i wokół nas panował mrok, nawet nie zdołałem przyjrzeć się napastnikom. Odniosłem tylko wrażenie, że ich twarze pokrywa coś, co przypomina twardą, porowatą korę, że mają wąziutkie oczy i usta, a zamiast nosa zaledwie dziurki. Nawet jak na Indian byli drobni, skarłowacali i z pewnością niezbyt silni, bo choć ze mnie samego nie krepus, to bez trudu odrzuciłem ich na boki. Było ich jednak wielu i mam pewność, że zginęlibyśmy, gdyby nie DeVries. Zaczął strzelać z pistoletu Shellgrave'a, oni zaś - jak gdyby śmierć stanowiła dla nich wielką pokusę - przestali obłapiać mnie i Sherril, dobierając się do DeVriesa. Chwyciłem Sherril za ramię i pogałem ku dżungli. Pograżyliśmy się w gęstwinę jakies sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów, kiedy usłyszałem skowyt DeVriesa.

Przyjaźniłem się z nim od - jak mówiłem - czterech lat, ale nasza przyjaźń poszła w diabły, ustępując miejsca panice, i biegłem dalej z Sherril na holu, wpadałem w skaliste parowy, wspinałem na wzniesienia i potykając się, padając, ryczałem ze strachu, ilekroć wydało mi się, że dostrzegam jakiś ruch. Musieliśmy umykać pięć, a może sześć minut, gdy po spektakularnym upadku i stoczeniu się ze wzgórza do połowy zbocza przez paprocie i przegniłą ściółkę, odkryłem wlot jaskini.

Wapienne fundamenty dżungli Peten są wręcz podziurkowane pieczarami, nie było to więc zdarzenie cudowne; wyzbyty tchu i śmiertelnie zmęczony postrzegałem je wszakże dokładnie jako takie. Otwór, w którym na koniec zjazdu ze zbocza zwisły moje nogi, był wąski najwyżej kilkudziesięciocentymetrowej szerokości i zaczopowany pnączami, ale wyczuwałem za nim wielką pustą przestrzeń. Oczyściłem wlot z pnączy, ująłem Sherril za rękę i wprowadziłem ją do środka. Chłodny zapach stęchlizny, skapująca gdzieś w pobliżu woda. Uniosłem zapalniczkę jak pochodnię, oświetlając fragment dużej sklepionej galerii o białych, i wyjąwszy rzucone tu i ówdzie wapienne woluty, gładkich ścianach; przy jednej z nich spod brezentu wystawał narożnik skrzyni. Zgasilem zapalniczkę, a kiedy po omacku dotarłem na miejsce, zapaliłem ją znowu i zbadałem skrzynie - było ich cztery: wszystkie miały oznaczenia kodowe i napisy US AIR FORCE. Czuło się wyraźny odór smaru. - Co to jest? - zapytała Sherril.

- Zajeżdża to bronią - odparłem. - Automaty, mam nadzieję.

Dobrałem się do jednej ze skrzyń i zacząłem podważać deski, ale bez większych sukcesów. Wówczas gdzieś sprzed jaskini usłyszałem hałas - przez krzaki przedzierało się coś ciężkiego. W pobliżu wlotu spoczywał wielki głaz i z nadzieją, że zdołamy zablokować nim wejście, pośpieszyliśmy przez jaskinię, zanim jednak dotarliśmy na miejsce, to coś zaczynało już wchodzić do środka, przesłaniając sobą wątłą poświatę księżyca. Przywarliśmy do ściany obok wlotu. Do jaskini wkroczył cień - zbyt wielki, aby mógł być jednym z Indian - a z jego dłoni wystrzelił snop światła. Dostrzegłem panterkę i pistolet w kaburze, a wiedząc, że jedyna nasza szansa leży w ataku,

skoczyłem na przybysza, powalając go na wznak. Sherril poszła w moje ślady, i wbiła palce w jego twarz. Mężczyzna zaklął po hiszpańsku i próbował mnie zrzucić, co pewnie by mu się udało, gdyby nie przeszkadzała mu Sherril. Zdołałem uchwycić go za włosy; walnąłem jego głową w skałę i po trzecim uderzeniu zwiotczał. Zsunąłem się z niego, łapiąc powietrze. Sherril podniosła latarkę i oświetliła sflaczałą ospowatą twarz. To był major Pedroza. Rzecz zaczynała trzymać się kupy - major prawdopodobnie ciułał broń dla własnego małego zamazku lub też czerpał ładny zysk, sprzedając go kontrasom czy jakiejś innej grupie męźnych bojowników o wolność.

Jeśli dotychczas nie miałem czasu przetrwać śmierci DeVriesa i całej afery z fermą eksperymentalną, to w tej chwili odczułem ją jak uderzenie, ją i wszystkie inne, jakie oglądałem przez lata, wszystkie bez najmniejszych efektów relacjonowane ponure historie. Chyba także Sherril kierowały podobne motywy, gniew zrodzony z rozczarowania. Miała takie same jak ja kiedyś skłonności do współczucia, prawdy, nadziei - i w ciągu jednej jedynej nocy to wszystko zostało zniszczone.

Posługując się nożem odebrany Pedrozie wyciąłem pnącza u wlotu jaskini i zabraliśmy się do krępowania majora. Czułem się tak wyprany z emocji, jakbym pakował kawał mięsa. Przewróciłem go na brzuch i związałem mu ręce na plecach; potem skrepowalem nogi, łącząc je z pętlą zaciśniętą mocno na szyi. Jeśli zacznie się szarpać, najwyżej się udusi. Byłem pewien jednego - cokolwiek stanie się ze mną i z Sherril, Pedroza umrze. Zapewne niektórzy mogą się w tym dopatrzeć nieuczciwości. Przecież nie wiem, kim tak naprawdę jest. Istotnie, mnie osobiście nie zrobił nic. Lecz jak szczegółowo dowiodłem wyżej, nie mógł być niewiniątkiem. W gruncie rzeczy powinienem gotować się teraz do wykończenia Shellgrave'a, prawdziwego czarnego charakteru dramatu, a przynajmniej symbolu prawdziwego łotrostwa. Pedrozowie nie mogliby zaistnieć bez Shellgrave'ów. Lecz major także usatysfakcjonuje. Porwałem koszulę, żeby zrobić knebel, który wetknąłem mu w usta i zabezpieczyłem paskiem. Uporawszy się z tą robotą, przepchnęliśmy z Sherril głaz, żeby zablokować wejście, a potem siedząc czekaliśmy na rozwój wydarzeń.

Żadne z nas nie mówiło wiele. Myślałem o porzuceniu DeVriesa i nawet świadomość, że nic nie mogłem pomóc, stanowiła niewielką pociechę. Widziałem go oczyma wyobraźni, jak strzela z pistoletu Shellgrave'a, dostrzegłem kosmyk jasnych włosów i bladą, ściągniętą twarz. Potem widziałem, jak opada go tłum Indian, a wreszcie usłyszałem jego krzyk. Powinienem być przyzwyczajony do gwałtownej śmierci, ponieważ tyle razy w przeszłości miałem z nią do czynienia, ale z tą nie mogłem się łatwo pogodzić. Może byłem z DeVriesem bliżej niż mi się zdawało, a może jego śmierć połączyła się z koszmarem sytuacji.

Nie miałem pewności, co gra w duszy Sherril, lecz czułem, że nurty naszego myślenia biegną jakoś równolegle. Zaczęła drzeć - w jaskini panowała wilgoć - więc otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Zapytałem, czy już jej lepiej, a ona odparła „Tak” i przywarła do mnie mocniej. Jej czysty dziewczęcy zapach osłabił mnie i wprowadził w rozmarzenie. Niebawem ją pocałowałem. Zrazu odsunęła się i powiedziała:

- Nie rób tego... nie teraz.

- Dobra - odparłem spokojnie; w duszy byłem gotów posłuchać, ale wciąż trzymałem dłoń na jej piersi. - Co robisz? - zapytała.

- Nie wiem, po prostu musiałem cię dotknąć.

Zabrałem rękę, ale po chwili przyciągnęła ją na nowo i przycisnęła do piersi. Westchnęła z rozpaczą. - Też chyba tego potrzebuję - powiedziała. - Czy to nie dziwne?

- Co masz na myśli?

- Chciec tego teraz. Czy to nie... - zachichotała trwoźnie - ...występne albo co. - Znów chichot. - Występne. Wymawiała to słowo, jak gdyby nabrało całkowicie nowego znaczenia, znaczenia, które dopiero teraz zdolna jest pojąć. Nie umiałem jej odpowiedzieć. Znów ją pocałowałem i tym razem oddała pocałunek; niedługo potem, rozłożywszy na skale nasze ubrania zamiast materaca, zaczęliśmy się kochać. To była jedyna nadzieja, jedyna rzecz, jaka mogła nas ocalić od wypełniających tłumnie nasze głowy ślepych cieni i krwawych okrzyków - i w rezultacie kochaliśmy się brutalnie, dając tym aktem raczej upust złości aniżeli miłosierdziu. Było w tym również wzajemne zauroczenie, które mieliśmy jako kapitał wyjściowy, coś, co mogło się zdrowo rozwinać, lecz teraz - jak myślałem - krzepione strawą tej groteskowej nocy, zakwitnie poskręcane, mroczne i pozbawione przyszłości. Ale jednocześnie wykorzystując zauroczenie miałem zarazem uczucie, że sposób, w jaki oddaję mu się we władanie, uniemożliwi mi odwrót.

Indianie odnaleźli nas zapewne wówczas, gdyśmy się kochali, bo usłyszałem ich głosy, gdy wychynałem z żaru i chaosu, w jakim pograżyły się nasze ciała: głosy, osobliwe śpiewne szepty, dobiegały nie z wlotu jaskini, lecz gdzieś z góry, co uświadomiło mi, że do naszej kryjówki musi prowadzić drugie wejście. Wcisnęliśmy się w ciuchy, a ja, z pomocą noża Pedrozy, zacząłem włamywać się do skrzyń. Miałem jego pistolet, powątpiewałem jednak, czy to wystarczająca artyleria. Pierwsza skrzynia zawierała rakiety przeciwpiechotne; nie miałem pojęcia, jak się ich używa. W drugiej jednak znalazłem M-szesnastki i pełne magazynki. Wcisnąłem więc magazynek do jednego automatu i przygotowałem się do walki. Byłem zaskoczony, że nas dotąd nie zaatakowali, a gdy po kilku minutach nadal nie uczynili żadnego ruchu, oświetliłem sklepienie latarką Pedrozy. Zanim odsunęli się od wlotu zlokalizowanego w połowie wysokości sklepienia, dostrzegłem żółte, rozjarzone źrenice ich oczu; widok był tak niepokojący, że omal nie upuściłem latarki. Przekazałem ją Sherril i posłałem krótką serię w otwór; choć był niewielki i stanowił zaledwie szczelinę, mógł okazać się dostatecznie duży dla tych poskręcanych ciał. Znajdował się na wysokości kilkunastu metrów. - Te papiery... - zapytałem Sherril. - Było tam coś o tym, czy mogą skakać z dużych wysokości?

Zamyśliła się.

- Widziałam coś o niskiej zawartości wapnia. Ich kości są prawdopodobnie dość kruche.

- Może przyjdzie im do głowy, żeby spuszczać się na linach.

- Może, ale wedle dokumentów to są... to zwierzęta.

Iloraz inteligencji poniżej skali.

Usłyszałem zduszony odgłos i poleciłem Sherril skierować światło latarki na Pedrozę; miał wytrzeszczone oczy i przekrwioną twarz.

- Uważaj - poradziłem mu po hiszpańsku. - Zrobisz sobie kuku.

Jego oczy były jeszcze bardziej wściekłe niż oczy Indian.

- Sądzę, że nic się nam nie stanie - powiedziała Sherril.

- Jeśli powstrzymamy ich do świtu, nic się nam nie stanie.

- Bo wiodą nocny tryb życia?

- Mhm. Nie znoszą silnego światła. Może pod osłoną listowia zdołają wysiedzieć do rana, ale w południe będą straszliwie cierpieć. - Latarka w jej dłoni zadrzała. - Zagrzebują się.

- Co? - zapytałem.

- Poruszają się nocą, a kiedy nadchodzi dzień, zagrzebują się w ziemi, gdziekolwiek są i śpią... jak wampiry. Uśpieni, prawie nie oddychają.

- Chryste - powiedziałem, niezdolny strawić to, niezdolny poczuć odrazę jeszcze większą od tej, która już we mnie była.

Zerknąłem na Pedrozę; był odpowiedzialny za wiele rzeczy. Sherril też na niego patrzyła i ze wzgardy, jaka odbijała się w jej twarzy pojąłem, że nawet gdyby mnie tu nie było, Pedrozę czekałyby paskudne przeżycia.

Usiedliśmy przy głazie, podpierając go plecami na wypadek, gdyby Indianie spróbowali się wdrzeć; oświetlaliśmy górny wlot i rozmawialiśmy, żeby zagłuszyć nieustającą i rozstrajającą muzykę ich głosów, która w niczym nie przypominała mowy, lecz była ledwie poszumem, wędrującą po jaskini melodią bezlitosnego szaleństwa. Opowiadałem Sherril historie, nie takie jednak, jakie byłbym opowiadał w innych okolicznościach. Były to historie o wspaniałych, męźnych uczynkach, jakich byłem świadkiem, historie, w których wciąż żyła nadzieja, historie dające sztuce opowiadania historii dobre imię, nie zaś moje zwykłe, przepojone niesmakiem opowiastki o Szatańskich Biznesmenach i ich ogólnoswiatowych szwindlach. Te historie stanowiły najlepszą część mojego żywota i nie w tym rzecz, iż bałem się śmierci, bo sądziłem, że jednak z tego wyjdziemy; chodziło o to, że ostatnie z mych głupich ideałów oddawały ducha i wypowiadały przedśmiertne słowo. Jakkolwiek przekonywałem sam siebie, że już dawno wyrzekłem się ideałów, to jestem pewien, że dopiero wtedy ostatecznie skapitulowałem przed złem tego świata.

Tak samo było z Sherril. Rozprawiała o pielęgniarstwie, jaki to ważny zawód, mówiła o domu i starych przyjaciołach, ale wciąż gubiła wątek. Musiałem korygować ją pytaniami, jak gdyby jej stacja uciekała ze skali. Obserwowałem jej twarz. Była bardziej niż ładna. Tak cholernie ładna, że nie wierzyłem, jakim jestem szczęściarzem mogąc się z nią pokochać - idiotyczne rozważania. Miała zielone oczy z brązowymi plamkami na tęczęwkach i jedwabiste włosy, ale najbardziej mi się w niej podobało, że wiedziała to samo co ja. Zmieniała się na mych oczach, twardniała, dowiadywała rzeczy, jakich nie powinna była dowiedzieć się nigdy. Cholerna hańba, że ta dobra dziewczyna musiała tak młodo zrozumieć, iż dobroć można sobie potłuc o kant dupy. Słuchając jej wywodów słyszałem jednocześnie obłąkany zaśpiew plemienia, które nas chciało zabić, i stęknienia Pedrozy pragnącego zwrócić na siebie uwagę. Nie miało to żadnego znaczenia. W jakimś sensie byłem niemal szczęśliwy stawiając temu wszystkiemu czoło, wiedząc, jak kiepsko się to może skończyć, a przecież wciąż potrafiłem patrzeć na ładną kobietę i żywić jakąś nadzieję. Wiedziałem, że i to może mi być odebrane, ale przestałem się bać. I też się uczyłem. Jakkolwiek wówczas tego nie dostrzegłem, uczyłem się, że można pokochać przez nienawiść, przez fakt, że jest się z kimś w tyglu chwil, gdy wszystko inne umiera i jedyne, co człowiekowi zostaje, to próbować przeżyć. A może to nie była miłość, może to było coś, co zastępuje miłość tym, którzy skapitulowali.

Przed samym świtem Indianie zaczęli spadać ze szczeliny. W sumie skoczyło jakichś dwudziestu, lecz lądowanie przeżyła najwyżej jedna trzecia - niezdolna zresztą do ruchu z powodu potrzaskanych kości. Pierwszy skoczek mnie spłoszył, a z ust Sherril wyrwał się wrzask. Później jednak nie było to nawet dramatyczne, co najwyżej żalosne. Ranni pełzli ku nam: rozwarte szczeliny ich ust ukazywały krwistoczerwone języki, a osobliwie niedokończone twarze miały wyraz, który wydał mi się parodią desperacji. Wykańczałem ich salwami z M-16. Nie wiem, dlaczego podejmowali kolejne próby, ani czemu w pewnej chwili przestali napływać jak lemingi. Może tak skoki, jak zaniechanie stanowiły etap ich własnej drogi ku kapitulacji. Zyskawszy pewność, że następni już nie nadejdą, poodciągałem zwłoki w głąb jaskini, poza pole widzenia, za występ; starałem się nie patrzeć na trupy, ale mimo to dostrzegłem kilka szczegółów. Szczątkowe genitalia; lekko błękitne zabarwienie skóry, jak gdyby cierpieli na sinicę; plecy wygięte w kabłąk, gruzłowate łopatki. Były to zwłoki lekkie jak wysuszone trupki dzieci.

Tego dnia słońce weszło kwadrans po piątej i wypełniło mglistą czerwoną poświatą szczelinę w kopule - wąskie złowieszcze oko - lecz głosy śpiewały jeszcze jakiś czas potem. Pedroza błagał nas spojrzeniem; złał się w spodnie, biedaczysko. Obserwowaliśmy, jak wierci się i mruczy; urządziliśmy konkurs, kto wydobędzie zeń najbardziej interesujący odgłos, biorąc - na przykład - nóż i zachodząc go od tyłu.

Na koniec daliśmy mu spokój i rozmawialiśmy, snując plany, co zrobimy po opuszczeniu jaskini: omijając Sayaxche ruszymy wprost do Flores, może autostopem na wracającej z dżungli cysternie.

Sherril popatrzyła na mnie i zapytała:

- Co zamierzasz robić później?

- Nie zostanę w tych stronach. Stany... może wrócę do Stanów. A ty? Nikaragua?

Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Może dom.

- Calgary?

- Mhm.

- Jak tam jest?

Otworzyła usta, zamknęła je, a potem się roześmiała.

- Nie wiem. - I po pauzie: - Góry Skaliste, są w pobliżu. Pomyślałem o Skalistych, o ich czystej, chłodnej prawości, ich sosnowej ciszy, tak odmiennej od malarycznego zgiełku, w którym podróżowałem przez te wszystkie lata. Wypowiedziałem ich nazwę na głos, a Sherril spojrzała na mnie pytająco.

- Tylko sprawdzałem, czy to dobrze brzmi - wyjaśniłem. Dopiero blisko południa uznaliśmy, że opuszczenie jaskini nie jest niebezpieczne. Podszedłem do Pedrozy i wyjąłem mu knebel z ust. Aby przemówić, musiał oblizać wargi i przez kilka chwil poruszać szczękami. Potem powiedział:

- Proszę... ja... proszę.

- Proszę o co? - zapytałem.

Jego oczy strzeliły ku Sherril, potem ku mnie. - Nie zabijaj mnie - powiedział. - Mam pieniądze, mogę ci pomóc.

- Wcale nie zamierzam cię zabijać - odparłem. - Zamierzam zostawić cię tu skrępowanego.

Był to test na jego reakcję, sprawdzenie, czy ma jeszcze jakichś pozostałych przy życiu sprzymierzeńców; gdyby oblał, zamierzałem go zastrzelić. Jego strach nie był udawany, ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Mamrotał, obiecując niebo i ziemię, przysięgał nam dopomóc. Tak go nienawidziłem, nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo. Na nim skupiła się cała moja nienawiść.

- Mógłbym cię zastrzelić - powiedziałem. - Ale sądzę, że cię tu po prostu zostawię. Oczywiście, masz wybór. Jeśli szarpniesz nogami naprawdę mocno, prawdopodobnie zdołasz się zabić.

- Posłuchaj - zaczął.

Rąbnąłem go w szczękę kolbą automatu; cios wykręcił mu głowę tak, że z trudem uchronił się przed zaciśnięciem pętli. Przemawiałem dalej, oświadczyłem, że jeśli wyzna swe grzechy, może dam mu szansę. Byłem bardzo przekonujący. Zrazu miał opory, ale potem wylał z siebie wszystkie występki: gwałty, masakry, tortury, dokładnie to, czego się spodziewałem. Po spowiedzi wydawał się pusty, wyprany z mocy, jak gdyby krzepiła go dotąd tylko skrywana wiedza o własnych zbrodniach.

- Sto zdrowasiek - zaordynowałem, czyniąc w powietrzu znak krzyża. - Jezus ci przebaczy.

Zaczął coś mówić, ale znów wetknąłem mu w usta knebel.

Sherril patrzyła na niego zimnym i bezlitosnym wzrokiem. Pocałowałem ją z zamiarem pocieszenia, podniesienia na duchu, ale zerknąwszy na Pedrozę doszedłem do wniosku, że ten pocałunek go zranił. Znów ją pocałowałem, dotknąłem jej piersi. Mocno zacisnął oczy, a potem otworzył je bardzo szeroko; szarpnął się lekko. Sherril wiedziała, do czego zmierzam, i aż się paliła; jej antypatia do majora była równie silna jak moja. Rozścieliliśmy ubrania na skale i kochaliśmy się po raz drugi, ukazując Pedrozie, jak rozkoszne może być życie, pozwalając mu pojąć cały tragizm jego losu - i znów wydawało się, że to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić. Nic

dla nas nie znaczył, był abstraktem, celem tak bezwartościowo neutralnym jak prezydent. Przypadkowo kochaliśmy się pod szczeliną w wapiennej skale i skośny snop przykurzonego słonecznego blasku - jakie widuje się strzelające z wysokich okien katedry - padł na Sherril, malując osobliwie złocistą maskę na jej oczach i nosie, która uczyniła z jej twarzy świetlistą tajemnicę. A to, cośmy robili, wydawało się tajemnicze i natchnione. Nie było to przedstawienie, lecz rytuał, jakiś rodzaj nienawistnych zabiegów kultowych. Zachowywaliśmy się bardzo cicho, a pod koniec nawet stłumiliśmy okrzyki - i ta cisza wzmacniała naszą przyjemność. Po wszystkim, choć dobiegał mnie bulgocący odgłos oddechu Pedrozy, było tak, jakbyśmy znaleźli się sam na sam z naszym bogiem w uświęconej kaplicy ciszy o ścianach białych i chłodnych jak wnętrze czaszki, której jesteśmy bezcielesnymi myślami. Miałem w sobie bezgraniczną czułość. Skąpany w owej złocistej smudze, olśniony, błogosławiony w naszym zamierzeniu, pieściłem ją, całowałem, przyjmowałem jej pocałunki i pieszczoty. Myślę, że byliśmy w tej chwili szaleni, ale szaleństwem świętych. Uśmiechnięci do siebie, ubraliśmy się nie zwracając uwagi na Pedrozę, który przyciągnął nasze spojrzenia dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy usuwać głaz z wejścia do jaskini. Pedroza wciąż błagał nas oczami, wiał się ku nam, skamlał, wydawał zdławione, bełkotliwe odgłosy. Nie budził mego współczucia. Zasłużył na wszystko, co mu szykował los. Próbował kiwać głową i mierząc spojrzeniem w moją broń błagał, bym go zabił.

- Adios - powiedziałem; to słowo, które znaczy „z Bogiem”, jest w naszych bezbożnych czasach ironicznym zwrotem językowym.

Zablokowaliśmy głazem wejście do jaskini.

Po kilku krokach stanęliśmy jak wryci na widok tego, co ukazało się naszym oczom. Całe zbocze przyległego wzgórza pokrywały mierzące po jakieś półtora metra długości kopczyki z czarnoziemem. Pomiędzy paprociami, pod spróchniałymi kłodami i krzakami były ich setki. Jak przycółki migrujących mrówek, które widywałem w Ameryce Południowej. Był to koszmarny widok i na myśl o tych drobnych zdeformowanych ciałach spoczywających sztywno pod przykryciem z ziemi, poczułem mdłości i zawroty głowy. Chyba powinienem był okazać miłosierdzie i zastrzelić je w ich legowiskach. Skrzynie w jaskini zawierały wystarczającą dawkę śmierci. Lecz ktoś mógł usłyszeć strzały, no a i ja sam wyrosłem już z pojęć miłosierdzia i pomocy humanitarnej. Wypadłem z tej gry. Nie byłem z tego dumny, ale przynajmniej próbowałem, spędziłem na próbach całe lata, gdy większość ludzi poddaje się z góry. Mogłem tylko odejść. Oddaliliśmy się więc od jaskini, Sayaxche, Gwatemali, tych żalonych, małych istot ze szczelinami oczu i ułomnymi mózgami w ich śnie z ziemi i koszmaru, od majora Pedrozy w ostatecznym białym kościele jego przerażenia, od całego cholernego świata. A skoro nie było już żadnego miejsca, gdzie pragnęlibyśmy się udać, poszliśmy tam razem.

Czasem patrzę na Sherril, a ona spogląda na mnie i zastanawiamy się oboje, dlaczego wciąż ze sobą jesteśmy. Nadal się kochamy, ale nie wydaje się sensowna sytuacja, gdy miłości udaje się przetrwać akt kapitulacji tak bezwarunkowej jak nasza, więc nieustannie oczekujemy, aż ujawni się jakaś złowroga mutacja, twór owej nocy w dżungli za Sayaxche. Chyba dlatego nie mamy dzieci. Jednak zanadto się nad tym nie zastanawiamy. Życie jest słodkie. Mamy forszę, żarcie, przyszłość, chatę w Skalistych nieopodal Calgary, pracę, na której nam zależy - choć może nie wykonujemy jej z taką samą pasją jak kiedyś. Wspaniale jest kochać się, spacerować, wdychać wiatr i obserwować słońce na sosnach. Nie jesteśmy tak naprawdę szczęśliwi, za dużo się nam przydarzyło, abyśmy mogli kupić ten kit; ale też żadnemu z nas szczęście nie jest specjalnie potrzebne. Być szczęśliwym to zbyt ambitne zadanie, kiedy świat schodzi na psy, kiedy gówniany potop gotów jest trysnąć z zadka natury i zaskoczyć nas prawdziwie katastrofalną plagą promieniowania kosmicznego z piekła, no i te znaki na niebie, że czas pojednać się z Bogiem albo może wykonać parę posunięć, żeby coś zmienić, a tymczasem wciąż się słyszy wiecznie to samo łagodne, wszechobecne pieprzenie o wzmocnieniu ekonomii czy może podrzuceniu paru dolców ekstremistom, którzy chcieliby mieć nadające się do oddychania powietrze, nie dopuścić do

stopienia czap lodowych i woleliby nie zniechęcać do siebie reszty ludzkości popieraniem każdego sadystycznego nowotwora w mundurze, który postanawia zostać Bogiem Mangolandii i zaopatrywać w kokainę Południowy Bronx w zamian za to, że powie „Nie” Czerwonemu Zagrożeniu. Ameryka Środkowa nie jest po prostu Ameryką Środkową. Jest tym, co się właśnie dzieje, co wkroczy niebawem na wasze podwórko, a jeśli sądzicie, że przesadzam, jeśli nie dostrzegacie oznak, jeśli nie zwracaliście uwagi na nieubłaganą transformację Krainy Wolności w kolejny slums... cóż, jak sobie chcecie. Więc zrzućcie buty, walnijcie zimne piwo, może złapcie w ABC ten reportaż o Głodujących, zafundujecie sobie wilgotne oczy, dzięki czemu kiedy przyjdzie czas na Poniedziałkowy Wieczór Futbolu czy „Policjantów z Miami”, doświadczycie większego ciepłka, jakbyście prawie coś czując pospłacali swoje długi.

I nie przejmujcie się, wszystko jest w porządku.

Obiecuję nigdy już o tym nie wspominać.

Adios.

Przełożył Andrzej Ziembicki

LUCIUS SHEPARD

Jeden z najbardziej uznanych pisarzy lat osiemdziesiątych. Dotychczas na łamach „Nowej Fantastyki” przedstawiliśmy jego utwory fantasy: nowelę „Człowiek, który pomalował smoka Griaule’a” (11/92), oraz mikropowieść osadzoną w tym samym fantastycznym świecie, zatytułowaną „Ojciec Kamieni” (2-3/92). Shepard pisuje jednak nie tylko fantasy, znacznie częściej buduje opowieści, których akcja rozgrywa się w Ameryce Południowej w bliskiej nam przyszłości, czasem próbuje też łączyć fantasy z realiami iberoamerykańskimi. Stałym motywem jego twórczości jest osamotnienie człowieka.

Znajdziemy to również w opowiadaniu „Kapitulacja”.

Shepard jest przedstawicielem młodego pokolenia

Amerykanów kontestujących ekspansywną polityką swego kraju. Sądzę, że kilka lat temu utwór ten nie uzyskiwałby u nas zrozumienia, z jakim może spotkać się dzisiaj. Należy do nurtu, do niedawna bardzo w Polsce popularnej political fiction. Don Wollheim zamieścił je w ostatnim swym wyborze, który nie miał już szczęścia ukazać się w Polsce.

D.M.

Lucius Shepard

Przepustka

Jeden z nowych helikopterów bojowych typu Sikorsky stanowiących wyposażenie I Dywizji Kawalerii Powietrznej, z wymalowanymi na burcie słowami „Szepcząca Śmierć”, podrzucił Mingollę, Gilbeya i Baylora z Mrówczej Farmy do San Francisco de Juticlan, małego miasta położonego w strefie zielonej, którą na najświeższych mapach określano mianem Wolnej Okupowanej Gwatemali. Na wschód od strefy zielonej leżała nie nazwana wstęga żółta, przecinająca kraj od granicy Meksyku po Morze Karaibskie. Mrówcza Farma była bazą artyleryjską na wschodnim skraju żółtej wstęgi i z niej właśnie niespełna dwudziestojednoletni artylerzysta Mingolla miotał pociski na obszar, który mapy przedstawiały za pomocą białych i czarnych znaków terenowych. I stąd się wzięło, że często myślał o sobie jak o kimś zaangażowanym w walkę o ocalenie świata dla kolorów podstawowych.

Mingolla i jego kumple mogli spędzić swój urlop w Rio albo w Caracas, spostrzegli jednak, że ludzie, którzy odwiedzali te miasta, są po powrocie skłonni do nieostrożności; wnioskuje stąd, że

im obfitszy program twej przepustki, tym prawdopodobniejsze, iż skończysz jako poległy, zawsze optowali za skromniejszymi rozrywkami miast gwatemalskich. Nie byli prawdziwymi przyjaciółmi; mając ze sobą niewiele wspólnego w odmiennych okolicznościach mogliby z powodzeniem być wrogami. Ale jednocześnie wykorzystywanie przepustek stało się stopniowo rytuałem przetrwania i gdy tylko dotarli do upatrzonego miasta, podążali osobnymi szlakami, oddając się kolejnym rytuałom. Przeżywszy już tak wiele zakładali, że jeśli tylko będą powtarzać te same obrządki, bez uszczerbku zakończą swoje wyprawy. Nigdy się sobie nie zwierzały z tego przeświadczenia, mówiąc o nim - co też stanowiło część rytuału - tylko okrężnie, a gdyby je zakwestionowano, przyznałyby, że jest irracjonalne, podkreślając wszelako, iż narzuca je osobliwy charakter wojny. Helikopter osiadł w położonej milę na zachód od miasta bazie lotniczej: na cementowym pasie otoczonym z trzech stron przez koszary i biura, za którymi piętrzyła się dżungla. Na środku pasa inny Sikorsky - pijana ważka w barwach ochronnych - ćwiczył starty i lądowania, a dwa inne zwiślały w górze jak zaniepokojeni rodzice. Kiedy Mingolla zeskokczył na ziemię, wietrzyk zatrzepotał jego koszulą. Pierwszy raz od wielu tygodni miał na sobie łańchy cywilne, które w porównaniu z drelichami polowymi wydawały się wiotkie; rozejrzył się nerwowo, niemal oczekując, że niewidoczny wróg wykorzysta fakt, iż się odsłonił. Jacyś mechanicy wylegiwali się w cieniu śmigłowca, którego kabina została rozwalona tak, że tylko podobne do kłów ułamki plastyku sterczały z osmalonego metalu. Między budynkami to tu, to tam, toczyły się zakurzone jeepy; parka wykrochmalonych na sztywno poruczników żwawym krokiem zmierzała wprost do widlaka załadowanego wysoko aluminiowymi trumnami. Popołudniowe słońce zapalało race na ich spawach i uchwytach, a przez gorącą mgiełkę odległa linia baraków kołysała się jak fale niespokojnego brudnooliwkowego morza. Niespójność tej sceny, jej „Co nie pasuje do tego obrazka?”, mieszanina strasznego z powszednim, aż Mingollę skrzyła. Drżała mu lewa dłoń, blask zdawał się potężnieć, przyprowadzając go o zawrót głowy i osłabienie. Żeby odzyskać równowagę, wsparł się o wyrzutnię rakiętową Sikorsky'ego. Gdzieś wysoko na ciemnobłękitnym bezmiarze niebios rozmywały się smugi kondensacyjne: XL-16 leciały wywalić parę dziur w Nikaragui. Spoglądał w ślad za nimi z uczuciem podobnym tęsknocie, próbując ułoić dźwięk ich silników, ale słyszał tylko głęboki szept Sikorskich.

Z luku wiodącego na umiejscowiony za kabiną pilotów pokład komputerowy wyskoczył Gilbey; strzepnął z dzinsów wymaginowany kurz, niespiesznie podszedł do Mingolli i stanął z dłońmi na biodrach: niski muskularny chłopak, który dzięki ostrzyżonym na jeża włosom i skrzywym fonym wargom wyglądał jak złośliwy dzieciak. Potem z luku wstawił głowę Baylor i z troską omiótł wzrokiem horyzont, by dopiero po chwili zeskokczyć na dół. Był wysoki, kościsty i kilka lat starszy od Mingolli; miał gładkie czarne włosy, przyszczatą oliwkową skórę i rysy tak ostre, jakby wyciosano je siekierką. Wsparł dłoń na bucie Sikorsky'ego, ale niemal natychmiast, gdy spostrzegł, że dotyka płomienistej litery S w „Szepczącej Śmierci”, jak oparzony szarpnął dłoń ku sobie. Trzy dni temu na Mrówczą Farmę dokonano totalnego ataku i Baylor jeszcze się nie otrząsnął.

Ani Mingolla. Trudno było ocenić, czy Gilbeya rzecz poruszyła, czy nie. Jeden z pilotów Sikorsky'ego rozwarł drzwiczki kabiny. Okazję do Frisco możecie złapać w kantynie - powiedział głosem zduszonym przez czarny bąbel osłony, na którym słońce zapaliło biały refleks, co stwarzało iluzję, że hełm mieści w sobie noc i jedną tylko gwiazdę. - Gdzie ta kantyna? - zapytał Gilbey.

Zduszonej odpowiedzi pilota nie dało się zrozumieć.

- Co? - zapytał Gilbey.

Znów słowa pilota były stłumione i Gilbey zaczął się złościć.

- Zdejmij to cholerstwo! - powiedział.

- To? - pilot wskazał osłonę twarzy. - A po co?

- Żebym słyszał, do diabła, co mówisz!

- Ale teraz słyszysz, nie?

- OK - wycedził Gilbey przez zęby. - Gdzie ta cholerna kantyna? Odpowiedź pilota była niezrozumiała; w nieodgadnionym zamiarze jego pozbawiona rysów maska wpatrywała się w Gilbeya. Gilbey zacisnął pięści. - Zdejmij to kurewstwo! - Nie da się tego zrobić, żołnierzu - powiedział drugi pilot, wychylając się z drzwiczek tak, że dwa czarne bąble znalazły się niemal tuż obok siebie. - Te tu bajery - klepnął swoją osłonę - mają mikroukłady i one nam dosłownie promieniują gnojnkami w oczy. Działają na nerw wzrokowy. Tak robią, że widzimy bereciarzy nawet jak są w przyczajce. Im dłużej to nosimy, tym lepiej widzimy. Baylor zaśmiał się nerwowo, a Gilbey powiedział: - Kit!

Mingolla pojął naturalnie, że piloci podpuszczają Gilbeya, lub że ich niechęć do zdejmowania hełmów bierze się z przesądu, może nawet wmówionego sobie przekonania, iż osłony istotnie obdarzają ich szczególną mocą.

Ale w wojnie, podczas której fasowało się narkotyki bojowe, a media przewidywały ruchy nieprzyjaciela, wszystko było możliwe, nawet mikroukłady poprawiające wzrok.

- Tak czy siak, wcale byśmy się wam nie spodobali - powiedział pierwszy pilot. - Promienie nam psują urodę. Jesteśmy zdeformowane wysyny. - Oczywiście, możecie wcale nie zauważyć zmian - dodał drugi pilot. - Kupa luda nie zauważa. Ale jak byście dostrzegli, to by was skreśliło. Wizja deformacji pilotów posłała przez ciało Mingolli zrodzony gdzieś w żołądku dreszcz mdłości. Gilbey jednak nie kupował. Myślicie, że jestem durny!?! - wrzasnął, a szyja mu spurpurowiała. - Nieee - odparł pierwszy pilot. - W i d z i m y, że nie jesteś durny.

Dzięki tym promieniom widzimy wiele rzeczy, których nie widzą inni. - Najrozmaitsze niesamowitości - zawtórował drugi pilot. - Na przykład dusze.

- Zjawy.

- Nawet przyszłość.

- Przyszłość to nasz najlepszy numer - stwierdził pierwszy pilot. - Jak chcecie, chłopaki, wiedzieć, co was czeka - powiemy wam. Jak na komendę skinęli głowami, a promień słońca prześlizgnął się po obu osłonach: dwa demoniczne, jednakowo zaprogramowane roboty. Gilbey rzucił się ku drzwiom kabiny. Pierwszy pilot zatrzasnął drzwiczki, a Gilbey, wyrzaskując przekleństwa, jął łomotać w plastik. Drugi pilot wcisnął przełącznik na tablicy rozdzielczej i chwilę później zadudnił jego wzmocniony głos: - Idźcie prosto obok tego widlaka, aż dojdziecie do koszar. Traficie wprost do kantyny. Trzeba było połączonych sił Mingolli i Baylora, żeby od Sikorsky'ego oderwać Gilbeya, który przestał wrzeszczeć dopiero obok widlaka z jego ładunkiem trumien: olbrzymim skarbem monstualnych sztab srebra. Wówczas uspokoił się i opuścił wzrok. Przed kantyną załapali się fuksem na kurs do miasta z kapralem żandarmerii polowej, a gdy jeep mrucał już po betonie, Mingolla obejrzał się na Sikorsky'ego, którym tu przybyli. Obaj piloci, rozłożywszy na ziemi brezentową płachtę, opalali się rozebrani do gatek. Ale hełmów nie zdjęli. Osobliwe zestawienie smagłych ciał i połyskliwie czarnych głów niepokoiło Mingollę, przywodząc mu na pamięć stary film, w którym pewien gość dostał się do teleportera razem z muchą i wyszedł z jej głową na ramionach. Może, pomyślał, takie właśnie są te hełmy: nie da się ich zdjąć. Może aż tak niezwykła stała się ta wojna. Kapral żandarmerii spostrzegł, że przygląda się pilotom, a parsknął szczekliwym śmiechem. - Ci faceci - powiedział z bezbarwnym naciskiem kogoś, kto wie, o czym mówi - to pojebane świry. Sześć lat temu San Francisco de Juticlan było luźnym skupiskiem chat krytych strzechą i betonowych zwalistych budowli rozrzuconych wśród palm i bananowców na wschodnim brzegu Rio Dulce, w miejscu przecięcia rzeki i piaszczystej drogi, która łączyła się z Autostradą Panamerykańską; od tego czasu rozrosło się jednak tak bardzo, że zajęło poważne tereny na obydwu brzegach, powiększone o tuziny barów i burdeli - stiukowych sześcianów wymalowanych wszystkimi kolorami tęczy, z fantastycznym bestiariuszem neonów umieszczonych na ich cynowych dachach: smoki, jednorożce, centaury. Kapral MP wyjaśnił, że te znaki nie są reklamami, ale zaszyfrowanymi symbolami dumy; na przykład z wizerunku skrzydlatego czerwonego tygrysa przyczajonego pośród zielonych lilii i błękitnych krzyży można

wywnioskować, że właściciel jest zamożny, należy do tajnego stowarzyszenia katolickiego i nie ma jednoznacznej opinii na temat polityki rządu. Stale znaki nieustannie demontowano, by wznieść w ich miejsce nowe, większe i zdobniejsze, jako symbole rosnących zysków, i ta walka światła i obrazów była czymś adekwatnym do czasu i miejsca, bo San Francisco de Juticlan w mniejszym stopniu było miastem, a w większym - symptomem wojny. Choć nocne niebo roiło się tu od gwiazd, na ziemi działa się parszywie i plugawie. Na wysypiskach śmieci stadami buszowały bezpańskie psy, zatwardziałe kurwy spluwały z okien i wedle słów kaprała nie było czymś nadzwyczajnym potknąć się o trupa, najpewniej ofiarę gangów bezdomnych dzieci koczujących na obrzeżach dżungli. Między barami biegły wąskie uliczki, których brązową glinę zaścielały warstwy spłaszczonych puszek, fekaliów i potłuczonego szkła; na każdym rogu żebrali uciekinierzy, obnażając poparzeliny i rany po kulach. Wiele budynków wzniesiono w takim pośpiechu, że ich ściany były pochyle, a dachy koślawe, co sprawiało, że cienie, jakie rzucały - niczym cienie z obrazu psychopatycznego malarza, który daje wizualny wyraz podminowującym go napięciom - były aż przesadne w swej poszarpanej ostrości. A przecież idąc przez miasto Mingolla czuł się na luzie, prawie szczęśliwy. Jego nastrój brał się po części z przeczucia, że to będzie cholernie udany kawałek przepustki (a nauczył się dowierzać swoim przeczuciom), głównie jednak wypływał z faktu, że miasta takie jak to stały się dlań rodzajem życia pozagrobowego, nagrodą za przetrwanie surowego wyroku istnienia.

Kapral wysadził ich przy drogerii, gdzie Mingolla kupił pudełko papeterii, a potem wpadli na drinka do Club Demonio, maleńkiego lokaliku, którego białe ściany wypolerowane były aż do nikłej fosforescencji światłem zwisających z sufitu jak radioaktywne owoce purpurowych żarówek. Klub był nabity; klienci żołnierze i dziwki - przeważnie siedzieli przy stolikach wokół parkietu niewiele większego niż podwójny materac. Dwie pary kołysały się w rytm ballady płynącej z szafy grającej chronionej zabudową z kantówki i drutu, a welony dymu papierosowego z podwodną powolnością dryfowały nad ich głowami. Niektórzy żołnierze międlili swoje dziwki, a jedna z nich próbowała ukraść portfel partnera, który był już niemal całkowitym denatem; jedną dłonią obrabiała mu krocze sprawiając, że wyrzucał do przodu biodra, a wówczas drugą wyciągała portfel wetknięty w tylną kieszeń obcisłych džinsów. Ale cała ta akcja wydawała się apatyczna, wymuszona, jak gdyby zgęstniałe od mroku i karmelkowej muzyki powietrze krępowało ruchy. Mingolla zajął stołek przy barze. Barman, którego źrenice zamknęły w sofie purpurowe refleksy, popatrzył nań pytająco i Mingolla powiedział:

- Piwo.

- Hej, obadaj to! - Gilbey osunął się na sąsiedni stołek i gestem kciuka wskazał kurwę przy końcu baru. Jej spódnica podciągnięta była do pół uda, a piersi, sądząc z kubatury i jędrności, stanowiły sukces chemochirurgii.

- Niezła - bez zainteresowania odparł Mingolla. Barman postawił przed nim butelkę piwa. Pociągnął łyk; było kwaskowe, wodniste, niczym destylat zatęchłego powietrza.

Baylor opadł na stołek obok Gilbeya i zanurzył twarz w dłoniach. Gilb~y powiedział doń coś, czego Mingolla nie dosłyszał, a Baylor dźwignął głowę. - Nie wracam - oznajmił.

- Och, Jezu - rzekł Gilbey. - Nie zaczynaj znowu pieprzyć. Półmrok zaklejał oczodoły Baylora skrzepami cieni. Jego wzrok skupił się na Mingolli. - Następnym razem nas dostaną - powiedział. - Powinniśmy ruszyć w dół rzeki. W Livingston są łodzie, którymi można się dostać do Panamy.

- Panama! - skrzywił się Gilbey. - Wszystko, co tam masz, to jeszcze większa kupa bereciarzy.

- Na Farmie nic nam nie grozi - wtrącił Mingolla. - Jak się zrobi za gorąco, to nas wycofają.

- „Za gorąco?” - na skroni Baylora pulsowała żyła. - Co to znaczy, do kurwy nędzy, „za gorąco” ?

- O kant dupy! - Gilbey podniósł się ze stołka. - Ty z nim gadaj, człowieku - powiedział do Mingolli, a ukazując cytata dziwkę dodał: - Ja tam zamierzam się wdrapać na ten Mount Silicon. - Dziewiąta - rzekł Mingolla. - W kantine. OK? Gilbey powiedział „taca” i odpłynął. Baylor zajął jego stołek i pochylił się ku Mingolli. - Wiesz, że mam rację - powiedział natarczywym szeptem. - Tym razem prawie nas załatwili.

- Kawaleria Powietrzna da im radę - stwierdził Mingolla z udaną nonszalancją. Otworzył pudełko papeterii i z kieszonki koszuli wyjął pióro. - Wiesz, że mam rację - powtórzył Baylor.

Udając roztargnienie Mingolla przytknął pióro do ust. - Kawaleria - rzekł Baylor ze śmiechem rozpaczy - Kawaleria Powietrzna może sobie wsadzić!

- Może byś puścił jakiś przyzwoity kawałek? - zasugerował Mingolla. - Zobacz, czy nie mają w tym pudle jakiegoś Prowlera. - Cholera! - Baylor złapał go za nadgarstek. - Czy ty nie rozumiesz, człowieku? Ten syf już się nie sprawdza!

Mingolla strząsał jego dłoń. - Zmiany ci się zachciewa, co? - rzucił zimno. - Zmienić to ja ci mogę forszę do szafy. Z kieszeni spodni wyciągnął garść monet i cisnął je na bar. O, proszę bardzo.

- Powiadam ci...

- Nie chcę tego słuchać! - warknął Mingolla.

- Nie chcesz tego słuchać? - spytał z niedowierzaniem Baylor. Był o włos od utraty samokontroli. Jego ciemna twarz lśniła od potu, jedna powieka drgała. Z naciskiem walił w szynkwasa. Człowieku, lepiej posłuchaj! Bo jeśli nie wykręcimy czegoś szybko, ale to naprawdę szybko, zdechniemy! Słyszysz, nie?

Mingolla chwycił go za przód koszuli. - Zamknij się! - Nie zamierzam się zamknąć! - skrzeknął Baylor. - Wy z Gilbeyem, człowieku, myślicie, że ocalicie dupska chowając głowy w piasek. Ale zmuszę was do słuchania!

Odrzucił głowę do tyłu i jego głos przeszedł we wrzask: Zdechniemy! Sposób, w jaki wrzeszczał - niemal radośnie, jak szczeniak wykrzykujący plugastwa, żeby zrobić rodzicom na złość - wkurzył Mingollę. Rzygać mu się chciało od scen Baylora. Nie mając właściwie takiego zamiaru dał mu w zęby, ale w ostatniej chwili osłabił siłę ciosu. Wciąż trzymając koszulę rąbnął go w szczękę, ot, wystarczająco, żeby głowa odskoczyła do tyłu. Oszołomiony Baylor z rozdziawioną gębą zamrugał oczami, a z dziąseł pociekła mu krew. Po przeciwnej stronie szynkwasa barman wsparty o ustawioną jak chór kompozycję z butelek obserwował Mingollę i Baylora; patrzyło też paru żołnierzy: wyglądali na zadowolonych, jakby licząc na szczyptę przemocy, która trochę ożywi atmosferę. Mingolla czuł się upodlony ich zainteresowaniem, wstydził się swej brutalności.

- Hej, człowieku, przykro mi - powiedział. - Ja... - Gównu mnie obchodzi, że ci przykro - odrzekł Baylor rozcierając wargi. - Wszystko mnie gównu obchodzi z wyjątkiem tego, żeby się stąd zabrać do diabła.

- Daj sobie spokój, dobra?

Ale Baylor nie zamierzał dać sobie spokoju. Wciąż dyskutował, przybierając przesycony długim cierpieniem ton kogoś, kto zachowuje się mężnie w obliczu wielkiej niesprawiedliwości. Mingolla próbował go zignorować, wpatrując się w etykietkę swej butelki piwa: był na niej czerwono-czarny wizerunek gwatemalskiego żołnierza unoszącego karabin w geście zwycięstwa. Udany projekt - przywiódł mu na myśl te plakaty, które robił, nim go powołano - ale gdy się wzięło pod uwagę zawodność oddziałów gwatemalskich, heroiczna poza wojaka zakrawała na żart. Paznokciem kciuka wydrapał rysę przez środek nalepki. W końcu Baylor odpuścił i siedział cicho, zagapiony na wypaczony fornir szynkwasa. Mingolla pozwolił mu na to przez minutę, a potem zapytał, nie odrywając wzroku od swojej butelki: Może byś tak puścił jakiś przyzwoity kawałek?

Baylor wbił brodę w pierś i uparcie milczał.

- To jedyne, co możesz zrobić, człowieku - ciągnął Mingolla. - Bo co ci jeszcze pozostaje?

- Jesteś szalony - rzekł Baylor. Błysnął wzrokiem w stronę Mingolli i wysyczał to jak zniewagę: - Szalony!

- Sam chcesz się zabrać do Panamy? Huhuhu. Wiesz, że we trzech coś żeśmy nakręcili. Razem dobrnęliśmy aż dotąd i jeśli tylko nie zmięknie, razem wrócimy do domciu.

- Nie wiem - odparł Baylor. - Nic już nie wiem. - Spójrz na to w ten sposób - rzekł Mingolla. - Może wszyscy mamy rację. Może Panama to j e s t jakiś pomysł, ale po prostu jeszcze nie czas. Jeśli to prawda, dojrzejemy do tego z Gilbeyem wcześniej czy później. Z ciężkim sercem Baylor podniósł się na nogi.

- Nigdy do tego nie dojrzejesz, człowieku - powiedział zniechęcony. Mingolla łyknął piwa. - Sprawdź, czy nie mają w szafie jakiegoś Prowlera. Mam nastrój na Prowlera.

Baylor stał przez chwilę niezdecydowany. Ruszył ku szafie grającej, potem odwrócił się w stronę drzwi. Mingolla sprężył się, gotów za nim pobiec, ale Baylor stanął i wrócił do baru. Napięcie nakreśliło na jego czole głębokie bruzdy. - Okay - wydusił. Okay. Jutro o której? Dziewiąta? - Dokładnie - odwracając się odparł Mingolla. - Kantyna. Kątem oka dostrzegł, jak Baylor przemierza salę i pochyla się nad szafą grającą, żeby zobaczyć, co w niej mają. Poczul ulgę. Tak się właśnie zaczynały ich wszystkie przepustki. Gilbey leciał za kurwą, Baylor puszczał płyty, a on pisał do domu. Podczas pierwszej przepustki opisał rodzicom wojnę i jej dziwaczne formy wzajemnego wyniszczania się; potem, uświadomiwszy sobie, że taki list zaniepokoi matkę, podarł go i napisał inny, w którym donosił po prostu, że u niego wszystko w porządku. Podarł również ten list, ale rozważał, jak by zareagował ojciec, gdyby go przeczytał. Pewnie gniewem. Jego ojciec wierzył bez zastrzeżeń w Boga i ojczyznę, i choć Mingolla pojmował daremność odwoływania się do jakiegokolwiek kodeksu moralnego w obliczu szaleństwa, które go teraz otacza, przekonał się, że coś z doktryny ojca zostało mu jednak zaszczerpione; nigdy nie potrafiłby zdezerterować, tak jak nalegał Baylor. Wiedział, że to nie takie proste, że również inne czynniki są odpowiedzialne za jego oddanie służbie, skoro jednak ojciec z radością przyjąłby na siebie odpowiedzialność za ten fakt, Mingolla skłaniał się, by winę zwalić właśnie na niego. Próbował sobie wyobrazić, co jego rodzice robią w tym właśnie momencie - ojciec ogląda Metsów w telewizji, matka grzebie w ogródku - i z tym obrazem przed oczami zaczął pisać:

Kochani Mamo i Tato, //

/ pytaliście w waszym ostatnim liście, czy moim zdaniem wygrywamy tę wojnę. Tu u nas w odpowiedzi na to pytanie reagują głównie tępyimi spojrzeniami, bo większość ludzi ma taką wizję wojny, w której ostateczny wynik nie jest istotny. Jeden mój znajomy facet zapodaje tekst o tym, jak to wojna jest operacją magiczną o olbrzymich proporcjach, jak przemieszczenia samolotów i pododdziałów wypisują na obliczu rzeczywistości mistyczny znak i jak - żeby przeżyć - musisz wykombinować swoją pozycję w ramach wzoru i odpowiednio do tego się zachować. Mam pewność, że w waszych uszach zabrzmiało to obłądnie, ale tu wszyscy są na swój sposób obłąkani (w istocie jeden konował przeprowadził badania na temat skali przesądów pośród sił okupacyjnych). Szukają magii, która zagwarantuje przeżycie. Może trudno wam będzie uwierzyć, że podpisuję się pod rzeczami tego rodzaju, ale czynię to. Wyrzynam swoje inicjały na pociskach, noszę pod hełmem papuzie pióru...

i robię jeszcze wiele innych rzeczy. /

/ Żeby wrócić do waszego pytania: staram się wykrzesać z siebie coś więcej niż tępe spojrzenie, ale nie potrafię duć wam prostego „tak” albo „nie”. Aż tak zgrabnie nie da się tego wszystkiego podsumować. Ale mogę zilustrować sytuację pewną historią, którą zaraz opowiem, i pozwolić wam

samym wyciągnąć wnioski. Setki opowieści spełniłyby tę rolę, ale
przychodzi mi do głowy akurat ta, która dotyczy Zaginionego Patrolu... /

/

Z szafy grającej rąbnął utwór Prowlera i Mingolla przerwał pisanie, żeby posłuchać: była to wściekła, porywająca muzyka, napędzana tą samą, jak się zdawało, agresywną paranoją, której kulminacją stała się wojna. Ludzie odtrącali krzesła i przewracali stoliki, żeby tańczyć na opróżnionych miejscach; ściśnięci jak śledzie mogli się tylko tasować w rytm muzyki, ale ich przytupywanie rozkołysało żarówki na końcach przewodów i na ściany jęła bryzgać purpurowa poświata. Szczupła ospowata dziwka precyzyjnie się, by tańczyć przed Mingollą, rzucając piersiami i wyciągając doń ramiona. Jej trupiobladą w nierównym świetle twarz zdobił równie trupi uśmiech. Z jednego oka, jak rodzaj śmiertelnej wydzieliniey ściekła kropla potu zmieszanego z tuszem. Mingolla nie miał żadnej pewności, że widzi kurwę prawidłowo. Jego lewa dłoń poczęła drzeć i na kilka sekund cała scena utraciła dlań spójność. Wydawało się, że wszystko jest rozbite, nierozpoznawalne, ujęte w autonomiczne, rozdzielne konteksty: kłębowisko bezsensownych przedmiotów miotanych w górę i w dół falą obłąkanej muzyki. Potem ktoś otworzył drzwi wpuszczając do środka smugę słońca i sala wróciła do normy. Nachmurzona dziwka odsunęła się w tańcu w bok i Mingolli łatwiej już było oddychać. Ustępowało drżenie ręki. W pobliżu drzwi dostrzegł Baylora rozmawiającego z plugawym Gwatemalczykiem; prawdopodobnie kontakt na kokę. Koka stanowiła panaceum Baylora, jego remedium na strach i rozpacz. Zawsze wracał z przepustek z przeszkłonymi oczami, skłonny do krwotoków z nosa, chwalać się, jaki to niekiepski towar zdołał kupić. Zadowolony, że Baylor postępuje zgodnie z rytuałem, Mingolla wrócił do listu.

/

„...Pamiętacie, jak wam pisałem, że Zielone Berety biorą narkotyki dla zwiększenia sprawności bojowej? Prawie wszyscy nazywają ten narkotyk „Samrny”, co jest skrótem od „samuraj”. Ma postać ampułek - kiedy potrzywasz taką ampułkę przed nosem, przez następne pół godziny czujesz się jak skrzyżowanie kawalera orderu „Za Odwagę” z Supermanem. Problem polega na tym, że wielu Zielonych przedawkowuje, a potem im odbija. Sprzedaje się go również na czarnym rynku i są faceci, którzy biorą go dla sportu. Wąchają i walczą ze sobą na arenie... coś, jak ludzkie walki kogutów.

Tak czy siak, jakieś dwa lata temu pododdział Beretów poszedł na patrol do Szmaragdowej Strefy Ogniowej niedaleko od mojej bazy i nie wrócił. Uznano ich za zaginionych podczas akcji. ukiś miesiąc później ktoś zaczął podprowadzać ampułki z rozmaitych lazaretów. Najpierw zwalano te przestępstwa na partyzantów, ale potem lekarz zauważył włamywaczy i stwierdził, że to Amerykanie. Mieli na sobie sparszywiałe mundury i zachowywali się jak szajbusy. Według opisu lekarza malarz wykonał portret ich przywódcy, który okazał się sobowtórem sierżanta z Zaginionego Patrolu. Później widywano ich w najrozmaitszych miejscach. Niekiedy świadectwa tych spotkań były jawnie fałszywe, inne jednak wydawały się autentyczne. Mówiono, że zestrzelili parę naszych helikopterów i w pobliżu Zacapas rozwalili kolumnę zaopatrzenia. Prawdę mówiąc, nigdy nie miałem specjalnego nabożeństwa do tej historii, dopóki gdzieś cztery miesiące temu ten piechociarz nie wylazł z dżungli i nie zameldował się w naszej bazie artyleryjskiej. Twierdził, że został schwyty przez Zaginiony Patrol, i kiedy usłyszałem jego opowieść, uwierzyłem mu. Wedle jego słów, oświadczyli, iż nie są już Amerykanami, lecz obywatelami dżungli. Żyli jak zwierzęta, śpiąc pod liśćmi palmy, i na okrągło niuchali ampułki. Poszaleli, ale stali się zarazem geniuszami przetrwania. O dżungli wiedzieli wszystko - kiedy ma się zmienić pogoda, jakie zwierzęta są w pobliżu... I mieli tę swoją wariacką religię osnutą na przeświecających przez listowie promieniach słońca. Siadywali w tych promieniach jak święci obdarzani Boskim błogosławieństwem, bredząc o czystości światła, radości zabijania i nowym świecie, jaki zamierzają stworzyć.

I to mi właśnie przychodzi na myśl, gdy zadajecie swoje pytania, Mamo i Tato. Zaginiony Patrol. Nie usiłuję ostrożnie pokazać okropieństw wojny. W żadnym razie. Myśląc o chłopcach z Zaginionego Patrolu, nie myślę wcale, jak są żałośni i szaleni. Zastanawiam się, co oni dostrzegają w tym świetle, i czy to coś może mi być pomocne. I może tu leży wasza odpowiedź.

/

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Mingolla opuścił bar, żeby rozpocząć drugą część swego rytuału: włóczyć się po dzielnicy tubylczej jak Bogu ducha winny turysta, i uczestniczyć we wszystkim, co się trafi - zjeść kolację z rodziną gwatemalską, skumpłować się z żołnierzem z innej jednostki i pójść do kościoła, albo może powalęsać się z jakimś małolatami, które go będą wypytywać o Amerykę. Wszystkie te rzeczy robił już na dawniejszych przepustkach i udawana niewinność zawsze go bawiła. Gdyby dał się ponieść nakazom wewnętrznym, wypaliłby koszmarną bazę artyleryjskiej dziwkami i narkotykiem, ale na pierwszej przepustce - ogłuszony doświadczeniem walki, złakniony samotności - wybrał długi spacer i był zdecydowany nie tylko go powtórzyć, ale też odtworzyć jego pełną oszołomienia duchową aurę: odwalenie rytuału na pół gwizdka nie było żadnym rozwiązaniem. W tym momencie, wzięwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia na Mrówczej Farmie, nie musiał zbyt silnie starać się o obudzenie w sobie chaosu duchowego.

Rio Dulce była szeroką błękitną rzeką o lekko pomarszczonej powierzchni. Tuż za klombami porastającej oba brzegi żółtej trzciny murem wznosiła się dżungla. W miejscu, gdzie żwirowa droga dotykała rzeki, do betonowego nabrzeża przycumowana była barka służąca jako prom; miała już swój pełny ładunek pojazdów dwie ciężarówki - i około trzydziestu pasażerów. Mingolla wszedł na pokład i stanął obok trzech piechocińców, którzy wciąż mieli na sobie swój rynsztunek bojowy i hełmy; trzymali w dłoniach dwulufowe karabiny podłączone giętkimi przewodami do komputerów plecakowych; przez zadymione osłony twarzy Mingolla widział zielone refleksy odczytów monitora. Czuł się w ich obecności nieswojo, bo przypominali mu tamtych pilotów, zakłopotanie jednak minęło, gdy zdjawszy hełmy udowodnili, że mają normalne ludzkie twarze. Przez trzecią część szerokości rzeki, jak rekwizyt z pejzażu Dali'ego, rozciągała się biała cementowa arkada wsparta na smukłych kolumnach: most, którego budowy zaniechano. Tuż przed lądowaniem Mingolla dostrzegł go z powietrza i nie poświęcił mu zbyt wiele uwagi; teraz widok ten uderzył weń jak grom. Sprawiał pozór nie tyle nie dokończonego mostu, co pomnika jakiejś podniosłej idei, piękniejszego niż jakikolwiek most zakończony.

I gdy Mingolla stał oczarowany w oleistym smrodliwym dymie barki, poczuł, że ma w sobie odpowiednik tego pięknego łukowatego kształtu, że on sam też jest gwałtownie urwaną drogą. Poczul przez to w sobie śmiałość dostrzegać pokrewieństwo między sobą a tym wyniosłym pięknem, a nawet przez moment pozwolił sobie wierzyć, że on też - co by sugerował pnący się w górę końcowy fragment mostu - ma swój punkt spełnienia leżący dalej niż ten, którzy zaplanowali architekci jego losu. Na brzegu zachodnim, poza granicami miasta żwirową drogę obrastały kramy, szkieletowe konstrukcje z cienkich słupków kryte palmowymi liśćmi. Między nimi ganiały dzieciaki, udając, że celują i strzelają do siebie z łodyg trzciny cukrowej. Żołnierzy nie widziało się prawie wcale. Tłumy wędrujące drogą składały się przeważnie z Indian: młodych par, zbyt wstydlivych, by trzymać się za ręce; zagubionych z pozoru starców, którzy grzebali w śmieciach swoimi laskami; pękatych matron robiących z powodu wysokich cen pełne oburzenia miny; bosych, sztywnych, jakby kij połknęli, posepnoliczych rolników z pieniędzmi w węzełkach z chustek do nosa. W jednym ze straganów Mingolla kupił kanapkę i Coca Colę. Siadłszy na stołku posilał się z zadowoleniem, smakując gorący chleb i zapieczoną w nim rybę, i obserwował mijający go pochód. W górze poczynały się piętzyć napływające z południa, od strony Karaibów, szare chmury; od czasu do czasu przelot XL-16-tek kreślił na niebie strzałę wskazującą na północ, w stronę pół roponośnych za jeziorem Ixtabal, gdzie toczyły się zacięte walki. Zapadał zmierzch. Światła miasta coraz ostrzej odcinały się od krwistoczerwonego tła. Brzęczały gitary, śpiewały

chropawe głosy, tłum rzedniał. Mingolla zamówił następną kanapkę i Coca Colę. Rozparłszy się tonął w dobrej magii krainy, słodczy chwili. Obok straganu z kanapkami cztery stare kobiety siedziały w kucki wokół ognia, przygotowując potrawkę z kurczęcia i frytki kukurydziane; z płomieni ulatywały strzępki sadzy i w miarę pogłębiania się mroku narastało wrażenie, iż strzępki te są fragmentami układanki tworzącej w górze obraz bezgwiazdnej nocy. Ciemność napierała bliżej, tłum znów zgęstniał i Mingolla podjął swój spacer wędrując mimo kramów ozdobionych naszyjnikami żarówek porozwieszanych na słupkach konstrukcji i podłączonych kablami do prądnic, których terkot zagłuszał rechotanie żab i cykanie świerszczy. Kramów z plastikowymi różańcami, chińskimi nożami sprężynowymi i cynowymi latarniami; kramów, gdzie sprzedawano haftowane indiańskie koszule, obszerne portki i drewniane maski; takich wreszcie, w których starcy w wyszarpanych marynarkach siedzieli po turecku obok piramid melonów, pomidorów i zielonej papryki z zatkniętymi na szczycie w roztopiony wosk świecami, przez co wyglądały jak prymitywne ołtarze. Śmiech, wrzask, zachęty sprzedawców. Mingolla chłonał aromatyczny dym z węgla drzewnego i odór gnijących owoców. Zaczął niespiesznie łączyć od straganu do straganu, kupować pamiątki dla przyjaciół z Nowego Jorku, czując się częścią krzątanimy, gwaru, lśniącego powietrza, aż w końcu doszedł do kramu, wokół którego, zasłaniając wszystko poza strzechą, zgromadziło się czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi. Rozległ się wzmocniony okrzyk kobiety: - LA MARIPOSA!

Podniecone wrzaski tłumu. I znów okrzyk kobiety: - EL CUCHILLO! Dwa słowa, jakie wykrzyknęła - motyl i nóż - zaintrygowały Mingollę, który zerknął nad głowami gapiów. Obramowana strzechą i koślawymi palikami młoda ciemnoskóra kobieta kręciła korbką, która obracała klatkę z drutu: klatka, przymocowana do podstawy z drewna, wypełniona była białymi plastikowymi sześcianikami. Dziewczyna miała czarne włosy, odrzucone do tyłu i związane na karku, ubrana zaś była w czerwoną plażową suknię bez ramiączek. Przestała kręcić i sięgnąwszy do klatki na chybił trafił, wyciągnęła jeden z sześcianików. Obejrząwszy go ujęła mikrofon i krzyknęła: - LA LUNA!

Przez tłum przepchnął się brodaty gość i wręczył jej kartonik, który sprawdziła przyrównując do kilku uszeregowanych na desce pudełeczek. Potem wręczyła brodatemu facetowi parę gwatemalskich banknotów.

Kompozycja całej sceny gry przemówiła Mingolli do wyobraźni. Ciemnoskóra kobieta, jej czerwona suknia i tajemnicze słowa, runiczny cień drucianej klatki - wszystko to sprawiało wrażenie magiczne, jak obraz z okultystycznego snu. Część tłumu usunęła się podążając za zwycięzcą i Mingolla pozwolił, by nowi przybysze przepchnęli go do przodu. Zajął stanowisko w rogu straganu, utrzymał je mimo falowania gęstwy ludzkiej i spojrzawszy w górę dostrzegł, że kobieta uśmiecha się doń z odległości paru stóp, trzymając w wyciągniętej dłoni kartonik i gryzek ołówka.

- Tylko dziesięć gwatemalskich centów - powiedziała po angielsku z amerykańskim akcentem.

Ludzie otaczający Mingollę uśmiechami i klepaniem po plecach zachęcali go, żeby zagrał. Ale nie potrzebował zachęty. Wiedział, że wygra - było to najwyraźniejsze przeczucie, jakie miał kiedykolwiek, i to głównie ta kobieta dała mu impuls. Czuł, że go przyciąga z ogromną siłą. Było tak, jakby stanowiła źródło gorąca... i nie tylko gorąca, ale także żywotności i zmysłowości; teraz, gdy znalazł się w jej orbicie, czuł, że opływa go ten żar, uświadamiając mu napięcie seksualne, jakie między nimi powstaje, a zarazem przynosząc pewność wygranej. Moc jej czaru zaskoczyła go, bowiem pierwsze wrażenie powiedziało mu, że nie jest piękna mimo swego egzotycznego wyglądu. Choć smukła, miała odrobinę zbyt szerokie biodra, a piersi, wysoko sklepione i ujęte w oddzielne miseczki obcisłego stanika, były dość małe. Rysy jej twarzy, która podobnie jak barwa skóry miała cechy Indian ze wschodu, nieco zbyt grube i zmysłowe, klóciły się z drobną strukturą kostną, a przecież miały tyle wyrazu i były tak doskonale rzeźbione, że te dysproporcje wydawały

się zaletą. Gdyby ta twarz była odrobinę pełniejsza, mogłaby należeć do jednej z owych kłęczących obok tronu Kriszny służebnic, jakie widuje się na hinduskich malowidłach religijnych.

Bardzo seksowna, bardzo pogodna. Ta pogoda, uznał Mingolla, nie była tylko makijażem. Sięgała głębiej. Ale w tym momencie bardziej interesowały go jej piersi. Przyjemnie wyglądały podane tak do przodu, połyskliwe od powłoczki potu. Dwie porcje rozedrganego budyniu. Kobieta machnęła kartonikiem, a on go przyjął: uproszczoną kartę do Bingo z symbolami w miejsce liter i numerów.

- Powodzenia - rzekła i roześmiała się, jakby reagując na jakąś swoją prywatną uszczypliwość. Potem zaczęła kręcić klatkę. Mingolla nie rozpoznawał wielu z wywoływanych przez nią słów, ale przylgnął doń jakiś starzec i ukazywał odpowiednią kratkę, ilekroć następowały trafienia. Wkrótce kilka rzędów było niemal wypełnionych. - LA MANZANA! - zakrzyknęła kobieta, a staruszek pociągnął Mingollę za rękaw i wrzasnął: - Se gano!

Kiedy kobieta sprawdzała jego kartkę, Mingolla rozmyślał o tajemnicy, jaką sobą przedstawiała. Przez swój spokój, doskonałą angielszczyznę i pochodzenie z wyższych sfer, na które dwie te cechy mogłyby wskazywać, nie pasowała do tego miejsca. Może była uczennicą, której wojna przerwała edukację... choć na to jest chyba za stara. Wnioskował, że ma jakieś dwadzieścia dwa albo trzy lata. Więc może studentka. Ale tej teorii nie uzasadniało dostrzegalne w niej obycie i rzeczowość. Patrzył, jak jej spojrzenie śmiga między kartonikiem a plastikowymi sześcianami. Spojrzenie wielkich oczu o ciężkich powiekach. Białka tak ostro kontrastowały z ciemną skórą, że aż wydawały się nienaturalne: mleczne kamienie o czarnych jądrach.

- Widzisz? - powiedziała wręczając mu wygraną, około trzech dolarów, i następną kartę.

- Co widzę? - zapytał Mingolla, zbity z tropu. Ale zaczęła od nowa kręcić klatką.

Wygrał trzy z siedmiu następnych kart. Ludzie gratulowali mu, w zdumieniu potrząsając głowami; starzec przysunął się jeszcze bliżej, sugerując językiem znaków, że to on jest czynnikiem, któremu Mingolla zawdzięcza uśmiech fortuny. Mingolla jednak był podenerwowany. Podstawą jego rytuału była zasada drobnych cudów i choć miał pewność, że kobieta szachrowała na jego korzyść (takie, wnioskował, było znaczenie jej śmiechu, jej „A widzisz?”), choć dopisujące mu szczęście nie było prawdziwym szczęściem, jego nadmiar stwarzał zagrożenie dla reguły. Przegrał trzy karty pod rząd, ale potem wygrał dwie z czterech i zdenerwował się jeszcze bardziej. Rozważał myśl o odejściu. Co jednak, jeśli to j e s t szczęście? Rejterada może go skłócić z prawidłowością wyższego rzędu, wtrącić w kolizję z jakimś procesem kosmicznym i ściągnąć nieszczęście. Była to myśl nonsensowna, lecz nie potrafił się zmusić do stawienia czoła tej wątej szansie, że jest jednak słuszna. Wygrywał nadal. Ludzie, którzy mu gratulowali, odeszli w złych nastrojach, a kiedy pozostała już tylko garstka uczestników, kobieta zwinęła grę. Z cienia zmaterializował się brudny jak nieboskie stworzenie mały ulicznik i począł demontować sprzęt: odkręcać drucianą klatkę, odłączać mikrofon, wkładać do pudła plastikowe sześciany i upychać to wszystko do jutowego worka. Kobieta wyszła zza lady i wsparła się o jeden ze słupków nośnych. Z półuśmiechem przekrzywiła głowę przyglądając się Mingolli, a potem, gdy tylko obustronne milczenie jęło dawać się we znaki, powiedziała: - Mam na imię Debora. - David - Mingolla czuł się spięty jak czternastolatek; musiał opierać się chęci wsadzenia dłoni w kieszenie i odwrócenia wzroku. - Dlaczego oszukiwałaś? - zapytał. Usiłując skryć zdenerwowanie wypowiedział te słowa za głośno; zabrzmiały jak zarzut. - Chciałam zwrócić twoją uwagę - odparła. - Jestem... jestem tobą zainteresowana. Nie zauważyłeś?

- Nie chciałem niczego takiego zakładać.

Roześmiała się. - Pochwalam! Zawsze najlepiej zachowywać ostrożność. Spodobał mu się jej śmiech. Brzmiał tak naturalnie, że przyszło mu na myśl, iż Debora potrafi radować się najdrobniejszą miłą rzeczą. Minęło ich trzech idących ramię w ramię, zawodzących po pijacku

mężczyzn. Jeden z nich wrzasnął coś do Debory, a ona odpowiedziała gniewną salwą hiszpańszczyzny. Mingolla przypuszczał, że znieważono ją za przestawanie z Amerykaninem.

- Może powinniśmy gdzieś iść - powiedział. - Zmyć się z ulic. - Jak tylko skończy - skinęła w stronę chłopaka, który zdejmował teraz sznur żarówek. - Zabawne - rzekła. - Sama mam dar, a zwykle czuję się niezręcznie w pobliżu kogoś, kto również go ma. Ale z tobą jest inaczej.

- Dar? - Mingolla sądził, że wie, o co jej chodzi, ale chytrze się z tym nie zdradzał.

- Jak wy to nazywacie? ESP?

Porzucił chęć wyparcia się. - Nigdy tego nie nazywałem powiedział. - Jest silny w tobie. Jestem zaskoczona, że nie słyszysz w Korpusie Parapsychicznym.

Chciał jej zaimponować, odziać się płaszczem tajemnicy nie mniejszej niż jej tajemnica. - A skąd wiesz, że nie służę? - Jestem pewna. - Wyciągnęła spod lady czarną torebkę. Po terapii narkotycznej w darze, w tym, jak się manifestuje, zachodzi zmiana. Po pierwsze, przestaje być aż tak gorący. - Podniosła wzrok znad torebki. - A może nie odbierasz go w taki sposób? Jako ciepło? - Przebywałem w towarzystwie ludzi, którzy wydawali mi się gorący - odparł. - Ale nie wiedziałem, co to oznacza.

- To właśnie oznacza... czasami. - Wetknęła do torebki kilka banknotów. - Więc dlaczego nie jesteś w Korpusie Psi? Mingolla sięgnął pamięcią do swej pierwszej rozmowy z agentem Korpusu, bladym łysiejącym mężczyzną, którego oczy i ich najbliższa otoczka miały ten sam niewinny wygląd, jaki charakteryzuje niekiedy ślepców. Kiedy Mingolla mówił, agent obmacywał kółko, które Mingolla dał mu do potrzymania, nie zwracając żadnej uwagi na słowa, ale patrząc w roztargnieniu w dal, jakby wsłuchany w echa.

- Próbowali mnie zwerbować za wszelką cenę - powiedział Mingolla. - Ale bałem się narkotyków. Słyszałem, że mają niebezpieczne efekty uboczne. - Masz szczęście, że rekrutowali na ochotnika - rzekła. Tu po prostu biorą cię za łeb.

Chłopczyk coś do niej powiedział, przerzucił przez ramię jutowy worek i po gwałtownej wymianie hiszpańskich słów pobiegł ku rzece. Tłumy wciąż były gęste, ale zamknięto już przeszło połowę kramów; te, które wciąż działały, wyglądały ze swymi strzechami, koralikami świateł i spowitymi w szale niewiastami jak rozrzucone w mroku prymitywne szopki bożonarodzeniowe. W dali, za straganami, neony włączały się i wyłączały: chaotyczna menażeria srebrnych orłów, szkarłatnych pajaków i niebieskich smoków. Obserwując, jak płoną i znikają, Mingolla doświadczył zawrotów głowy. Podobnie jak w Club Demonio, otoczenie poczynało tracić spójność. - Zle się czujesz? - zapytała. - Jestem po prostu zmęczony. Odwróciła go przodem do siebie i wsparła mu dłonie na ramionach. - Nie - powiedziała. - To coś innego.

Ciężar jej dłoni i zapach perfum pozwoliły mu wrócić do równowagi. - Parę dni temu był atak na bazę artyleryjską - powiedział. - To jeszcze we mnie jest, kapujesz.

Lekko ścisnęła mu ramiona i odstąpiła. - Może mogę coś zrobić. Powiedziała to z takim naciskiem, że uznał, iż ma na myśli coś konkretnego. - Jak to? - zapytał.

- Opowiem ci przy kolacji... to znaczy, jeśli postawisz. Uspokajająco ujęła go pod ramię. - Przynajmniej tyle jesteś mi winien, nie sądzisz? Po całej tej szczęśliwej passie.

- A ty dlaczego nie jesteś w Korpusie? - zapytał, kiedy już szli. Nie odpowiedziała od razu; szła z pochyloną głową, kopiąc stopą strzęp celofanu. Wędrowali niezbyt ludną ulicą, oflankowaną z jednej strony przez rzekę, kanał niemrawego czarnego lakieru, z drugiej zaś przez pozbawione okien zaplecza jakichś barów. W górze, za kratownicą wsporników, neonowy lew roztaczał złowieszczy zielony nimb. - Byłam w szkole w Miami, kiedy rozpoczęto tu testowanie -

powiedziała w końcu. - A kiedy wróciłam do domu, moja rodzina trafiła pod łufę Departamentu Szóstego. Wiesz coś o Departamencie Szóstym? - Słyszałem to i owo.

- Sadyści nie nadają się na sprawnych biurokratów. Bardziej byli zainteresowani pastwieniem się nad nami niż określaniem naszej przydatności.

Ich kroki skrzypiały po śmieciach, dobiegające z równoległej ulicy głosy z płyt gardłowo domagały się miłości.

- I co się stało? - zapytał Mingolla.

- Z moimi? - wzruszyła ramionami. - Nie żyją. Nikt się nie zatroszczył, żeby to potwierdzić. Nie było trzeba. To znaczy potwierdzać. - Przeszli w milczeniu kilka kroków. - A co do mnie... - w kąciку jej ust nabrzmiał mięsień. - Zrobiłam to, do czego mnie zmuszono. Kusiło go, żeby zapytać o szczegóły, ale się rozmyślił.

- Przykro mi - rzekł, a potem się zbeształ za tak banalną reakcję. Minęli bar, nad którym królowała uśmiechnięta czerwono-purpurowa mała. Mingolla zastanawiał się, czy te jaśniejsze sylwetki mają sens dla lornetujących ze wzgórz partyzantów czy wygasłe jarzeniówki sygnalizują czas ataku albo przemieszczenia jednostek. Spojrzał na Deborę kątem oka. Nie wyglądała już na tak przygnębioną jak sekundę wcześniej, i to się zgadzało z wrażeniem, że jej emocjom nie brak siły, ale są trzymane na wodzy i manifestowane tylko dla utrzymania formy. Gdzieś znad rzeki dobiegło pojedyncze plaśnięcie: jakaś drobina zimnokrwistego życia musnęła na moment powierzchnię, by wnet powrócić do swego długiego nieświadomego rejsu przez mrok... i jego życie tak naprawdę nie było inne, choć przebiegało z mniejszym wdziękiem. Jakże dziwnie było iść obok tej kobiety, która roztaczała ciepło jak płomień świecy, gdy ziemia i niebo stapały się w czarny gaz, a neonowe totemy stały w górze na warcie.

- Gówno - powiedziała Debora pod nosem.

Był zaskoczony usłyszawszy, jak przeklina. - O co chodzi? - O nic - odparła ciężko. - Po prostu „gówno”. - Pokazała przed siebie i przyspieszyła kroku. - Jesteśmy na miejscu. Restauracja była lokalem dla klasy robotniczej i zajmowała parter hotelu: piętrowego budynku z pożółkłego cementu, nad którego wejściem pobzykiwał neon reklamowy Fanty. Wokół niego setkami roiły się ćmy, połyskując bielą na tle mroku, a przed schodami stała grupka nastoletnich chłopców, którzy ciskali nożami w iguanę przywiązaną za tylne łapy do balustrady. Iguana miała bursztynowe ślepie, skórę koloru gotowanej kapusty i szarpała się na końcu swego sznura, wbijając w ziemię pazury i łukowato preżąc grzbiet jak gotujący się do lotu smok wielkości flaszki. Kiedy Mingolla podchodził z Deborą, jeden z chłopców zaliczył trafienie w ogon, który strzelił wysoko w górę, wytrząsając nóż. Dla uczczenia sukcesu chłopcy puścili w kurs butelkę rumu.

Prócz kelnera - pękatego młodego faceta wspartego u drzwi wiodących do zadymionej kuchni - w lokalu nie było nikogo. Jarzące się pod sufitem lampy odbijały się w tłustych plamach, plastikowych serwetach; w ich świetle nierówno położona żółta farba zdawała się ociekać ze ścian. Cementową podłogę pstrzyły ciemne plamy, które, jak się Mingolla przekonał, były rozgniecionymi ścierwami owadów. Jedzenie wszakże okazało się zupełnie dobre i Mingolla pochłonął talerz kurczęcia z ryżem, nim jeszcze Debora dojrzała do połowy swojego. Jadła z namysłem, długo przeżuując każdy kęs, i ciężar rozmowy spadł na niego. Opowiadał jej o Nowym Jorku, o swoim malowaniu, o tym, jak zainteresowało się nim kilka galerii, choć był jeszcze studentem. Porównywał swoje prace do Rauschenberga, do Silvestre'a. Nie tak dobre, oczywiście. Jeszcze nie. Odnosił wrażenie, że wszystko, co jej mówił - nawet zupełnie nie związane z chwilą utwierdzało ich związek, rozsnuwało między nimi subtelne więzy; miał wizję siebie i jej spowitych w siatkę świetlistych nici służących za przewodniki przyciągającym ich ku sobie siłom. Czuł teraz jej ciepło silniej niż kiedykolwiek dotąd. Jak to jest, myślał, gdy człowiek się z nią kocha, gdy jest pochłaniany przez ten nierzeczywisty żar. W chwili, gdy mu to przyszło do

głowy, uśmiechnęła się, jakby tknięta tym samym dylematem. Pragnął uprawomocnić to poczucie intymności, powiedzieć jej coś, czego nie mówił nikomu i tak, mając tylko jeden ważny sekret, opowiedział o rytuale. Odłożyła widelec i przewierciła go przenikliwym spojrzeniem. - Przecież nie możesz naprawdę w to wierzyć - stwierdziła. - Wiem, że to brzmi...

- Śmiesznie - wtrąciła. - Tak to właśnie brzmi. - Taka jest prawda - odrzekł prowokująco.

Na powrót ujęła widelec i zaczęła przesuwając nim ziarnka ryżu. - Jak to u ciebie wygląda - zapytała - kiedy masz przeczucie? To znaczy, co się dzieje? Masz sny, słyszysz głosy?

- Czasem po prostu wiem rozmaite rzeczy - odparł zaskoczony nieoczekiwaną zmianą tematu. - A czasem widzę obrazy. Jak w telewizorze, który nie działa prawidłowo. Najpierw mgła, a potem ostry obraz. - U mnie to są sny. I halucynacje. Nie wiem, jak to inaczej nazwać. - Zaciśnęła wargi, a potem westchnęła podjąwszy, jak się zdawało, jakąś decyzję. - Gdy zobaczyłam cię pierwszy raz, tylko przez sekundę, miałeś na sobie rynsztunek bojowy. Wejścia na rękawicach, przewody podłączone do hełmu. Osłona twarzy była roztrzaskana, a sama twarz... blada i zakrwawiona. - Wyciągnęła dłoń, by położyć na jego rękę. - To co widziałam, było bardzo wyraźne, David. Nie możesz wrócić. Nie opisywał jej rynsztunku artylerzysty i nie mogła go też w żaden sposób zobaczyć. Zapytał wstrząśnięty: - Gdzie mam iść? - Do Panamy - odparła. - Pomogę ci tam dotrzeć. Wszystko w niej nabrało sensu. Mogłeś ją znaleźć, całe tuziny takich jak ona, w każdym przyfrontowym mieście. Głoszących pacyfizm, zachęcających do dezercji. Altruistek, przeważnie powiązanych z partyzantką. I stąd, pojął, musiała znać jego wyposażenie. Prawdopodobnie zbierała informacje na temat rozmaitych jednostek, by dodać autentyzmu swym dramatycznym rewelacjom. Nie zmalala przez to jego opinia o niej; wręcz przeciwnie - wzrosła o jeden stopień. Rozmawiając z nim, ryzykowała życie. Ale jej tajemnica zbladła. - Nie mogę tego zrobić - powiedział.

- Dlaczego? Czy mi nie wierzysz?

- Nic by się nie zmieniło, gdybym wierzył.

- Ja...

- Posłuchaj - przerwał. - Ten mój kumpel, on mnie zawsze namawia do dezercji i były chwile, kiedy chciałem to zrobić. Ale to jest mi obce. Moje stopy nie ruszą w tym kierunku. Może tego nie zrozumiesz, ale tak właśnie jest.

- Ta dziecinna rzecz, którą robisz ze swymi dwoma przyjaciółmi - zapytała po chwili przerwy. - To ona cię tu trzyma, co? - Nie jest dziecinna.

- Jest dokładnie taka. Przypominasz dziecko, które wracając w ciemnościach do domu wierzy, że jeśli nie będzie oglądać się na cienie, nic z nich na niego nie wyskoczy.

- Nie rozumiesz - powiedział.

- Tak, myślę, że nie rozumiem. - Rozzłoszczona rzuciła serwetkę na stół i z uporem wbiła wzrok w swój talerz, jakby czytając z kurczących kości jakąś przepowiednię.

- Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponował Mingolla. - Muszę iść - odparła chłodno.

- Przez to, że nie chcę zdezerterować?

- Przez to, co się z tobą stanie, jeśli tego nie uczynisz. Pochyliła się ku niemu i mówiła głosem gardłowym z podniecenia. - Przez to, że wiedząc o twojej przyszłości to, co wiem, nie chcę wylądować z tobą w łóżku.

Siła jej uczuć obudziła w nim lęk. Może i mówiła prawdę. Ale odrzucił tę możliwość. - Zostań - powiedział. - Jeszcze o tym porozmawiamy. - Nie posłuchasz. - Wzięła torebkę i podniosła się. Wolniutko podpłynął kelner, położył rachunek obok talerza Mingolli i wyciągnąwszy z kieszeni fartucha plastikowy woreczek marihuany zadyndał nim przed oczami Mingolli.

- Trzeba ją wprowadzić w nastrój, człowieku - powiedział. Debora skłęła go po hiszpańsku. Wzruszył ramionami i odszedł swym ospałym krokiem, który był reklamą proponowanego przed chwilą towaru. - Więc spotkajmy się jutro - rzekł Mingolla. - Jutro możemy jeszcze o tym pogadać.

- Nie.

- Dlaczego nie dasz mi szansy? - zapytał. - Kapujesz, to wszystko wali się na mnie za szybko. Przyjeżdżam tu dziś po południu, poznaję cię, a godzinę później ty mówisz: „Śmierć jest w kartach, jedyna twoja nadzieja to Panama.” Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. Może jutro będę miał inny pogląd.

Jej rysy złagodniały, ale przecząco pokręciła głową; nie.

- Czy nie uważasz, że warto?

Opuściła wzrok, walcząc przez moment z suwakiem torebki, a potem westchnęła smętnie.

- Gdzie chciałbyś się spotkać?

- Co byś powiedziała o nabrzeżu po tej stronie? Koło południa. Zawahała się. - W porządku. - Przeszła na jego stronę stolika i pochyliwszy się, musnęła wargami policzek Mingolli. Próbował ją przyciągnąć i pogłębić pocałunek, ale wyslizgnęła się. Czuł zawroty głowy, uderzały weń fale gorąca.

- Naprawdę tam będziesz? - upewniał się.

Skinęła głową, ale sprawiała wrażenie udręczonej. I nie odwróciła się przed zejściem ze schodów.

Mingolla siedział przez chwilę rozmyślając o pocałunku, o zawartej w nim obietnicy. Mógłby tak siedzieć nawet dłużej, ale wtoczyło się trzech pijanych żołnierzy, którzy zaczęli przewracać krzesła i robić kelnerowi piekło. Zirytowany Mingolla podszedł do drzwi i stanął w nich wdychając wilgotne powietrze. Ćmy w rozrzuconych skupiskach pokrywały reklamę Fanty, próbując dotrzeć jak najbliżej zamkniętego w niej świetlistego ciepła; poczuł z nimi więź, wspólnotę dążenia do niemożliwego. Zaczął schodzić w dół, ale nagle stanął jak wryty. Chłopcy zniknęli, ale iguana, którą schwytali, krwawa i nieruchoma leżała na najniższym stopniu. Z rany w jej gardle ciekły błękitnoszarawe strużki. Był to tak jawny znak niefartu, że Mingolla zawrócił i zameldował się w hotelu nad restauracją.

Korytarze hotelu cuchnęły moczem i środkami dezynfekującymi. W jedne z drzwi łomotał pijany Indianin z rozpiętym rozporkiem i okrwawionymi wargami. Gdy go Mingolla mijał, Indianin skłonił się wykonując obszerny wymach ręki, parodię powitania. Potem wrócił do swojego walenia. Pokój Mingolli okazał się pozbawioną okien celką o szerokości pięciu stóp i długości trumny, wyposażoną w zlew, pryczę i krzesło. Pajęczyny i kurz zatykały okienko nad drzwiami, redukując światło z korytarza do zimnego błękitnawo-oiącego poblasku. Firana pajęczyn pokrywała również ściany, a pościel była tak brudna, że zdawało się, iż jest wzorzysta. Położył się i zamknąwszy oczy myślał o Deborze. O zdarciu z niej tej czerwonej sukienki i zafundowaniu jej ostrego pierdolenia. O tym, jak wrzaśnie. Ta myśl jednocześnie zawstydziła go i przyprawiła o erekcję. Próbował myśleć o kochaniu się z nią delikatnie. Ale delikatność, jak się zdawało, nie leżała w jego możliwościach. Członek mu sflaczał. Na bicie konia, uznał, szkoda sił. Zaczął rozpinąć koszulę, przypomniał sobie pościel i doszedł do wniosku, że lepiej na tym wyjdzie, jeśli się nie rozbierze. W mroku poza swymi powiekami począł widzieć błyski wybuchów, a w centrach owych wybuchów sceny z ataku na Mrówczą Farmę. Mgłę, tunele. Zacierał je wyobrażeniem twarzy Debory, ale uparcie wracały. W końcu otworzył oczy. Dwie... nie, trzy rozczapierzone czarne gwiazdy rysowały się na tle okienka nad drzwiami. Dopiero kiedy zaczęły pełznąć, rozpoznał w nich pająki. Wielkie pająki. Zwykle nie obawiał się pajaków, ale właśnie te napawały go przerażeniem. Jeśli rąbnie je butem, stłucze szybko i zostanie wylany z hotelu, a nie chciał ich zabijać gołymi dłońmi. Po chwili usiadł i włączywszy lampkę zajrzał pod pryczę. Żadnych innych

pająków nie było. Położył się na powrót; był roztrzęsiony, brakowało mu powietrza. Pragnął z kimś pogadać, usłyszeć znajomy głos. - Już dobrze - powiedział w mrok.

Ale to nie pomogło. I długo jeszcze, nim nie poczuł się dość bezpiecznie, by zasnąć, obserwował, jak trzy czarne gwiazdy pełzną po szybcie, zmierzają ku środkowi, dotykają się wzajem i oddalają od siebie, nigdy nie posuwając się naprawdę do przodu, nigdy nie zapuszczając się poza obszar swego świetlistego więzienia, swój kosmos zgęstniałego, zmrożonego światła.

Rankiem Mingolla przeprawił się na zachodni brzeg i powędrował w stronę bazy lotniczej. Już panował upał, ale powietrze wciąż zachowywało ślad świeżości i kroplący się na jego czole pot sprawiał wrażenie czystego i zdrowego. Świadcząc o niedawnym ruchu, na żwirowej drodze osiadał biały pył. Za miastem i skrótem prowadzącym do niedokończonego mostu ściany roślinności z bliska napierały na drogę; słyszał w gęstwie mały, owady i ptaki: ostre dźwięki, które go podniecały sprawiając, że miał świadomość gry własnych mięśni. Gdzieś w połowie drogi do bazy dostrzegł sześciu gwatemalskich żołnierzy, którzy wylaniali się z dżungli ciągnąc za sobą zwłoki; rzucili je na plandekę swojego jeepa, gdzie już leżały dwa inne trupy. Zbliżywszy się Mingolla zobaczył, że to martwe nagie dzieci, każde ze zgrabną dziurką w karku. Zamierzał iść dalej, lecz jeden z żołnierzy - karzełkowaty miedzianoskóry mężczyzna w granatowych drelichach zastąpił mu drogę i zażądał okazania dokumentów. Wszyscy pozostali obstąpili ich w kółko, żeby przestudiować papiery, i przewracali je na wszystkie strony, poszeptując i drapiąc się w głowy. Zwyczajny podobnego przynudzania Mingolla nie zwracał na nich uwagi i patrzył na martwe dzieci.

Były chude, osmalone słońcem i gdy leżały tak na brzuchach, ich włosy zwisały z budy jeepa jak frędzle; miały skóry pocętkowane zainfekowanymi ukąszeniami moskitów, a ciało wokół ran po kulach było opuchnięte i pokiereszowane. Wnioskując z ich wzrostu Mingolla oceniał je na jakieś dziesięć lat, ale potem spostrzegł, że była wśród nich dziewczyna o właściwej nastolatce krągłości pośladków i rozplaszczonych na metalu piersiach. To go wzburzyło. Były tylko dzikimi dziećmi, którym rabunek i zabijanie gwarantowało przeżycie, a gwatemalscy żołnierze spełnili jedynie swój obowiązek, funkcję podobną tej, jaka przypada ptakom wydziobującym kleszcze ze skóry nosorożca: zapewniali swej amerykańskiej bestii spokój od pasożytów i pełny luz. Ale nie było w porządku kłaść dzieci jak zwierzynę.

Żołnierz zwrócił Mingolli jego dokumenty. Cały teraz w uśmiechach - może w interesie utrwalenia stosunków amerykańsko-gwatemalskich, a może dlatego, że był dumny ze swojej roboty - podszedł do jeepa i podniósł za włosy głowę dziewczyny, żeby Mingolla mógł zobaczyć jej twarz. - Bandira! - powiedział, układając twarz w komiczny grymas. Twarz dziewczyny wcale się tak bardzo nie różniła od twarzy żołnierza: ten sam ostry nos, te same wystające kości policzkowe. Na ustach lśniła świeża krew, środek czoła zdobił wyblakły tatuaż skręconego w pierścienie węża. Miała otwarte oczy i choć były zamglone, Mingolla czuł, że wpatrując się w nie nawiązał kontakt, że dziewczyna przygląda mu się badawczo z jakiegoś miejsca za tymi oczami i że podąża w swym umieraniu poza punkt śmierci klinicznej. Potem z jej nosa wylazła mrówka, by usadowić się na szkarłatnym łuku warg, i oczy stały się po prostu puste. Żołnierz pozwolił głowie opaść i chwycił w garść włosy drugiego trupa, nim jednak dokonał demonstracji, Mingolla odwrócił się i podążył drogą w stronę bazy lotniczej.

Na skraju pasa startowego stały szpalerem helikoptery i krocząc między nimi Mingolla spostrzegł pilotów, którzy go tu podrzucili z Mrówczej Farny. Rozebrani do gatek i hełmów, w baseballowych rękawicach, podawali sobie piłeczkę wysokimi rzutami. Dalej, na dachu Sikorsky'ego, mechanik dłubał w obsadzie głównego rotora. Widok pilotów nie zaniepokoił Mingolli tak mocno jak poprzedniego dnia; w rzeczy samej uznał ich dziwactwo za coś uspokajającego. Właśnie wtedy potoczyła się ku niemu piłeczka, której nie sięgnął jeden z nich. Mingolla podniósł ją i odrzucił bliższemu z pilotów, który przygalopował w jego stronę. Stał teraz,

uderzając piłką we wnętrze rękawicy i ze swą czarną lustrzaną twarzą i spoconym muskularnym torsem wyglądał jak żwawy młody mutant. - Jak leci? - spytał. - Wyglądasz z rana na ciut zmarnowanego. - Czuję się okay - odparł Mingolla. - Oczywiście - dodał, próbując zatrzeć wrażenie, że się broni - może ty widzisz coś, czego ja nie widzę. Pilot wzruszył ramionami; wesołość tego gestu zdawała się sygnalizować jego dobry nastrój.

Mingolla wskazał na mechanika. - Rozkraczyliście się, chłopaki, co?

- Po prostu generalny przegląd. Wracamy jutro rano. Podrzucić cię?

- Nie, jestem tu tydzień.

Powodując paraliżujące drzenie, przez lewą rękę Mingolli popłynął osobliwy prąd. Tym razem było naprawdę kiepsko i Mingolla wcisnął dłoń w boczną kieszeń spodni. Brudnooliwkowa linia baraków zdawała się dygotać, cierpieć na rozchwianie, odpływać coraz dalej: helikoptery, jeepy, ludziki w mundurach na pasie startowym - to wszystko wyglądało jak zabawki, elementy naprawdę solidnej układanki „Typowa Baza Lotnicza”. Dłoń Mingolli waliła w materiał spodni jak chore serce.

- Muszę zasuwac - powiedział.

- Trzymaj się tego miejsca - powiedział pilot. - Nic ci nie będzie. Jego słowa miały posmak diagnostycznej pewności i niemal przekonało to Mingollę, że pilot jest zdolny odczytać jego los i że podobne sprawy jak przyszłość można poznać.

- Tak z ręką na sercu, człowieku, wierzysz w to, co mi wczoraj mówiłeś? - zapytał. - O hełmach? O przewidywaniu przyszłości? Pilot odbił piłeczkę od cementu, schwytał w szczytowym momencie lotu i wpatrzył się w nią. W osłonie twarzy Mingolla dostrzegł odbicie szwu i znaku firmowego, jednak ani śladu rysów pilota, żadnego świadectwa ich normalności czy też deformacji.

- Często słyszę to pytanie - odparł pilot. - Ludzie, kapujesz, robią sobie ze mnie jaja. Ale ty nie robisz, człowieku, co? - Nie - odrzekł Mingolla. - Nie robię.

- Cóż - powiedział pilot - to jest tak. Gazujemy sobie po niebie tu i tam, i widzimy na ziemi gnój - gnój, jakiego nie dostrzega nikt inny. I wtedy rozpieprzamy ten gnój. Tak to leci już cztery miesiące i wciąż żyjemy. Jebana D, wierzę w to!

Mingolla był rozczarowany. - Taaaa, dobra - powiedział. - Chwytasz, co mówię? - zapytał pilot. - To znaczy, że my jesteśmy cholernym żywym dowodem.

- Mhm - Mingolla poskrobał się w szyję, próbując wykombinować dyplomatyczną odpowiedź, ale nic mu nie przyszło do głowy. - Może się jeszcze zobaczymy. - Powędrował w stronę kwatermistrzostwa. - Nie ruszaj się stąd, człowieku! - wrzasnął za nim pilot. Ja ci to mówię. Naprawdę niedługo zrobi się koło ciebie gorąco! Kantyna w kwatermistrzostwie była wielką jak stodoła salą z surowych desek; wzniesiono ją tak niedawno, że Mingolla wciąż czuł zapach trocin i żywicy. Trzydzieści albo czterdzieści stolików, szafa grająca, nagie ściany. Za barem w głębi sali kapral o zgorzkniałej twarzy trzymając w dłoni skoroszyt dokonywał inwentaryzacji trunków; Gilbey - samotny klient - siedział przy jednym z wychodzących na wschód okien i mieszał kawę w filiżance. Miał zmarszczone czoło, a gdy tak siedział ujęty w krąg słonecznego blasku, sprawiał wrażenie kogoś, kogo łaska boska inspiruje do wejrzenia w głąb swojej duszy.

- Gdzie Baylor? - zapytał Mingolla siadając naprzeciwko niego.

- Nie wiem, kurwa - odparł Gilbey nie odrywając wzroku od filiżanki.

- Przyjdzie tu.

Mingolla wciąż trzymał w kieszeni lewą dłoń. Drzenie ustępowało, wolniej jednak, niżby sobie tego życzył. Obawiał się, że ogarnie również inne części ciała, jak to się stało po ataku. Westchnął i to westchnienie uzmysłowiło mu, jak jest nerwowo roztrzęsiony. Promienie słońca zdawały się mruścić jakąś złocistą falującą melodię i to go też niepokoiło. Halucynacje. Potem dostrzegł na szybko brzęczącą muchę. - Jak tam było wczoraj? - zapytał.

Gilbey gwałtownie podniósł wzrok. - Ach, masz na myśli Wielkie Cyce? Dała mi się obadać na okoliczność guzów. - Uśmiechnął się z przymusem i wrócił do mieszania kawy.

Mingolli było przykro, że Gilbey nie zapytał o jego wieczór; pragnął mu opowiedzieć o Deborze. Ale to było typowe dla egotyzmu Gilbeya. Jego wąskie oczy i nadaśane wargi były znamionami małoduszności, która poza własnym dobrym samopoczuciem pozwala interesować się niewieloma tylko sprawami. A przecież Mingolla był przeświadczony, że mimo niewrażliwości, głupich napadów szału i ograniczonej tematyki rozmów Gilbey jest cwańszy, niż się zdaje, że skrywanie własnej inteligencji jest w Detroit, gdzie się wychowywał, elementem taktyki przetrwania. To spryt go zdradzał: wiedza o charakterach wrogich mu poruczników, talent unikania nieprzyjemnych służb, umiejętność manipulowania kolegami. Nosił swą głupotę jak płaszcz i może robił to już tak długo, że nie sposób jej było zdjąć. A przecież Mingolla zazdrościł Gilbeyowi jego przymiotów, a w szczególności tego, jak zobojętniły go na atak. - Nigdy się dotąd nie spóźniał - rzekł po chwili. - No i co z tego, kurwa, że się spóźnia? - warknął wściekle Gilbey. - Jeszcze przyjdzie!

Kapral za barem włączył radio i przesunął pokrętko strojenia za muzykę latynoską, za listę przebojów, a potem za amerykański głos podający wyniki meczów baseballowych.

- Hej! - zawołał Gilbey. - Daj tego posłuchać, człowieku! Chcę się dowiedzieć, co tam z Tygrysami.

Kapral wzruszył ramionami, ale usłuchał.

- Białe Getry sześć, „A” trzy - powiedział sprawozdawca. - To ósme z rzędu zwycięstwo Getrów.

- Ale im Białe Getry dopierdzielają! - rzekł z satysfakcją kapral. - Białe Getry! - skrzywił się Gilbey. - I co te Białe Getry mają oprócz bandy fasolarzy po dwieście funtów wagi i paru niuchających kokę smoluchów? Gównno! Człowieku, Białe Getry dają czadu każdej wiosny. Ale potem przychodzi lato, na ulice trafia dobry towar i Getry, kurwa, zdychają!

- Taak - zgodził się kapral. - Ale w tym roku... - Weź na przykład tego skurwysyna Caldwell - ignorując go rzekł Gilbey. - Widziałem go parę lat temu w meczu z Tygrysami. Człowieku, ale ten gość miał uderzenie! A teraz się pałęta, jakby sprawdzał, z której strony wieje wiatr.

- Oni nie biorą narkotyków, człowieku - rzekł kapral gniewnie. - Nie mogą ich brać, bo są testy, które pokazują, czy się czegoś nie naćpali. Gilbey się zapalał. - Białe Getry, człowieku, są bez szans! Wiesz, jak ich czasem nazywa ten facet z TV? Wyblakłe Pończoszki! Jebane Wyblakłe Pończoszki! Jak można wygrać z taką nazwą? Tygrysy, na ten przykład, mają prawidłową ksywę. Jankesi, Waleczni... - Pieprzysz, człowieku! - Kapral zaczynał się denerwować; odłożył swój skoroszyt i podszedł do końca baru. - A co powiesz o Spryciarzach? Mają bebechowatą nazwę, a to dobra drużyna. Twoja nazwa gównno znaczy! - Czerwoni - zasugerował Mingolla; delektował się nawijką Gilbeya, jej uporem i irracjonalizmem. A jednocześnie niepokoiła go przebijająca z niej desperacja; Gilbey, wbrew pozorom, nie był tego ranka sobą. - O, tak! - Gilbey rąbnął w stół dłonią na płask. - Czerwoni. Popatrz na Czerwonych, człowieku! Popatrz, jak im dobrze idzie, odkąd Kubańczycy przystąpili do wojny. Myślisz, że to nic nie znaczy? Myślisz, że nazwa nic im nie pomaga? Wyblakłe Pończoszki, nawet jakby doszły do finału, nie mają na Czerwonych sposobu. - Roześmiał się gardłowo i burkliwie. - Jestem, człowieku, kibic Tygrysów, ale coś mi mówi, że to nie ich rok, kapujesz. Czerwoni roznoszą grupę wschodnią ligi, Jankesi idą w górę i jak się, człowieku, spotkają w październiku, wszystkiego o wszystkim się dowiemy. Wszystkiego o pieprzonym wszystkim! - Jego głos był coraz bardziej zduszony i drżący. - Więc mi tu, człowieku, nie pierdziel o tych cipowatych Wyblakłych Pończoszkach! Gównno są warci i nigdy inaczej nie było ani nie będzie, póki nie zmienią swojej pierdolonej nazwy! Kapral wycofał się z konfrontacji wyczuwając niebezpieczeństwo i Gilbey popadł w markotne milczenie. Przez chwilę słychać było tylko pracę wirnika helikoptera i płynący z radia łagodny jazzik. Do kantyny na poranne piwo wkroczyło dwóch mechaników, a niedługo potem trzech podtatusiałych sierżantów z brzuskami,

rzedniejącymi włosami i kwatermistrzowskimi insygniami na ramionach; usiadłszy przy pobliskim stoliku rozpoczęli grę w remika. Kapral przyniósł im dzbanek kawy i butelkę whisky, które w czasie gry mieszała i popijali. Otaczała grę atmosfera tradycji, atmosfera czegoś, co robi się codziennie o tej samej porze; obserwując sierżantów Mingolla dostrzegł ich opasłe, przeżarte rozluźnienie, ich kordialne kumplostwo. I wtedy poczuł się dumny ze swej drżącej ręki. Była to ułomność honorowa, znak, że on przebywał w samym sercu wojny, a ci faceci nie. A przecież nie żywił do nich niechęci. Absolutnie żadnej. Dawała mu raczej poczucie bezpieczeństwa świadomość, że ci trzej mężczyźni o ojcowskim wyglądzie są tu, by zaopatrzyć go w strawę, gorzałkę i nowe buty. Nurzał się w bezmyślnym, szczęśliwym gwarze ich rozmowy, w oparach dymu, który zdawał się płynąć nie z cygar, a wprost z ich samozadowolenia. Miał przekonanie, że mógłby do nich podejść, zwierzyć się ze swych problemów i dostać przyjacielską poradę. Byli tu, żeby go upewnić o słuszności jego działań, przypomnieć o podstawowych amerykańskich wartościach, podtrzymać iluzję braterskiego charakteru udziału w wojnie, wyjaśnić, że to ledwie ćwiczenie niezawodnego koleżeństwa i hartu ducha, rytuał inicjacyjny, jaki oni sami przeszli już dawno temu, obiecać wreszcie, że po wojnie wszyscy, jak tu są, dostaną medale i pochwały, i będą się kumpłować, i gadać o rozlewie krwi i okropieństwach, z potrząsaniem głowami i zdumieniem, jakby rozlew krwi i okropieństwa były dawno utraconymi przyjaciółmi, których zalet nie rozgryzł się w porę... Mingolla uświadomił sobie, że uśmiech rozciągnął i usztywnił mięśnie jego twarzy i że ów nurt rozważań znosi go na te obszary świadomości, które nawiedzają upiory. Drżenie ręki było silniejsze niż kiedykolwiek dotąd. Spojrzał na zegarek. Była prawie dziesiąta. D z i e s i ą t a ! W panice odsunął krzesło i wstał. - Poszukajmy go - powiedział do Gilbeya.

Gilbey zaczął coś mówić, ale zachował to dla siebie. Mocno zastukał łyżeczką w kant stołu. Potem on też odsunął z trzaskiem krzesło i wstał. Nie znaleźli Baylora ani w Club Demonio, ani w którymkolwiek z barów na zachodnim brzegu. Gilbey i Mingolla opisywali go wszystkim napotkanym, nikt jednak nie przypominał sobie kogoś takiego. Im dłużej trwało poszukiwanie, tym Mingolla czuł się niepewniej. Baylor był niezbędny, był najistotniejszym ogniwnem owej konstrukcji ze zwyczajów i rytuałów, która go wspierała, która mu pozwalała ująć z życiem poza zasięg narzędzi wojny i reguł przypadku, i jeśli to ogniwo uległoby zniszczeniu... Wyobraził sobie, jak chwieje się ta konstrukcja, a on z Gilbeyem wał się na łeb na szyję w otchłań pełną czarnych płomieni. Raz Gilbey powiedział: - Panama! Ten skurwysyn zwiął do Panamy. - Ale Mingolla nie sądził, że tak się w istocie stało. Miał pewność, że Baylor jest gdzieś blisko. Charakteryzowała to przeświadczenie taka jasność, że poczuł jeszcze większy niepokój, wiedząc, iż ten rodzaj jasności często zwiastuje kiepski epilog.

Słońce pięło się coraz wyżej, potworne brzemie jego gorąca przygniatało do ziemi, a blask ługował barwy ze stiukowych ścian, i pot Mingolli poczynał cuchnąć zgnilizną. Na ulicach było ledwie kilku żołnierzy przemieszanych ze zwykłą czeredą żebraków i dzieci, a bary, poza garstką pijaków gazujących jeszcze od wczoraj, świeciły pustkami. Gilbey wędrował sztywno, chwycił ludzi za koszule i zadawał pytania. Mingolla jednak, okropnie świadom swej drżącej ręki i jękający się niemal ze zdenerwowania, był zmuszony opracować szablonowe podejście, które umożliwiałoby mu przebrnięcie przez te krótkie indagacje. Podchodził spokojnie, z wysuniętą do przodu prawą stroną ciała, i mówił: Szukam mojego kumpla. Może go widziałeś? Wysoki gość. Oliwkowa skóra, czarne włosy. Nazywa się Baylor. - Doszedł do tego, że ów tekst spływał z jego ust zupełnie naturalnie.

W końcu Gilbey miał dość. - Idę się pobawić z Wielkimi Cycami - rzekł. - Jutro widzimy się w kantynie.

Zaczął odchodzić, ale odwrócił się i dodał: - Będę w Club Demonio, gdybyś chciał się ze mną spiknąć wcześniej.

Jego twarz miała dziwny wyraz. Wyglądała tak, jakby pragnął uśmiechnąć się pocieszająco, ale w związku z brakiem praktyki w uśmiechaniu się sprawiało to wrażenie czegoś wymuszonego, idiotycznego i w żadnym razie nie pocieszało.

Koło jedenastej skończyło się na tym, że wsparty o różową stiukową ścianę Mingolla wypatrywał Baylora w gęstniejącym tłumie. Obok niego zbrązowiałe od słońca liście bananowca szemrały na wietrze, a ilekroć silniejszy podmuch uderzał nimi o ścianę, wydawały szorstki odgłos. Dach baru po drugiej stronie ulicy właśnie reperowano: łaty z nowej blachy przeplatały się z wąskimi pasmami rdzy, co wyglądało jak olbrzymie plastry bekonu położonego tam w celu usmażenia. Od czasu do czasu błędził wzrokiem w stronę niedokończonego mostu, wielkiej wstęgi magicznej bieli pnącej się łukowato w błękit, wzniesionej ponad miasto, ponad dżunglę, ponad wojnę. Nawet gorąca mgła kapiąca z blaszanego dachu nie mogła zdeformować jego gładkości. Zdawał się komponować smród, gwar tłumu i knajpianą muzykę w spokojną jedność, absorbując te energie, by je wydzielić w postaci oczyszczonej i wzbogaconej. Mingolla sądził, że jeśli będzie nań patrzeć dostatecznie długo, most do niego przemówi, wypowie magiczne białe słowo, które spełni jego życzenia. Dwa płaskie trzaski - strzały pistoletowe - odepchnęły go z galopującym sercem od ściany. Wewnątrz jego mózgu te strzały wyrzekły dwie sylaby nazwiska Baylora. Zniknęły dzieci i żebracy, a wszyscy żołnierze - żywe trupy, które usłyszały głos pana - odwrócili się w stronę, z której dobiegły strzały.

Następny strzał.

Z przecznicy wyroilo się kilku rozprawiających z podnieceniem żołnierzy. - ...jebany psych! - mówił jeden, a kumpel stwierdził: To był Sammy, człowieku! Widziałeś jego oczy?

Mingolla przebił się przez nich i pognął przecznicą. U jej końca kordon żandarmów odcinał wlot w prawo, w ulicę prostopadłą i kiedy Mingolla nadbiegł, powiedziano mu, żeby się trzymał z daleka. - Co to jest? - spytał Mingolla. - Jakiś facet odgrywa Sammy'ego?

- Spierdalaj - łagodnie odparł jeden z żandarmów.

- Posłuchaj - rzekł Mingolla. - To może być ten mój przyjaciel.

Wysoki, chudy gość. Czarne włosy. Może mu przemówię do rozsądku. MP wymienił spojrzenia ze swymi kumplami, którzy wzruszyli ramionami i dalej zachowywali się tak, jakby się nic nie działo. Okay - powiedział. Przyciągnął do siebie Mingollę i pokazał mu na następnym rogu bar o truskawkowych ścianach. - Idź tam i pogadaj z kapitanem. Dwa kolejne strzały.

- Lepiej się pospiesz - powiedział MP. - Ten nasz zacny staruszek kapitan Haynesworth nie ma wielkiego nabożeństwa do negocjacji. Wewnątrz baru panował chłód i mrok; dwie ciemne sylwetki przyłgnęły do ściany obok okna wychodzącego na prostopadłą ulicę. Mingolla dostrzegł w ich dłoniach połysk pistoletów automatycznych. Potem, przez okno, zobaczył Baylora wyłaniającego się zza trzystopowego murka wspornikowego z niewypalonych cegieł, który biegł między sklepem zielarskim a następnym barem. Baylor był obnażony do pasa, jego pierś pokrywały czerwonobrazowe smugi zakrzepłej krwi i stał w nonszalanckiej pozie z kciukami wetkniętymi w kieszenie spodni. Jeden z ludzi przy oknie strzelił doń. Huk był tak ogłuszający, że Mingolla wzdrygnął się i zamknął oczy. Gdy znów spojrzął przez okno, nie było widać ani śladu Baylora.

- Skurwiel tylko próbuje ściągnąć na siebie ogień - powiedział mężczyzna, który strzelił do Baylora. - Sammy jest dzisiaj szybki. - Taak, ale już zwalnia obroty - rozległ się z mroku w głębi baru ospały głos. - Myślę, że mu się towar skończył. - Hej - powiedział Mingolla - nie zabijajcie go! Znam tego faceta.

Mogę z nim pogadać.

- Pogadać? - rzekł ospały głos. - Możesz se gadać, aż ci się dupa zazieleni, a Sammy nie posłucha ni cholery.

Mingolla wbił wzrok w ciemność. O szynkwas wspierał się ogromny mężczyzna o rozlazłym wyglądzie; na jego berecie połyskiwały mosiężne insygnia.

- Pan kapitan? - zapytał. - Ci na zewnątrz powiedzieli, że bym pomówił z kapitanem.

- W rzeczy samej - odparł mężczyzna. - Pogawędzę z tobą z prawdziwą rozkoszą, chłopcze. O czym chcesz mówić?

Dwaj przy ścianie roześmieli się.

- Czemu chcecie go zabić? - zapytał Mingolla, słysząc w swoim głosie nutę rozpacz. - Nie musicie go zabijać. Możecie użyć usypiacza. - Mają nam dowieźć - odparł kapitan. - Ale sedno w tym, że twój kumpel ma tam pod murem paru zakładników i jeśli trafi się nam szansa, nim przyjedzie usypiacz, musimy z niej skorzystać. - Ale... - zaczął Mingolla.

- Pozwól mi skończyć, chłopcze - kapitan podciągnął pas od kabury, podszedł niespiesznie i położywszy dłoń na ramieniu Mingolli otoczył go zapachem spoconego ciała i przesyconego whisky oddechu. - Widzisz - powiedział - mamy wszystko pod kontrolą. Ten tu Sammy... - Baylor - wtrącił Mingolla gniewnie. - Nazywa się Baylor.

Kapitan zdjął ramię z barku Mingolli i popatrzył nań z rozbawieniem. Nawet w półmroku Mingolla mógł dostrzec na jego policzkach siatkę popękanych naczyń krwionośnych, cechę opasłych alkoholików. - Słusznie - rzekł kapitan. - Więc, jak powiadam, twój dobry koleś pan Baylor nie zrobił nic takiego złego. Tylko jakby trochę rozrabiał i szalał. Ale potem zjawia się dwóch naszych braci z marines. Wygląda na to, że demonstrowali przyjacielom z dżungli swój najnowszy sprzęt bojowy i wracając z rzeczonożego pokazu zobaczyli nasz malutki problemik, więc postanowili odegrać bohaterów. Ano, żeby się streszczać, pan Baylor załatwił ich na cacy. Wziął pod obcas ich esprit de corps. Potem zaciągnął za ten mur i zaczął gmerać w jednej z ich spluw. L.. Dwa kolejne strzały.

- Kurwa! - powiedział jeden z ludzi przy oknie. - I siedzi tam sobie - ciągnął kapitan - i gra z nami w chujki. Otóż: albo broń nie ma amunicji, albo nie wykombinował jeszcze, jak działa. Jeśli to drugie i jeśli w końcu wykombinuje... kapitan smętnie pokiwał głową, jakby wyobrażając sobie oplakane następstwa. - Rozumiesz, w jakim jestem położeniu?

- Mógłbym spróbować z nim pogadać - rzekł Mingolla. Co to zaszkodzi? - Jak cię zabije, chłopcze - to twoje życie. Ale to moją dupę wezmą w obroty.

Kapitan jął sterować Mingollą ku drzwiom i popchnął go delikatnie w stronę kordonu żandarmów. - Dzięki za dobre chęci, chłopcze. Później Mingolla doszedł do wniosku, że to, co wówczas uczynił, nie miało sensu, bo niezależnie od tego, czy Baylor by przeżył, czy nie, nigdy nie powróciłby na Mrówczą Farmę. Ale wtedy, zdecydowany ocalić rytuał za wszelką cenę, nic z tych rzeczy nie wziął pod uwagę. Obszedłszy róg skierował się ku ścianie wspornikowej. Miał sucho w ustach i łomotało mu serce. Ale drżenie ręki ustąpiło i miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby zablokować żandarmom linię strzału. Jakieś dwadzieścia stóp przed murem zawołał: - Hej, Baylor! To ja, człowieku, Mingolla!

Baylor wyskoczył jak na sprężynie i wbił weń wzrok. Było to przerażające spojrzenie. Oczy Baylora przypominały ślepią byka; biało ze wszystkich stron otaczało tęczówki. Z nozdrzy wyciekły strużki krwi, a nerwy dygotały w mięśniach policzków z regularnością mechanizmów zegarka. Skrzepla krew na piersi pochodziła z trzech długich draśnień; były częściowo zasklepione, ale wciąż wydzielały przezroczysty płyn. Przez moment trwał nieruchomo. Potem sięgnął za murek, podniósł dwulufową broń, z której kolby wybiegał giętki przewód, i wymierzył do Mingolli.

Nacisnął spust.

Żadnego ognia, żadnej eksplozji. Nawet trzasku. Ale Mingolla poczuł się tak, jakby skąpano go w lodowatej wodzie. - Chryste! - krzyknął. - Baylor, to ja!

Baylor ponownie nacisnął spust - z takim samym wynikiem. Przez jego twarz przepłynął wyraz dogłębnego zniechęcenia, a potem powróciło martwe spojrzenie. Popatrzył wprost w słońce i po sekundzie uśmiechnął się, jakby otrzymał z wysokości wspaniałe nowiny.

Zmysły Mingolli stały się cudownie ostre. Gdzieś w dali płynęła z radia piosenka country and western i jej płaczliwa melodia, przerywana od czasu do czasu szmerem zakłóceń, wydała mu się zawodzeniem rozedrganego systemu nerwowego. Słyszał żandarmów rozmawiających w barze, wchłaniał gorzkie opary Baylorowego szaleństwa i sądził, że wyczuwa puls jego wściekłości, a także kapryśny przepływ omywających go, potęgujących jego lęk i przykuwających do miejsca strużek krwi. Baylor odłożył broń, a uczynił to z czułością, jaką się okazuje choremu dziecku, i przestąpił murek. Zwierzęca płynność tego ruchu przyprawiła Mingollę o dreszcze. Zdołał odstąpić krok do tyłu i podnieść ręce, by ochronić Baylora. - Chodź, człowieku - powiedział słabo. Baylor wydał z siebie gniewny odgłos - po części syk, po części skowyt - i strużka śliny pociekła mu pomiędzy warg. Słońce zraszało ulicę jak złoty prysznic, krzesząc lśnienia i błyski z każdej jasnej powierzchni, jakby w zamiarze zagotowania całej rzeczywistości. Ktoś wrzasnął: - Padnij, chłopie!

A potem Baylor rzucił się na Mingollę i padli razem, by toczyć się po ubitej ziemi. Palce wpiły się w szyję Mingolli, poniżej jabłka Adama. Skręcił się w bok i ujrzał nad sobą skrzywione grymasem oblicze Baylora, zdominowane przez wytrzeszczone oczy i pożółkłe zęby. I ściekające z podbródka strużki śliny. Koszmarna maska. Kolana przygwoździły ręce Mingolli, dłonie chwyciły za włosy, waląc jego głową o ziemię. Raz za razem. Przenikliwy świst zaczął przewiercać mu uszy. Wyswobodził jedną rękę i próbował wrazić palce w oczy Baylora; Baylor ugryzł go w kciuk, zaciskając zęby na stawie. Mingolli pomroczało przed oczami i przestał cokolwiek słyszeć. Jego potylicza wydawała się miękka i po każdym uderzeniu jakby unosiła się z ziemi bardzo powoli, coraz wolniej i wyżej, a obramowane błękitnym niebem oblicze Baylora pozornie oddalało się po spirali. I wtedy, gdy Mingolla poczynał tracić przytomność, Baylor znikł.

W ustach i nozdrzach Mingolla miał kurz. Słyszał wrzaski i stęknienia. Wciąż oszołomiony, wsparł się na łokciu. Nieopodal, w obłoku kurzu, wirowały nogi koloru khaki, ramiona i kolby. Coś na kształt walki w komiksie. Można było niemal oczekiwać wykrzykników i gwiazdek z przekleństwami. Ktoś chwycił go za ramię i postawił na nogi. Kapitan żandarmerii, z oblaną rumieńcem otyłą twarzą. Otrzepując kurz z ubrania Mingolli, z dezaprobatą marszczył brew.

- Naprawdę z ikłą, chłopcze - powiedział. - I naprawdę, naprawdę głupio. Jak by nie był pod koniec cugu, to byś teraz muchy karmił. - Odwrócił się do stojącego w pobliżu sierżanta. - Na ile, twoim zdaniem, to było idiotyczne, Phil?

Sierżant odparł, że nie ma zdania.

- Cóż - stwierdził kapitan. - Kombinuję sobie, że gdyby ten nasz chłoptaş był w walce, to by było głupie w sam raz na Brązową Gwiazdę. To, zgodził się sierżant, jest już zupełnie niezła cholerna głupota. - Ale tu, we Frisco - kapitan strząsnął z Mingolli resztki kurzu - nie dostaniesz za to nawet gówienka.

Żandarmi złazili z Baylora, który krwawiąc z nosa i ust leżał na boku. Krew, gęsta jak sos, oblepiała jego policzki. - Panama - powiedział Mingolla w otępieniu. Może to b y ł o jakieś wyjście. Wyobrażał sobie, jak by to wyglądało... nocna plaża, palmy, koronkowa siatka cieni na białym piasku.

- Co mówisz? - zapytał kapitan.

- Chciał zwać do Panamy - odparł Mingolla. Kapitan parsknął z rozbawieniem. - Jak my wszyscy.

Jeden z żandarmów przetoczył Baylora na brzuch i założył mu na ręce kajdanki; drugi skuł nogi. Potem znów przewrócili go na wznak. Żółty kurz przemieszał się z krwią na jego policzkach i czole, oblepiając twarz krostowatą maską. W środku tej maski otwarły się oczy, a potem rozszerzyły, gdy Baylor poczuł więzy. Zaczął się prężyć i prostować, by tym sposobem odzyskać wolność. Prężył się tak prawie minutę; potem zeszywniał z nieobecny spojrzaniem wbitym w rozżarzony krąg słońca - i wydał z siebie ryk. To jedyne właściwe słowo. Nie był to wrzask ani okrzyk, lecz triumfalny szatański ryk, tak donośny i przesycony furją, jakby kumulował w sobie całą moc oślepiającego blasku i migotania fantomów. Słuchanie go miało efekt porywający i Mingolla zaczął wnikać w jego istotę, czuć go w swym ciele jak dobry kawałek rockandrollowy, podpisywać się pod jego nienawistną życiową rozlewnością. - Huhu - rzekł zdumiony kapitan. - Muszą dla tego chłopaczka zbudować zupełnie nowe zoo.

Złożywszy zeznania i pozwoliwszy sanitariuszowi obejrzeć swoją głowę, Mingolla przeprowił się promem na brzeg wschodni, gdzie był umówiony z Deborahą. Siedział na rufie, wpatrując się w niedokończony most, niezdolny tym razem zaczerpnąć zeń jakiegokolwiek poczucia nadziei czy magii. W jego myślach wciąż kiełkowała Panama. Czy teraz, skoro Baylor został wyeliminowany, naprawdę stanowiła rozwiązanie? Wiedział, że się powinien uporać z różnymi sprawami, poczynić jakieś plany, ale nie mógł zapomnieć widoku skrwawionej, oszalonej twarzy Baylora. Widywał gorsze, Chryste, tak, o wiele, wiele gorsze. Facetów zredukowanych do części zamiennych, do strzępków tak drobnych, że nie potrzebowali nawet lśniącej srebrzyście trumny, a tylko metalowego czarnego pudełka wielkości puszek herbatników. Facetów poparzonych, jednookich i krwawych, szarpiących na oślepowanie powietrze jak bestie z filmów o potworach. Ale wyobrażenie Baylora pojmanego na wieki w jakąś krwawą pułapkę wewnątrz mózgu, w samym sercu owego krwawego pierwotnego ryku, jaki z siebie wydał, może to wyobrażenie było gorsze od wszystkiego, co Mingolla widział. Nie chciał umierać; odrzucał to prawdopodobieństwo z tym namiętnym uporem, jaki okazuje dziecko stanawszy twarzą twarzą z bezwzględnością. A przecież wolałby umrzeć niż cierpieć szaleństwo. W porównaniu z tym, co czekało Baylora, śmierć i Panama zdawały się oferować tę samą słodką uspokojenia. Ktoś usiadł obok Mingolli: młodzik, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Nowy szczeniak z nowym językiem, nowymi butami, nowymi drellichami. Nawet jego twarz sprawiała wrażenie nowej, świeżo wyjętej z formy. Lśniące pucołowate policzki, gładka skóra; jasne nie sterane oczy. Palił się do rozmowy. Pytał Mingollę o jego strony, rodzinę i powiedział: - Oho, to musi być wspaniałe tak mieszkać w Nowym Jorku, oho. - Ale zdawało się, że musi mieć jakiś inny powód, dla którego wszczął tę rozmowę, coś, do czego prowadził i co wreszcie z siebie wyrzucił.

- Wiesz o tym Samurym, co się tu zezwierzęcił? - zapytał. - Widziałem go wczoraj wieczorem na arenie. Taki mały lokal w dżungli na zachód od bazy. Właścicielem jest gość o imieniu Chaco. Człowieku, to było niewiarygodne!

Mingolla słyszał o arenach tylko z trzeciej i czwartej ręki, ale to, co do niego dotarło, brzmiało paskudnie i trudno było uwierzyć, że ten szczył pachnący maminsynkiem może lubić coś tak ohydne. I mimo zdarzeń, których był przed chwilą świadkiem, jeszcze trudniej było mu uwierzyć w fakt, że Baylor mógł w tym brać udział. Szczeniak nie potrzebował zachęty. - Było jeszcze dość wcześnie - zaczął. - Siedziało parę łajz, nic specjalnego, a potem ładuje się ten gość i wygląda, że wszystko w nim buzuje. Skapowałem, że to Samury, po tym, jak patrzył na arenę, wyczuwasz, jakby była czymś, na co ma ochotę.

I ten gość ze mną, znaczy mój kumpel, szturcha mnie w żebra i powiada:

Jasny gwint! Człowieku, to Czarny Rycerz! Jakiś czas temu widziałem w Reunion jego walkę. Stawiaj na niego, powiada. Ten facet to as! Ostatnią przepustkę spędzali w Reunion. Mingolla próbował sformułować pytanie, ale nie mógł wymyślić żadnego, na które odpowiedź miałaby jakikolwiek sens.

- Cóż - ciągnął małolat. - Nie tak dawno jestem zadołowany, ale nawet ja słyszałem o Czarnym Rycerzu. Więc podchodzę i kręcę się wokół niego z tą myślą, że może wyniucham, jak się czuje, bo przecież nie będę stawiał tylko na jego reputację. Zaraz potem przychodzi Chaco i pyta Rycerza, czy by się nie zechciał przeciągnąć. Tak, mówi Rycerz, ale chcę walczyć ze zwierzęciem. Czymś dzikim, człowieku. Chcę powalczyć z czymś dzikim. Chaco powiada, że ma trochę małp i innego gówna, a Rycerz na to, że coś słyszał o jaguarze. Chaco chrząka, mlaska, może tak, powiada, może nie, ale to bez znaczenia, bo jaguar to za dużo dla Sammy'ego. I wtedy Rycerz mówi Chaco, kim jest. I co ci powiem, Chaco z mety zmienił front. Wyobraził sobie, jakie poleca zakłady przy czymś takim, jak Czarny Rycerz kontra jaguar. No więc powiada: Tak jest, panie Czarny Rycerzu, już się robi! Czego tylko sobie życzysz! I ogłasza. Człowieku! Buda wariuje! Ludzie machają forsą, wywrzaskują typy i ostro gorzalkują, żeby się nabuzować przed głównym punktem programu, a Rycerz tylko sobie stoi, uśmiechnięty, jakby chłonał w siebie cały ten cyrk. Potem Chaco przez tunel wypuszcza na arenę jaguara. To nie jest dorosły jaguar, może taki pół-dorosły, ale to góra, z czym może się uporać nawet Rycerz. Chłopak przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza, i zdawało się, że wzrok mu pojaśniał.

- No więc jaguar chyłkiem krąży wokół areny, tuż przy ścianie, warczy i toczy pianę, a Rycerz obserwuje go z góry, kapujesz, analizuje jego ruchy. I wszyscy intonują „Sammyyy, Sammyyy, Sammyyy!” i jak to wycie robi się naprawdę głośne, Rycerz wyciąga z kieszeni trzy ampułki. Tak jest, kurwa, człowieku! Trzy! Nigdy się nie otarłem o Sammy'ego, który zaliczył więcej niż dwie. Trzy wypieprzają cię prosto pod jebane niebiosy! Więc kiedy Rycerz podnosi w górę te trzy ampułki, ludziska aż kipią i wrzeszczą tak, jakby to oni odgrywali Sammy'ego. Ale Rycerz, człowieku, on to robi na zimno. Jest tak spokojny! Trzyma te ampułki, pozwala się podziwiać, wsysa w siebie ten hałas i energię, krzepi się sokiem tłumu. Chaco ucisza wszystkich dłonią i zasuwa tę mowę, wiesz, o tym, jak to w sercu każdego mężczyzny tkwi dusza wojownika, która tylko czeka, żeby ją spuścić ze smyczy i takie tam gówno. Mówię ci, człowieku, zawsze dotąd myślałem, że ten tekst to pierdoły, ale Rycerz sprawił, że kupiłem w stu procentach. Był tak cholernie spokojny! Więc zdejmuje koszulę i buty, i zawiązuje na ramieniu ten kawałek czarnego jedwabiu. Potem jedną po drugiej otwiera te ampułki, naprawdę szybko, i wdycha to wszystko. Widzę, jak to w niego wali, jak mu zapala oczy. I jak tylko powąchał ostatnią, wskakuje na arenę. Człowieku, nie używa tunelu! Dwadzieścia pięć stóp do piasku i ląduje na ugiętych nogach. Trzech innych żołnierzy poczęło przysłuchiwać się opowieści i teraz małolat zwracał się do wszystkich, grał przed swoją widownią. Był tak podekscytowany, że spójne opowiadanie przychodziło mu z najwyższym trudem, a Mingolla uświadomił sobie z niesmakiem, że jego też rajcuje wyobrażenie Baylora przyczajonego na piasku. Baylora, który płakał po ataku. Baylora, który tak obawiał się snajperów, że kiedyś wolał zeszczuć się w portki niż przejść od swego działu do latryny:

Baylora, Czarnego Rycerza.

- Jaguar skrzeczy, warczy, szarpie pazurami powietrze ciągnął chłopak. - Próbuje zaszczepić w Rycerzu lęk. Bo jaguar wie w głębi duszy, że Rycerz to dla niego ciężkie tarapaty. To nie żaden pokurcz w rodzaju Chaco, to jest Sammy. Rycerz, wciąż pochylony, przesuwa się ku środkowi areny. - Tu szczeniak podniósł głos wysoko i dramatycznie. - Przez parę minut nic się nie dzieje, ale panuje napięcie. Ludzie ledwie oddychają. Jaguar skacze parę razy, ale chybia, bo Rycerz robi uniki w bok i ani jednemu, ani drugiemu nic się złego nie dzieje. Ilekroć jaguar skacze, ludzie wzdychają i kwiczą, nie tylko dlatego, że boją się zobaczyć Rycerza porwanego w strzępy, ale także dlatego, że widzą, jaki jest szybki. Jedwabście szybki, człowieku. Nierealnie. Wydaje się mniej więcej tak szybki jak jaguar. Wciąż robi te swoje uniki i choć jaguar zwija się i skręca, choć gania go po piasku, nie może sięgnąć Rycerza pazurami. A potem, człowieku... och, ależ to było płynne! Potem jaguar znowu skacze, ale tym razem - zamiast zrobić unik - Rycerz pada na wznak, robi pół przewrotu przez głowę i kiedy jaguar nad nim przelatuje, kopie w górę obiema nogami.

Potęźnie kopie! I wbija pięty w bok jaguara. Jaguar wali o ścianę areny i spada ze skowytym, próbując sięgnąć zębami żeber. Bo były rozpieprzone, człowieku. Sterczały ze skóry jak maszty namiotu.

Chłopak otarł usta grzbietem dłoni i błysnął oczami w stronę Mingolli i pozostałych żołnierzy, by się przekonać, czy opowieść ich porywa. - Ale żeśmy się darli, człowieku - podjął. - Waliliśmy w szczyt muru. Było tak głośno, że ten mój kumpel wrzeszczał mi coś do ucha, a ja nic nie słyszałem. No i może z powodu hałasu, może przez te żebra, w jaguara wstępuje diabeł. Pozoruje ataki na Rycerza, próbuje się doń zbliżyć przed skokiem, żeby mu Rycerz nie wykręcił tego samego numeru. Warczy jak cholerna piła łańcuchowa! Rycerz wciąż odskakuje, i robi zwody. Ale potem potyka się, człowieku, macha rękami dla odzyskania równowagi i jaguar już na nim siedzi, rwie mu pierś. Przez sekundę jakby razem walcowali. Potem Rycerz odgina tę łapę, która go zahaczyła, odpycha łeb jaguara i wali go pięścią w oko. Jaguar pada na piasek, a Rycerz daje drapaką w drugi koniec areny. Ogląda rany na piersi, które krwawią jak diabli. Tymczasem jaguar podnosi się na łapy i jest porozpieprzony jak nigdy. Jedno oko pełne krwi, zadnie łapy trzęsą się jak galareta. Gdyby to był boks, to by wezwano lekarza. Jaguar kombinuje sobie, że ma po ucho tego dobrego i próbuje wyskoczyć z areny. Któryś razem skacze w tym miejscu, gdzie się przechyłam przez mur. Jest tak blisko, że czuję jego oddech i widzę swoje odbicie w zdrowym oku. Ludzie świrują, bo myślą, że mu się może udać. Ale nim ma jakąkolwiek szansę, Rycerz łapie go za ogon i rzuca nim o mur. Jak się trzepie cholerne dywany, tak on załatwia tego jaguara. A jaguar to teraz prawdziwa ruina. Trzęsie się. Krew mu leci z pyska, kły całe czerwone. Rycerz zaczyna te swoje zmyłki, macha rękami, warczy. Bawi się z jaguarem. Ludzie, człowieku, nie wierzą własnym oczom. Sammy tak dołożył jaguarowi, że może się z nim bawić! Jeśli przedtem lokal wyglądał jak dom wariatów, to teraz jest to cholerne zoo. Bójki w tłumie, faceci śpiewają Hymn Piechoty Morskiej. Jakaś zezowata fasolara ściąga ciuchy. Jaguar znów próbuje wejść z Rycerzem w zwarcie, ale jest za bardzo zdemontowany. Nic mi nie wychodzi. A Rycerz wciąż warczy i robi zwody. Facet za mną buczy i twierdzi, że Rycerz kala czystość sportu, bo się bawi z jaguarem. Ale do diabła, człowieku, widzę, że on po prostu rozgryza jaguara, czeka na właściwy moment, odpowiedni ruch.

Chłopak tęsknie zapatrzył się w dół rzeki; może myślał o swojej dziewczynie.

- Wiedzieliśmy, że to się zbliża - podjął. - Wszyscy naprawdę ucichli. Tak ucichli, że było słychać stopy Rycerza szurające po piasku. Czułeś to w powietrzu i wiedziałeś, że jaguar zbiera siły na ostatni wielki wysiłek. Potem Rycerz znów się potyka, ale tym razem to zmyłka. Ja to dostrzegłem, ale jaguar nie. Gdy Rycerz zatacza się w bok, jaguar skacze. Myślałem, że Rycerz padnie jak za pierwszym razem, ale on też skacze. Nogami do przodu. I trafia jaguara w dolną szczękę. Słyszysz trzask kości i jaguar wali się jak łachman. Próbuje wstać, ale nic z tego! Skowyczy i zasrywa całą arenę. Rycerz podchodzi do niego z tyłu, chwyta łeb w obie ręce i skręca. Trzask!

Jakby współczując jaguarowi chłopak zamknął oczy i westchnął. - Wszyscy siedzieli cicho, póki nie usłyszeli tego trzasku. Wtedy rozpętało się piekło. Ludzie wyli „Sammyyy, Sammyyy!” i przepychali się, żeby dotrzeć jak najbliżej muru i zobaczyć, jak Rycerz wyrywa serce. Siega do pyska jaguara, wyrywa jeden z kłów i komuś rzuca. Potem przez tunel wchodzi Chaco i daje mu nóż. Akurat gdy ma go wbić, ktoś mnie przewraca. Kiedy staję na nogi, widzę, że wyjął już serce i go pokosztował. Stoi tam po prostu z krwią jaguara na wargach i własną, ściekającą po piersi. Trochę wyglądał na zmieszanego, kapujesz, że to niby walka się skończyła, a on nie wie, co robić. Ale potem zaczyna ryczeć. Ryczy tak samo jak jaguar, zanim dostał wycisk. Wściekle jak wszyscy diabli. Gotów załatwić cały cholerny świat. Człowieku, zatraciłem się. Byłem w tym ryku. Może ryczałem razem z Rycerzem, może wszyscy ryczeli. Człowieku, tak się właśnie czułem. Jakbym był w samym środku takiego ryku, co wychodzi z każdego gardła na świecie. Małolat ogarnął Mingollę przytomnym spojrzeniem. - Kupa ludzi powtarza, że arena to zło i może tak jest. Nie

wiem. Ale jak niby masz powiedzieć, co tu jest złe, a co nie? Mówią, że można łązić na walki tysiąc razy i nie zobaczyć niczego takiego jak Czarny Rycerz i jaguar. Tego też nie wiem. Ale będę wracał na wypadek, gdybym znowu miał fart. Bo to, co widziałem wczoraj wieczorem, jeśli nawet było złe, człowieku, to było tak kurewsko złe, że aż piękne. Debora czekała na nabrzeżu z koszykiem piknikowym w ręku, ubrana w błękitną suknię bez dekoltu i rozcięć: strój uczennicy. Mingolla wziął na nią kurs. Jej fryzura - włosy spadające na ramiona w gęstych czarnych puklach - przywiodła mu na myśl zastygły dym, a twarz - mapę cudownej krainy z czarnymi jeziorami i cienistymi równinami, krainy, w której mógłby się ukryć. Poszli brzegiem za miasto, aż dotarli do zakątka, gdzie drzewa ceiba o gładkich zielonych liściach, białawym łyku i korzeniach jak ogony aligatorów rosły nad samą rzeką, i tu jedli, rozmawiali i słuchali wody chlupoczącej o błotnisty brzeg, ptaków, nikłych odgłosów z bazy lotniczej, które z tej odległości zdawały się przynależać naturze. Blask słońca pokrył wodę miriadem migotań, a ilekroć wiatr marszczył powierzchnię, miało się wrażenie, iż rozwiewa je na kształt diamentowego płaszcza. Mingolla wyobrażał sobie, że wstąpiwszy na tajemną ścieżkę dotarli za róg świata i osiągnęli jakąś krainę wieczystego spokoju. Złudzenie spokoju było tak doskonałe, że począł w nim dostrzegać nadzieję. Jakaś nową magię. Może zobaczy tu znak. Znaki były wszędzie, jeśli potrafiło się je odczytać. Rozejrzał się dokoła. Grube białe pnie zwieńczone zielenią i wiodące między nimi mroczne aleje liści... tu nic nie ma, co jednak z krzewami porastającymi brzeg rzeki? Rzuciły na gliniasty grunt cienie jak precyzyjny ornament z irysów, cienie, które nie miały wiele wspólnego z poszarpaną gmatwaniną samych gałązek. Możliwe, że to znak, choć znak niejasny. Przeniósł wzrok na trzciny porastające płyciznę. Żółte trzciny, trzymające się pod boki swymi przegubowymi łodygami, jedne ze skupiskami owadziej jaj zwisających z pojedynczych włókien jak drobniutkie perły, inne pocętkowane plamami alg. Tak wyglądały w jednej chwili. Potem obraz przed oczami Mingolli zafalował, jak gdyby przez całą rzeczywistość przebiegło drżenie, i oto trzciny ukazały się w kształtach najprostszych: żółte pałki sterczące z płaskiego błękitu. Dżungla na drugim brzegu była ledwie maźnięciem pastelowej zieleni; jakiś ścigacz rozplatał błękit czerwonym nożem. Wydawało się, że to zafalowanie minimalnie przesunęło wszystkie elementy krajobrazu wobec właściwego im porządku, ujawniając, że są w istocie równie pozbawione wyrazu, jak klocek do zabawy. Mingolla zaaplikował sobie potrząśnięcie głową. Nic się nie zmieniło. Potarł czoło. Bez efektu. Ogarnięty przerażeniem mocno zacisnął powieki. Czuł się jak jedyne znaczące ogniwo bzdurnej układanki, podatne, przez swój szczególny charakter, na uraz. Oddychał gwałtownie i drżała mu lewa ręka.

- David? Nie chcesz tego posłuchać? - Debora sprawiała wrażenie poirytowanej.

- Czego posłuchać? - Nie otwierał oczu. - O moim śnie. Nie uważałeś? Zerknął na nią. Wszystko wróciło do normy. Siedziała na podkurczonych nogach, wyraźnie widział jej rysy.

- Przepraszam - powiedział. - Zamyśliłem się. - Wyglądałeś na przerażonego.

- Przerażonego? - zrobił zdumioną minę. - Nie, coś mi przyszło do głowy, ot i wszystko.

- To coś nie mogło być przyjemne.

Zbył ten komentarz wzruszeniem ramion i usiadł żwawo, by dowieść swojego zainteresowania. - Więc opowiedz mi ten sen. - W porządku - odparła niepewnie. Odgarniała gęste kosmyki włosów, które wiatr zsuwał jej na twarz. - Byłeś w pokoju o kolorze krwi, z czerwonymi krzesłami i czerwonym stołem. Nawet obrazy na ścianach były w rozmaitych odcieniach czerwieni i... - urwała, przyglądając mu się bacznie. - Czy chcesz tego słuchać? Znów masz ten wyraz twarzy.

- Jasne - odparł. Ale bał się. Skąd mogła wiedzieć o czerwonym pokoju? Musiała mieć widzenie i... Potem uzmysłowił sobie, że ona być może wcale nie opowiada o samym pokoju. Mówił jej o ataku, czyż nie? Jeśli więc miała powiązania z partyzantką, mogła wiedzieć, że podczas napadu było włączone oświetlenie alarmowe. Tak to musiało wyglądać! Znów go próbowała nastraszyć do tego stopnia, żeby zdezerterował, manipulując jego psychiką tak, jak kreśląc obrazy rzek ognia i mąk

kaznodzieja wygrywa lęki grzeszników. To doprowadziło go do wściekłości. Kim ona, u diabła, jest, żeby go pouczać, co jest słuszne i mądre? Cokolwiek uczyni, będzie to j e g o własna decyzja.

- Pokój miał troje drzwi - ciągnęła. - Chciałeś zeń wyjść, ale nie wiedziałeś, których drzwi możesz bezpiecznie użyć. Spróbowałeś pierwszych, ale okazały się atrapą. Klamka drugich dała się łatwo nacisnąć, ale same drzwi były zablokowane. Nie próbując sforsować ich siłą podszedłeś do trzecich. Ich klamka była ze szkła i skaleczyłeś sobie dłoń. Potem chodziłeś tylko w kółko, nie mając pewności, co robić. - Czekala na reakcję, a gdy nie okazał żadnej, dodała: - Czy rozumiesz? Zachowywał milczenie, próbując stłumić gniew. - Wytłumaczę ci go - zaproponowała.

- Nie trudź się.

- Czerwony pokój to wojna, zaś atrapa drzwi to twoja dziecinna... - Przestań! - Złapał ją za nadgarstek i mocno ścisnął. Tak długo piorunowała go spojrzeniem, aż puścił.

- To twoja dziecinna metoda magiczna - dokończyła.

- Jak to z tobą jest? - zapytał. - Masz do wyrobienia jakiś limit? Pięciu dezertarów miesięcznie i dostajesz medal? Obciągnęła spódnice, żeby zakryć kolana, i kręciła w palcach wyprutą nitkę. Z jej zachowania można było wysnuć wniosek, że zadano jej oto intymne pytanie, a ona formułuje odpowiedź, która nie ma być wulgarna. W końcu powiedziała: - Czy taki, w twoim przekonaniu, jest mój stosunek do ciebie? - A źle myślę? Bo z jakiego innego powodu wciskałabyś mi ten kit? - Co się z tobą dzieje, David? - pochyliła się do przodu, ujmując w dłonie jego twarz. - Dlaczego...

Odepchnął jej dłonie. - Co się ze mną dzieje? To - jego gest ogarniał niebo, rzekę, drzewa - to się ze mną dzieje. Przypominasz mi moich rodziców. Zadają te same ignoranckie pytania. Zapragnął nagle zranić ją swymi odpowiedziami, znaleźć taką odpowiedź, którą chluśnie w jej twarz jak kwasem, by patrzeć, jak pożera jej spokój. - Wiesz, jaki numer wykręcam rodzicom? zapytał. - Kiedy zadają kretyńskie pytania w rodzaju „Co się z tobą dzieje?”, opowiadam im historię. Wojenną historię. Chcesz posłuchać wojennej historii? O czymś, co się stało parę dni temu i co znakomicie starczy za odpowiedź? - Nie musisz mi niczego opowiadać - odparła zniechęcona. - Żaden problem - powiedział. - Cała przyjemność po mojej stronie. Mrówcza Farma jest wielkim wzgórzem o kształcie głowy cukru wypiętrzoną nad gęstą dżunglą na wschodniej granicy Szmaragdowej Strefy Ogniowej; z jej szczytu sterczą stanowiska artyleryjskie i raketowe, które z oddali przypominają ciernie wbite w zieloną czaszkę. W promieniu kilkuset jardów grunt oczyszczono z wszelkiej roślinności. Maksymalnie obniżone lufy wielkokalibrowych dział w jednym szaleńczym momencie zmiotły z powierzchni ziemi wielkie połacie dżungli pozostawiając palisadę poczerniałych kikutów i pokiereszowany siatką szczelin wyżarzony czerwony grunt. Zwoje drutu tnącego zastąpiły drzewa i krzaki tworząc surrealistyczny żywopłot, pod którym skryto mnogość najrozmaitszych min i czujników. Niewielki był z nich jednak pożytek, bowiem Kubańczycy dysponowali techniką, która umożliwiała zneutralizowanie większości z nich. W jasne noce prawdopodobieństwo kłopotów nie było wielkie, ogromnie jednak rosło podczas nocy mglistych. Pod osłoną mgły Kubańczycy i partyzanci przedostawali się przez druty i podejmowali próby wniknięcia do gmatwaniny wydrążonych w głębi wzgórza tuneli. Niekiedy eksplodowała któraś z min i widziało się wówczas upiorną kulę ognistą w kokonie wirującej bieli oraz odrzucane na boki maleńkie czarne figurki. Ostatnio stwierdzono, że niektóre z ofiar mają na sobie czerwone berety i mosiężne znaczki w kształcie skorpiona, z czego wysnuto wniosek, iż Kubańczycy podesłali Dywizję Alakrańską, która odegrała zasadniczą rolę w rozgromieniu sił amerykańskich w Miskitii. W głębi wzgórza było dziewięć poziomów tuneli, przeważnie połączonych z małymi okrągłymi pomieszczeniami, które służyły jako kwatery (jedyne wyjątek stanowił poziom najniższy, w całości przeznaczony na centrum komputerowe i biura); wszystkie pomieszczenia i tunele wyścieliał gąbczasty biały plastik, który wyglądał jak zeszywniała piana morska i był odporny na wszelkie przeciwpiechotne środki wybuchowe. W pokoju Mingolli, gdzie oprócz niego zamieszkiwali Baylor i Gilbey, na stanowiącej stałe wyposażenie lampie sufitowej wisiał

szkarłatny lampion z papieru, który nadawał wewnątrz pozór okrwawionej celi; to Baylor nalegał na powieszenie tej osłony utrzymując, że lampa jest dlań zbyt jasna i razi go w oczy. Wzdłuż ścian, w takich odstępach, na jakie pozwalał rozmiar pokoju, rozstawiono trzy prycze. Podłoga wokół pryczy Baylora była usłana petami i zużytymi chusteczkami higienicznymi; pod poduszką Baylor trzymał cynkową puszkę, w której miał zapas pigułek i marihuany. Ilekroć zapalał skręta, proponował Mingolli sztacha, a Mingolla niezmiennie odmawiał, mając świadomość, że doświadczeń z bazy artyleryjskiej nie trzeba retuszować narkotykami. Na ścianie nad pryczą Gilbeya wisiał przyklejony taśmą kolaż z fotografii damskich bobrów i codziennie po służbie, niezależnie od tego, czy Baylor i Mingolla byli w pokoju, czy nie, Gilbey kładł się pod nim i onanizował. Jego bezwstyd sprawiał, że Mingolla czuł się zażenowany skrytością, jaką sam otaczał ten akt. Żenowała go również szczeniacka jakość obiektów, które przymocował nad swą pryczą: proporczyka Jankesów, zdjęcia dawnej dziewczyny, fotografii drużyny koszykówki z ogólniaka, kilku zrobionych przez siebie szkiców okolicznej dżungli. Gilbey nieustannie naigrywał się z tej wystawki, nazywając Mingollę „chłopczyniem z sąsiedztwa”, co on sam uważał za osobliwe, w rodzinnych bowiem okolicach miał opinię ekscentryka.

To właśnie w stronę tego pokoju zmierzał Mingolla, kiedy zaczął się atak. Wielkie windy towarowe, zdolne przewieźć sześćdziesięciu ludzi, wędrowały w górę i w dół tuż pod wschodnimi i zachodnimi zboczami wzgórza, by jednak zapewnić szybki dostęp do sąsiadujących ze sobą poziomów, a także jako zabezpieczenie na wypadek awarii zasilania, środek wzgórza przewiercał spiralny tunel pomocniczy jak olbrzymi zwój białego jelita. Był na tyle szeroki, że z zachowaniem niewielkiego odstępu mogły się w nim minąć dwa wózki elektryczne, którymi jeździli oficerowie i VIP-y na inspekcjach. Mingolla miał zwyczaj używać tego tunelu do ćwiczeń. Co wieczór zakładał dres i ganiał w górę i w dół przez wszystkie dziewięć poziomów, czyniąc to z przekonania, że zmęczenie fizyczne zapobiega złym snom. Tego wieczoru, gdy w swej ostatniej wspinaczce mijali Poziom Czwarty, usłyszał łomot: eksplozję i to w niewielkiej odległości. Odezwały się alarmy, zaczęły grzmieć działa na szczycie wzgórza. Wprost z góry dobiegły krzyki i grzechot ognia z broni automatycznej. Światła tunelu zamigotały, zgasty i wnet włączyło się oświetlenie alarmowe.

Mingolla rozplaszczyl się o ścianę. W przyćmionych czerwonych światłach gąbczaste powierzchnie tunelu wyglądały na tak metalicznie gładkie, jak komory olbrzymiej łodzi podwodnej, i to podobieństwo spotęgowało w nim uczucie bezsilności. Poczul się jak dziecko uwięzione w szatańskim podwodnym pałacu. Nie mógł jasno myśleć, wyobrażając sobie otaczający go chaos. Błyski z luf, armie ludzi-mrówek rojące się w tunelach, krzyki, z których tryska krew, kanonada wielkich dział i wybuchy pocisków rozpalających całe mile niebios. Wolałby wciąż piąć się w górę, żeby wydostać się na otwartą przestrzeń, gdzie może miałby szansę skryć się w dżungli. Ale nadzieję dawała jedynie ucieczka w dół. Odepchnąwszy się od ściany popędził w dół, wymachując ramionami, ślizgając się na zakrętach, niemal padając - za Poziom Czwarty, Poziom Piąty. Między Poziomem Piątym a Szóstym byłby o mały włos przeokołkował przez trupa: leżał tu Amerykanin zwinięty w kłębek wokół rany w brzuchu. Pod nim i leżącą w zasięgu ręki maczetą rozrastała się kałuża krwi. Pochylając się po maczetę, Mingolla wcale nie myślał o człowieku, ale o tym jakie to dziwne, że Amerykanin bronił się przed Kubańczykiem takim orężem. Nie było sensu, uznał, iść jeszcze dalej. Ktokolwiek zabił tego człowieka, znajdował się teraz gdzieś niżej, najbezpieczniejszym trybem postępowania było tedy ukrycie się którymś z pomieszczeń Poziomu Piątego. Z wystawioną przez siebie maczetą poczał na powrót sunąć w górę tunelu.

Poziomy Piąty do Siódmego stanowiły terytorium oficerskie i choć tunele nie różniły się od tych w górze - takie same łagodnie zakrzywione rury osiem stóp wysokości na dziesięć szerokości pokoje były większe i mieściły tylko po dwie prycze. Te, do których Mingolla zajrzał, były puste, i fakt ten, mimo odgłosów bitwy, dał mu poczucie bezpieczeństwa. Gdy jednak minął zakręt tunelu, usłyszał z tyłu wrzaski w języku hiszpańskim. Wyjrzał zza rogu. Chudy czarnoskóry żołnierz w czerwonym berecie i szarych drelichach cał po calu podkradał się do pierwszych drzwi; potem, z

pistoletem gotowym do strzału, wpadł do środka. Dwóch innych Kubańczyków - szczupłych brodatych mężczyzn o żółtawych w krwawym świetle skórach - stało przy łukowatym wlocie do tunelu pomocniczego; gdy dostrzegli wychodzącego z pokoju czarnego żołnierza, odeszli w przeciwnym kierunku prawdopodobnie po to, by spenetrować pokoje po drugiej stronie tunelu.

Mingolla zaczął działać jak w natchnionej panice. Pojął, że będzie musiał zabić czarnego żołnierza. Zabić bez żadnego zamieszania, zabrać mu broń i żywić nadzieję, że zdoła zaskoczyć dwóch pozostałych, gdy ci po niego przyjdą. Wślizgnąwszy się do najbliższego pokoju zajął stanowisko przy ścianie z prawej strony drzwi. Kubańczyk, jak zauważył, po wejściu do pokoju spojrzął w lewo; będzie bezbronny wobec kogoś ustawionego tak, jak Mingolla. Bezbronny przez ułamek sekundy. Krócej, niż trwa wypowiedzenie słowa „raz”. W skroniach Mingolli mocno dudnił puls, gdy ujmował maczetę w lewą dłoń. Przeciwczył w myśli wszystkie czynności, jakie ma wykonać. Dźgnąć; zacisnąć dłoń na ustach Kubańczyka; kopnąć go kolaniem w rękę, żeby wytrącić pistolet. I musi te czynności wykonać jednocześnie, idealnie.

Wykonanie idealne. Mało brakowało, a byłby się głośno roześmiał, przypominając sobie, jak jego stary brzuchaty trener koszykówki pouczał:

„Wykonanie idealne, chłopcy. Oto recepta na strefę. Dajcie sobie spokój z grepsami. Po prostu ustawcie zasłonę, lećcie po swoim i rzucajcie.” Kosz, to nic innego, jak życie w krótkich spodenkach, nie, panie trenerze?

Mingolla głęboko zaczerpnął powietrza, by wypuścić je przez nos. Nie mógł uwierzyć, że ma umrzeć. Spędził dziewięć minionych miesięcy przejęty możliwością śmierci, ale jak przyszło co do czego, gdy zaistniałe okoliczności uczyniły śmierć czymś prawdopodobnym, niełatwo było potraktować to prawdopodobieństwo serio. Nie uważał za sensowne, by ten chudy, czarny facet miał się okazać jego nemezys. Jego śmierci winny towarzyszyć potężne eksplozje światła, specjalne Mingollo-bójcze promieniowanie, znaki astronomiczne. Nie jakiś kościsty mały gnój z pukawką. Raz jeszcze zaczerpnął powietrza i dopiero teraz zarejestrował zawartość pokoju. Dwie prycze; porozrzucane wszędzie ciuchy; porozklejane na ścianach fotki z polaroidu i pornografia. Terytorium oficerskie czy nie, to był standardowy wystrój Mrówczej Farmy; w czerwonym świetle wydawał się plugawy i od dawna zapomniany. Zdumiewał go fakt, że czuje taki spokój. Och, bał się, prawda! Ale strach ukrył się w mrocznych fałdach jego osobowości jak nóż mordercy, który zawinięto w stary płaszcz i upchnięto na półce szafy. Lśniący tajemnie, czekający na szansę, by oślepić. Przeszyje go wcześniej czy później, ale na razie był sprzymierzeńcem, wyostrzał mu zmysły. Na białych ścianach widział każde zgrubienie od bąbla, słyszał zgrzyt butów Kubańczyka, gdy ten wpadł do sąsiedniego pokoju, czuł, jak Kubańczyk od lewej do prawej omiata pistoletem pokój, jak stoi, odwraca się... C z u ł Kubańczyka! Czuł jego ciepło, jego rozgrzaną sylwetkę, dokładne położenie ciała. Było tak, jakby w jego mózgu włączył się monitor termiczny ślący obrazy zza ściany.

Kubańczyk skierował się ku drzwiom Mingolli; było to równie dostrzegalne, jak poruszająca się za kartką papieru płonąca zapałka. Spokój Mingolli został zniweczony. Ciepło tego człowieka, temperatura jego cielesności - oto, co wytrąciło go z równowagi. Najpierw widział się, jak zabija z filmową sprawnością, bez żadnego zamieszania; teraz myślał o zarzynaniu świń i kafarach miażdżących czaszki krów. I czy może zaufać tej anormalnej formie percepcji? A jeśli nie może? Co się stanie, jeśli dźgnie zbyt późno? Albo za wcześnie?

Potem ta gorąca, żywa istota była prawie u drzwi i nie mając innego wyboru, Mingolla zgrał swój atak z jej ruchami. Dźgnął natychmiast, gdy Kubańczyk wszedł.

Wykonał idealnie.

Ostrze pograżyło się poniżej żeber Kubańczyka; tłumiąc krzyk dłoń zacisnęła się na jego ustach. Kolano rąbnęło w kolbę pistoletu posyłając go na podłogę. Kubańczyk miotał się wściekle.

Cuchnął papierosami i zgniłym powietrzem dżungli. Przewraca oczami, próbując zobaczyć Mingollę. Oszałamiającymi zwierzęcymi oczami o rozszerzonych źrenicach i poślizgniętych białkach. Na jego czole połyskiwały czerwienią kropelki potu. Mingolla przekreślił maczetę i powieki Kubańczyka opadły. Ale sekundę później znowy się otworzyły i Kubańczyk szarpnął się w przód. Chwiejnie przesunęli się obaj w głąb pokoju, by toczyć zmagania w pobliżu jednej z pryz. Raz i drugi Mingolla szarpnął Kubańczykiem na boki, walnął nim o ścianę i tam go przygwoździł. Wijąc się Kubańczyk omal nie odzyskał swobody. Wydawało się, że nabiera sił, a jego wrzaski wyciekały spod dłoni Mingolli, chwycił garść włosów, szarpnął. Zdesperowany Mingolla naparł na maczetę. Nastroiło to wrzaski Kubańczyka wyżej i głośniejsze. Wił się, szarpiąc paznokciami ścianę. Dłoń Mingolli zaciśnięta na ustach Kubańczyka była śliska od śliny, duszący zapach przyprawiał go o mdłości; był słaby i nie miał pewności, jak długo jeszcze wytrzyma. Ten skurwysyn nigdy nie umrze, czerpie siły ze stali w swych flakach, przemienia się w jakiś nieśmiertelny żywioł. Ale właśnie wtedy Kubańczyk zeszytniał. Potem zwiotczał i Mingolla poczuł smród kału. Pozwolił Kubańczykowi osunąć się na podłogę, nim jednak zdołał wyswobodzić maczetę, przez ciało przebiegł dreszcz, przeniósł się na rękajeść i rozedrgał jego lewą dłoń. I trwał gdzieś w środku, plugawy, sprośny, jak roztrzęsienie po stosunku. Coś jakiś zwierzęcy byt, jakiś oślizgły strzęp odrażającego życia - wiło się tam, pełzło ku nadgarstkowi. Ogarnięty grozą patrzył na swoją dłoń. Drżała, okryta rękawicą krwi Kubańczyka. Uderzył nią w biodro i oszołomił chyba to coś w środku, ale odżyło po sekundzie, by wciskać się do jego palców i umykać z nich z szaleńczą szybkością kijanki. - Teo! - zawołał ktoś. - Vamos!

Zelektryzowany okrzykiem Mingolla pośpieszył do drzwi. Zaczepił stopą o automat Kubańczyka, podniósł go i drżenie dłoni osłabło. Przyszło mu na myśl, że się uspokoiło, poczuwszy znajomą fakturę i ciężar. - Teo! Donde estas?

Żadna z rysujących się przed Mingollą możliwości wyboru nie była zbyt korzystna, ale uświadomił sobie, że pozostawanie tu jest daleko niebezpieczniejsze niż wzięcie inicjatywy we własne ręce. Mruknął „Aqui!” i robiąc obcasami wiele hałasu wkroczył do tunelu. - Dete pris, hombre!

Otworzył ogień, ledwie minął zakręt. Dwaj Kubańczycy stali przy wejściu do tunelu pomocniczego. Ich pistolety zaszczeptały krótko, śląc po ścianach nieszkodliwą fontannę pocisków; potem Kubańczycy skręcili się, wyrzucili ramiona i upadli. Mingolla bił zbyt zaszokowany tym, jak łatwo mu poszło, żeby poczuć ulgę. Obserwował ich oczekując, że coś zrobią - jękną albo drgną.

Gdy zamarły już echa wystrzałów - choć wciąż słyszał w oddali kanonadę dział i trzask wymiany ognia - w tunel poczęła się wlewać ciężka cisza, jak gdyby kule podziurawiły coś, co ją tamowało. Ta cisza uzmysłowiła mu jego samotność. Nie wiadomo, gdzie przebiegają linie walki... jeśli w ogóle przebiegają. Było do pomyślenia, że małe oddziały przeniknęły na każdy poziom, że bój o Mrówczą Farmę jest w mikroskali walką o Gwatemalę: konfliktem bez prawidłowości, bez rzeczywistych granic, bez normalnych starć, czymś na kształt epidemii, która może ujawnić się gdziekolwiek i zabić. Gdyby tak sprawy stały, najlepsze, co mogłby zrobić, to ruszyć ku ośrodkowi komputerowemu, gdzie z pewnością koncentrują się przyjazne siły.

Podszedł do wejścia i spojrzął na dwóch martwych Kubańczyków. Upadli tak, że mu zablokowali drogę, i wahał się, czy ich przestąpić, na poły wierząc, że tylko udają martwych, by go złapać. Dziwaczne położenie ich kończyn kazało mu pomyśleć, że utrzymują trudne pozycje oczekując na jego przejście. W czerwonej poświacie lamp alarmowych ich krew wydawała się purpurowa, gęstsza i bardziej lśniąca niż zwykła krew. Dostrzegł ich pieprzyki, blizny i rany, prowizoryczne cery na drelichach, złote plomby połyskujące w otwartych ustach. Zabawne, gdyby spotkał tych facetów, kiedy jeszcze żyli, mogliby na nim wyrzucić tylko przelotne wrażenie; ale widząc martwych, skatalogował od jednego spojrzenia ich cechy fizyczne. Może, pomyślał, śmierć tak ujawnia rzeczy najbardziej istotne, jak nie potrafi tego uczynić życie. Wpatrywał się w martwych mężczyzn, próbując ich rozgryźć. Para szczupłych żyłastych gości. Sympatycznych gości,

rozmiłowanych w rumie, kobietach i sporcie. Mógłby iść o zakład, że grali w baseball, jako obrońcy dublujący swoje pozycje. Może powinien do nich zawołać: „Hej, jestem kibicem Jankesów.

Bez nerwów, chłopcy! Spotkajmy się po wojnie na parę piłek. Pieprzyć ten gnój z zabijaniem! Pograjmy sobie.”

Roześmiał się i wysoki, piskliwy dźwięk tego śmiechu obudził go. Chryste! Aż się o to prosi, kiedy tak stoi! I jakby dla poparcia tego wniosku istota wewnątrz jego dłoni eksplodowała życiem, wijąc się i miotając na wszystkie strony. Tłumiąc w sobie strach, Mingolla przestąpił obu martwych mężczyzn i dopiero teraz, gdy nic nie schwytało go za nogawki, poczuł wielką, wielką ulgę.

Poniżej Poziomu Szóstego w tunelu pomocniczym kłębiło się sporo mgły i stąd Mingolla wysnuł wniosek, że Kubańczycy przeniknęli przez stok wzgórza prawdopodobnie przy użyciu miny górniczej. Istniała możliwość, że dziura, którą wywalili, jest gdzieś w pobliżu, uznał więc, że gdyby ją tylko zdołał znaleźć; zabierze się do diabła z Mrówczej Farmy i skryje w dżungli. Na Poziomie Siódmym mgła była wyjątkowo gęsta; zabarwiona przez światła alarmowe wyblakłą czerwienią wyglądała jak tampon chirurgiczny wepchnięty do wielkiej arterii. Na ścianach, jak prymitywna grafika, czerniła się spalenizna po wybuchach, a przy drzwiach widać było sporo ciał. W większości amerykańskich i zmasakrowanych. Nieswój, Mingolla lawirował między nimi, a kiedy ktoś powiedział za jego plecami „Nie ruszaj się”, wrzasnął gardłowo, upuścił broń i odwrócił się z walącym sercem.

Mierząc z czterdziestki piątki w pierś Mingolli, w drzwiach stał gigantyczny mężczyzna: dwa metry wzrostu, bary i tors ciężarowca. Był w khaki z insygniami porucznika, a jego dziecinna twarz, chociaż ściągnięta w groźny grymas, sprawiała wrażenie łagodne i spokojne; przywiodła Mingolli na myśl wizję Byczka Fernando rozważającego skomplikowany problem.

- Mówiłem, żebyś się nie ruszał - powiedział z irytacją.

- W porządku - odparł Mingolla. - Jestem po twojej stronie. Porucznik przeciągnął dłonią po burzy gęstych kasztanowych włosów; mrugał oczami częściej, niż to się czyni zazwyczaj. - Lepiej to sprawdzę - powiedział. - Chodźmy do magazynu. - Co tu jest do sprawdzania? - zapytał Mingolla, którego paranoja narastała.

- Proszę! - rzekł porucznik głosem prawdziwie brzemiennym w błagalne tony. - Było już za wiele przemocy.

Magazyn był zastawionym rzędami skrzyń długim wąskim pomieszczeniem w kształcie litery L na samym końcu poziomu; przez lekką mgiełkę światła alarmowe wyglądały jak sznur umierających słońc. Eskortowany przez porucznika Mingolla doszedł do samego rogu litery L, a kiedy go minął, dostrzegł, że tylna ściana pomieszczenia znikła. W zбочu wzgórza wybito tunel otwierający się w mrok. Z jego sklepienia, nadając mu pozór jakiegoś czarodziejskiego przejścia w krainę czarnej magii, zwisały rozwidlone korzenie z przylepionymi grudkami ziemi; u wlotu piętrzyło się rumowisko gruzu i brył ziemi. Mingolla poczuł zapach dżungli i zdał sobie sprawę, że działa przerwały ogień. Co oznaczało, że ktokolwiek wygrał bitwę na szczycie, rychło pośle w dół oddziały dla przeczesania tuneli.

- Nie możemy tu zostać - powiedział do porucznika. Wrócą Kubańczycy.

- Jesteśmy zupełnie bezpieczni - odparł porucznik. - Masz moje słowo.

- Skinął pistoletem, nakazując Mingolli usiąść na podłodze. Mingolla zrobił, co mu kazano, i aż zeszytniał na widok zwłok - Kubańczyka - leżących z głową wspartą o ścianę dokładnie naprzeciwko niego, między dwiema skrzyniami.

- Jezu! - powiedział, podnosząc się na kolana.

- Nie ugryzie - rzekł porucznik.

Z pełnym brakiem skrępowania, jakby wciskał się na ławkę metra, usadowił się obok trupa; we dwóch idealnie wypełniali przestrzeń między dwoma skrzyniami, a łokieć Amerykanina dotykał ramienia Kubańczyka. - Hej! - zawołał Mingolla, dręczony zawrotami głowy i rozbity. - Nie będę siedzieć obok tego jebanego truposza, człowieku! Porucznik wywinął pistoletem. - Przyzwyczaj się do niego. Niezdolny oderwać oczu od trupa, Mingolla opadł powoli do pozycji siedzącej. Właściwie w porównaniu ze zwłokami, przez które ostatnio przestępował, ten prezentował się zupełnie nieźle. Jedynymi oznakami urazów była krew na ustach i bujnej czarnej brodzie oraz zlepek krwi i poszarpanej tkaniny w samym środku piersi. Beret zsunął się fantazyjnie na jedną brew, mosiężny znaczek ze skorpionem był porysowany i osmalony. Oczy trupa były otwarte; odbijały się w nich rozjarzone punkciki lamp alarmowych i to przydawało im tragicznego pozoru życia, choć zarazem odrealniało, czyniąc obecność zwłok łatwiejszą do zniesienia. - Posłuchaj mnie - powiedział porucznik.

Mingolla tarł krew na swej drżącej dłoni, mając nadzieję, że ta czynność przyniesie jakiś pozytywny efekt.

- Słuchasz? - zapytał porucznik.

Mingolla miał osobliwą wizję trupa i porucznika jako brzuchomówcy i jego marionetki. Mimo błyszczących oczu zwłoki miały w sobie zbyt wiele realizmu, by jakakolwiek igraszka światła mogła specjalnie długo powodować ułudę. Na ich paznokciach widniały precyzyjne półksiężycy; krew, która spłynęła na lewą stronę - głowa bowiem przechyliła się w lewo - rzuciła cień na jeden policzek i jedną skroń, resztę twarzy pozostawiając trupioblada. To porucznik, w swym schludnym mundurze, wyglansowanych butach, ze staranną fryzurą, wydawał się teraz niezupełnie prawdziwy.

- Słuchaj! - powiedział porucznik. - Chcę, byś zrozumiał, że muszę zrobić to, co jest dla mnie dobre. - Biceps ręki, w której trzymał pistolet, nabrzmiał do rozmiaru kuli armatniej. - Rozumiem - odparł Mingolla zupełnie wyprowadzony z równowagi. - Naprawdę? Naprawdę rozumiesz? - porucznik wydawał się rozjątrzony tym twierdzeniem Mingolli. - Wątpię. Wątpię, czy w ogóle możesz zrozumieć. - Może nie mogę - odpowiedział Mingolla. - Jak sobie życzysz, człowieku. Kapujesz, po prostu próbuję się dogadać. Porucznik siedział w milczeniu, mrugając oczami. Potem uśmiechnął się. - Mam na imię Jay - powiedział. - A ty jesteś... - David. - Mingolla próbował całą swą uwagę skoncentrować na pistolecie, zastanawiając się, czy zdoła go wykopać, ale rozpraszała go drobina życia w jego dłoni. - Gdzie jest twoja kwatera, David?

- Poziom Trzeci.

- Ja tu mieszkam - powiedział Jay. - Ale zamierzam się przenieść. Nie wytrzymam w miejscu, gdzie... - Przerwał i w pozie konspiratora pochylił się do przodu. - Czy wiedziałeś, że umieranie trwa bardzo długo, nawet gdy już staje serce?

- Nie, nie wiedziałem. - Coś w dłoni Mingolli jęło się wic ku nadgarstkowi; ścisnął przegub, próbując zablokować to coś. - To jest prawda - oświadczył Jay z olbrzymią pewnością. - Żaden z tych ludzi - obdarzył trupa łagodnym szturchnięciem łokcia, który to gest powiedział Mingolli o napawającej dreszczem zażyłości - nie skończył umierać. Życie się po prostu nie wyłącza. Ono zanika. I ci ludzie wciąż żyją, choć to tylko życie utajone. - Uśmiechnął się. - Utajone życie życia, można by powiedzieć.

Mingolla utrzymywał nacisk na przegub dłoni i uśmiechnął się, jak gdyby wyrażając uznanie dla gry słów. Między nim a Jayem zwiły się bladoczerwone macki mgły.

- Oczywiście, nie jesteś zestrojony - rzekł Jay. - Więc nie zrozumiesz. Ale ja bym przepadł bez Eligia.

- Kim jest Eligio?

Jay skinął głową w stronę trupa. - Jesteśmy zestrojeni, Eligio i ja. Oto skąd wiem, że jesteśmy bezpieczni. Zmysły Eligia nie są już ograniczone do tu i teraz. W tej właśnie chwili jest ze swoimi, - Mhm - sztywniejac powiedział Mingolla. Zdołał na powrót wcisnąć do palców istotę ze swej dłoni i sądził, że ma szansę sięgnąć do pistoletu. Ale Jay zburzył ten plan przełożywszy broń do drugiej ręki. Jego oczy, pokryte teraz rubinowym szkliwem, zdawały się nabierać głębi. To dlatego, pojął Mingolla, że rozwarł je szerzej i podniósł wzrok ku światłom alarmowym.

- To człowieka zdumiewa - rzekł Jay. - Naprawdę. - Co? - zapytał Mingolla, przesuwając się w bok, żeby skrócić dystans kopnięcia.

- Życie utajone - odparł Jay. - Jeśli dusza ma swe życie utajone, może mają je również nasze poszczególne emocje. Życie utajone miłości, nienawiści. Może one wciąż gdzieś istnieją. Podciągnął kolana, zasłaniając pistolet. - Tak czy owak, nie mogę tu zostać. Myślę, że wrócę do Oakland. - Jego głos przeszedł w poszeptywanie. - Skąd jesteś, David?

- Nowy Jork.

- Nie znam - powiedział Jay. - Ale uwielbiam Bay Area. Mam tam antykwariat. Pięknie tam rankami. Spokojnie. Słońce wpada przez okna, sunie po podłodze, kapujesz, jak przypyływ, cał po calu, wspina się na meble. I jest tak, jakby te stare politurey odradzały się, a cały sklep rozbłyskał światłami czasów minionych.

- Brzmi to nieźle - odparł Mingolla, zbity z tropu liryzmem Jaya. - Wyglądasz na przyzwoitego człowieka. - Jay wyprostował się odrobinę. - Ale wybac. Eligio powiada, że twoja dusza jest zbyt mglista, żeby ją mógł odczytać. Twierdzi, że nie mogę zaryzykować pozostawienia cię przy życiu. Będę cię musiał zastrzelić. Mingolla sprężył się do kopnięcia, ale potem ogarnęło go zubożenie. Co by to, u diabła, zmieniło? Gdyby nawet zdołał wytrącić broń, Jay prawdopodobnie dałby radę złamać go na pół. Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego musisz?

- Mógłbyś na mnie donieść - łagodne oblicze Jaya przybrało wyraz smutku. - Powiedzieć im, że się ukrywałem.

- Wszystkich gównu obchodzi, że się ukrywałeś - rzekł Mingolla. - Ja robiłem to samo. Idę o zakład, że z pięćdziesięciu facetów robiło to samo, do cholery.

- Nie wiem - Jay zmarszczył czoło. - Zapytam jeszcze raz. Może twoja dusza jest teraz mniej zamglona.

Odwrócił wzrok ku martwemu mężczyźnie.

Mingolla zauważył, że źrenice Kubańczyka skierowane są w górę i na lewo - dokładnie tam, gdzie przedtem powędrowało spojrzenie Jaya - i odbijają identyczny rubinowy blask.

- Wybacz - powiedział Jay, mierzac z pistoletu. - Muszę. Oblizal wargi. - Czy mógłbyś, z łaski swojej, odwrócić głowę? Wolę, żebyś nie patrzył na mnie, kiedy to się stanie. Oto jak zestroiłiśmy się z Eligiem. Patrzeć w otwór lufy to jak wychylać się w przepaść, odczuwając chłodną pokusę skoku, i bardziej z przekory niż woli przeżycia Mingolla wytrzeszczył na Jaya oczy i powiedział: - Zasuwasj! Jay zamruzał, ale trzymał pistolet nieruchomo. - Drzy ci dłoń - powiedział po przerwie.

- Fakt - odparł Mingolla.

- Od czego się trzęsie?

- Bo kogoś nią zabiłem - rzekł Mingolla. - Bo jestem tak samo kurewsko zwariowany jak ty.

Jay to przetrwał. - Miałem być skierowany do jednostki pedalskiej - powiedział w końcu. - Ale nie było wakatów i kiedy mnie tu przenosili, dali mi narkotyk. Teraz ja... ja... - zamruzał gwałtownie, jego wargi rozciągnęły się i Mingolla stwierdził, że coś go ciągnie, by jakimś gestem, uczynkiem pomóc Jayowi przełamać to dręczące zahamowanie. - Ja już nie mogę tego robić z mężczyznami - zakończył Jay i znów gwałtownie zamruzał oczami; potem słowa przychodziły mu łatwiej. - Czy

tobie też dawali narkotyki? To znaczy wcale nie sugeruję, że jesteś homo. To prostu w dzisiejszych czasach mają narkotyki na każdą okoliczność i to miałem na myśli.

Ogarnął nagle Mingollę niewypowiedziany smutek. Czuł, że jego emocje zostały skręcone w cienki czarny przewód, że ten przewód wystrzepił się i rozsiewa czarne iskry smutku. Tylko one dodawały mu energii, przez całe życie. Te małe czarne iskiery.

- Walczyłem zawsze dotąd - mówił Jay - i tym razem też walczyłem. Ale kiedy zastrzeliłem Eligia... po prostu nie mogłem robić tego dalej. - Naprawdę gównu mnie to obchodzi - rzekł Mingolla. Naprawdę. - Może mogę ci zaufać - westchnął Jay. - Wolałbym, żebyś był zestrojony. Eligio to poczciwa dusza. Byłbyś go polubił. Ciągnął wywód, wyliczając przymioty Eligia, i Mingolla go wyciszył, nie chcąc słuchać o miłości Kubańczyka do rodziny i o tym, jak się o nią pośmiertnie troska.

Wpatrując się w swą krwawą dłoń doświadczył magicznego oglądu sytuacji:

skapany w niesamowitej czerwonej poświęcie siedział w najgłębszej piwnicy tej szatańskiej góry, z uwięzionym w swym ciele strzępem życia zabitego człowieka, słuchając obłąkanego wielkoluda, który przyjmował rozkazy od trupa, i czekając, aż z tunelu wiodącego na pozór w wymiar mgły i ciemności wyleją się żołnierze ze skorpionami. Takie widzenie spraw było szaleństwem, ale szaleństwem realnym. Rozsądek nic nie mógł na nie poradzić; miało brutalny przepych wyższy nad rozsądek, czyniło rozsądek czymś niepotrzebnym.

- ... i skoro jesteście zestrojeni - mówił Jay - nie rozłączycie się nigdy. Nawet przez śmierć. Więc Eligio zawsze będzie żyć we mnie. Oczywiście, nie mogę pozwolić, by się o tym dowiedzieli. To znaczy - zachichotał, a chichot ten przypominał odgłos potrząsanej w kubku kostki - żeby mówili, iż przyniosłem nieprzyjacielowi pomoc i ulgę! Mingolla pochylił głowę i zamknął oczy. Może Jay strzeli. W to jednak wątpił. Jay potrzebował tylko towarzystwa w swoim szaleństwie. - Przysięgasz, że im nie powiesz? - zapytał Jay.

- Taak - odparł Mingolla. - Przysięgam.

- W porządku - rzekł Jay. - Ale pamiętaj, masz w ręku moją przyszłość. Masz wobec mnie zobowiązanie.

- Nie przejmuj się.

Z daleka dobiegł trzask wystrzałów.

- Cieszę się, że możemy pogadać - oznajmił Jay. - Czuję się o wiele lepiej.

Mingolla odparł, że on też czuje się lepiej.

Siedzieli w milczeniu. Nie był to najbezpieczniejszy sposób spędzania nocy, ale Mingolla nie przywiązywał już żadnej wagi do pojęcia bezpieczeństwa. Był zbyt wyczerpany, żeby się bać. Jay zdawał się pogrążyć w trans, wpatrzony w punkt ponad głową Mingolli, ale Mingolla nie wykonał żadnego ruchu w stronę pistoletu. Był rad, że siedzi i czeka, pozwalając losowi płynąć własnym kursem. Jego myśli rozwijały się z ospałością roślin.

Musieli już tak siedzieć kilka godzin, gdy Mingolla posłyszał szept helikopterów i spostrzegł, że mgła zrzędła, a ciemność w końcu tunelu poszarzała. - Hej - powiedział do Jaya. - Myślę, że teraz już wszystko w porządku.

Jay nie pospieszył z żadną odpowiedzią. Mingolla zobaczył, że jego oczy skierowane są w górę i w lewo, dokładnie tam, gdzie oczy Kubańczyka, i też pokryte rubinowym szkliwem. Na próbę wyciągnął rękę i dotknął pistoletu. Dłoń Jaya opadła na podłogę, ale palce wciąż zaciskały się na kolbie. Mingolla z niedowierzaniem cofnął rękę. Nie może być! Znow wyciągnął dłoń, żeby zbadać puls. Nadgarstek Jaya był chłodny i nieruchomy, a jego usta miały odcień niebieski. Dreszcz histerii wstrząsnął Mingollą na myśl, że Jay źle pojął koncept zestrojenia: to nie Eligio stał się

cząstką jego życia, a on cząstką śmierci Eligia. Mingolli ścisnęła się pierś; pomyślał, że zaraz wybuchnie płaczem. Nic by nie miał przeciwko łzom, gdy się jednak nie zmateriałizowały, zirytował się sam na siebie, a zarazem jął szukać racji na własną obronę. Czemu miałby płakać? Ten facet nic dlań nie znaczył... choć wystarczającym powodem łez był fakt, że aż tak bardzo mógł być wyprany ze współczucia. A przecież, gdybyś miał opłakiwać coś równie powszedniego, jak śmierć pojedynczego faceta, płakałbyś w każdą minutę dnia i jaką by to kreśliło przyszłość? Zerknął na Jaya. Na Kubańczyka. Mingolla mógłby przysiąc, że mimo gładkiej twarzy Jaya i bujnej brody Kubańczyka zaczynają być do siebie podobni, tak jak to się zdarza starym małżeństwom.

I fakt, obie pary oczu były utkwione w dokładnie ten sam punkt wieczności. Albo piekielny zbieg okoliczności, albo też szaleństwo Jaya sięgnęło takich granic, że pragnąc uwiarygodnić swą historię o życiach utajonych, nakazał sobie umrzeć w ten właśnie sposób. I może wciąż żył. Życiem utajonym. Może byli teraz z Mingollą zestrojeni, a jeśli to prawda... Wstrząśnięty perspektywą dołączenia do Jaya i Kubańczyka w ich śmiertelnym czuwaniu, Mingolla podniósł się na nogi i wbiegł w tunel. Byłby może biegł dalej, ale gdy wychylnął w światło przedświt, zamurował go widok z wylotu tunelu.

Za jego plecami nabrzmiewała wysoko zielona kopuła wzgórze o zboczach haftowanych krzewami i pnączami, nie kończącym się wzorem tak zniewalającym wzrok, jak subtelnie płaskorzeźbiona fasada świątyni hinduistycznej: jedno ze stanowisk artyleryjskich na szczycie zostało trafione i drzazgi osmalonego metalu zakrzywiły się w górę jak pasma czarnej kory. Przed sobą miał wstęgę czerwonej ziemi z drucianymi żywoplotami, dalej zaś majaczył czarnozielony chaos dżungli. W zasiekach uwikłały się setki bezwładnych sylwetek w zakrwawionych drelichach, a z pobliskich kraterów unosiły się spiralne smużki dymu. W górze, na poły skryta za podnoszącą się mgłą, wisiała trójka Sikorskich. Pilotów nie było widać spoza warstw mgły i refleksów, helikoptery wyglądały więc jak olbrzymie trupożerne muchy o wylupiastych oczach i wirujących skrzydłach. Jak diabły. Jak bogowie. Zdawało się, iż szepczą do siebie w oczekiwaniu uczyty, do której wnet zasiądą.

Była to straszna scena, a przecież miała czystość strofy z ballady o tragicznych wypadkach w jakimś pogranicznym piekle, ballady, która stała się życiem. Nie dałoby się tego namalować, a jeśli tak, to tylko na płótnie równie wielkim jak sama scena. Nie Mingolla też został wpisany w pejzaż: był postacią artysty nakreśloną albo dla żartu, albo po to, by użyczyć skali i perspektywy jego ogromowi, jego ważności. Wiedział, że powinien zameldować się na swoim stanowisku, ale nie potrafił oderwać wzroku od tego wziernika zagłębionego w serce wojny. Siadł na zboczu, przyciskając do piersi chorą dłoń, i patrzył, jak z ociężałą powolnością bożków zstępujących na ziemię, pokonując zawirowania powietrza i niecąc śmigłami szaleńcze fantomy z czerwonego piasku, trójca Sikorskich zręcznie ląduje wśród martwych.

Gdzieś w połowie swej opowieści Mingolla zdał sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie próbuje obrazić Debory ani jej zaszokować, lecz raczej zrzuca z siebie brzemię. I pojął jeszcze, że do pewnego stopnia odcina się tym opowiadaniem od swojej przeszłości, osłabia jej władzę nad sobą. Po raz pierwszy był w stanie rozważać na serio myśl o dezercji. Nie gnał ku temu rozwiązaniu na oślep, nie chwycił go obiema rękami, ale uznawał jego logikę i rozumiał okrutny bezsens powrotu do następnych ataków i następnych śmierci, przed którymi nie miała go już bronić żadna magia. Zawarł z sobą pakt: będzie udawać, że idzie na wszystko, jakby dezercja była jego prawdziwym zamiarem, i zobaczy, jakie znaki zostaną mu dane.

Kiedy skończył, Debora zapytała, czy już mu minął gniew. Był zadowolony, że nie próbowała okazywać współczucia. - Przepraszam - powiedział. - Tak naprawdę nie byłem na ciebie zły... a przynajmniej tylko częściowo.

- Już dobrze - odrzuciła na bok czarną lawinę włosów i spojrzała w dół, na trawę obok swych kolan. Z pochyloną głową, pół zakrytymi oczyma, wdzięczną linią szyi i podbródka, przypominającą literę jakiegoś egzotycznego pisma, sama wydawała się dobrym znakiem. - Nie wiem, o czym z tobą rozmawiać - powiedziała. - To, co - jak sądzę - powinnam ci powiedzieć, złości cię, a nie mogę się zmusić do pogaduszek o niczym.

- Nie lubię być naciskany - odparł. - Ale uwierz - myślę o tym, co mi powiedziałaś.

- Nie będę naciskać. Ale nadal nie wiem, o czym mówić. Wyrwała źdźbło trawy, poczęła gryźć koniuszek. Patrzył, jak zaciska wargi, zastanawiał się, jak smakują. Tym rodzajem słodczy, który zachowuje pudełko po przyprawach. Odrzuciła trawkę. Wiem - powiedziała pogodnie. - Chciałbyś zobaczyć, gdzie mieszkam?

- Nie chce mi się tak od razu wracać do Frisco. - Gdzie mieszkasz, myślał, chcę dotknąć miejsca, w którym mieszkasz. - Nie mieszkam w mieście - powiedziała. - To wioska w dole rzeki. - Brzmi nieźle. - Podniósł się na nogi i ujawszy ją pod ramię pomógł jej wstać. Przez moment byli blisko siebie, a ona otarła się pierściami o jego koszulę. Spowiło go jej ciepło i przyszło mu na myśl, że gdyby ktokolwiek ich teraz mógł zobaczyć, dostrzegłby dwie postaci rozedrgane jak miraż. Coś go pchało, by wyznać jej miłość. Choć przeważna część tego, co odczuwał, wiązała się z ratunkiem, który mogła zapewnić, reszta wydawała się autentyczną miłością i to go zdumiewało, bo wszystko, co ze sobą mieli wspólnego, to kilka godzin z dala od wojny, kolacja w taniej restauracji i spacer wzdłuż rzeki. Nie było podstaw dla narodzin uczucia. Nim zdołał cokolwiek powiedzieć lub zrobić, odwróciła się, by podnieść koszyk.

- To niedaleko - powiedziała ruszając. Jej błękitna spódnica chwiała się jak rozkołysany dzwon.

Podążali brązową gliniastą ścieżką zarosłą paprociami, ocienioną drzewkami o bladych przezroczystych liściach, i rychło doszli do skupiska krytych strzechami chat nad ujściem strumyka do rzeki. W strumyku, śmiejąc się i ochlapując, brodziły nagie dzieci. Ich skóry miały kolor bursztynu, a oczy wydawały się wilgotne i ciemnopurpurowe jak śliwki. Nad chatami z powiązanych nylonową linką pni młodych drzewek wznosiły się palmy i akacje; strzechy były przycięte tak, że przypominały fryzurę „pod garnek”. Po paskach mięsa wiszących na rozciągniętym między dwoma chatami sznurze do suszenia bielizny łążyły muchy. Ziemię koloru ochry zaścielały rybie łby i kurze odchody. Ale Mingolla prawie nie dostrzegał znamion ubóstwa, widząc w to miejsce znak czekającego nań w Panamie spokoju. I rychło miał ujrzeć znak następny. W małym sklepiku Debora kupiła butelkę rumu, a potem zaprowadziła Mingollę do chatki nad samym ujściem strumyka i przedstawiła go siedzącemu na przyzbie chudemu białowłosemu starcowi. Tio Moises. Po trzech kolejkach Tio Moises rozpoczął opowieści. Pierwsza dotyczyła osobistego pilota byłego prezydenta Panamy. Prezydent zrobił miliardy na szmuglowaniu kokainy do Stanów przy pomocy CIA, z którą współpracował w rozlicznych przypadkach, i sam był narkomanem w ostatnim stadium rozpadu umysłowego. Jedyłą jego przyjemnością stało się latanie po swoim kraju od miasta do miasta, wysiadanie na pasach startowych, gapienie się w okno i niuchanie kokainy. Potrafił wydzwonić pilota o każdej godzinie dnia i nocy, każąc mu przygotować plan lotu do Colom Bocas del Toro albo Penonome. Gdy stan prezydenta pogorszył się, pilot pojął, iż wnet CIA oceni, że przestał być użyteczny, i zlikwiduje go. A najoczywistszym sposobem załatwienia sprawy będzie zaaranżowanie katastrofy lotniczej. Pilot nie chciał umierać ze swym chlebobawcą. Próbował złożyć rezygnację, ale prezydent jej nie przyjął. Rozważał możliwość samookaleczenia, będąc jednak dobrym katolikiem nie mógł uzurpować sobie praw Boskich. Gdyby zaś uciekł, na jego rodzinę spadłyby prześladowania. Jego życie przerodziło się w koszmar. Przed każdym lotem trawił godziny poszukując w samolocie śladów sabotażu, po każdym zaś lądowaniu pozostawał w kabinie dygocąc z wyczerpania nerwowego. Stan prezydenta pogorszył się jeszcze bardziej. Musiano go wnosić na pokład samolotu, kokainę aplikował mu adiutant, podczas gdy drugi adiutant stał w gotowości z tamponami, żeby hamować krwotoki z nosa.

Wiedząc, że być może tygodnie tylko pozostały miarą jego życia, pilot poprosił o poradę kapłana. - Módl się - rzekł ksiądz. Pilot i tak modlił się nieustannie, porada tedy nie okazała się pomocna. Następnie poszedł do komendanta swej uczelni wojskowej, ów zaś oświadczył, że musi spełniać swój obowiązek. To również było czymś, co pilot robił dotychczas nieustannie.

W końcu udał się do wodza Indian San Blas, z którego to plemienia pochodziła jego matka. Wódz stwierdził, że musi pogodzić się ze swym losem i chociaż tej jednej rzeczy nie robił dotąd nieustannie, rada była mało pocieszająca. Zastosował się jednak do niej, widząc, że innej drogi nie ma. Zamiast spędzać godziny na inspekcjach samolotu przybywał parę minut przed startem i rwał w powietrze nie sprawdzwszy nawet wskaźnika paliwa. Jego brawura stała się w stolicy tematem numer jeden. Ulegając każdemu kaprynowi prezydenta latał mimo wichrów i mgieł, pijany i zaćpany, a podczas owych godzin w powietrzu, zawieszony pomiędzy prawami grawitacji a przeznaczenia, na nowo uczył się cenić życie. Wróciwszy na ziemię zaczynał żyć z szaleńczą łąpczywością - kochał się namiętnie z żoną, hulał z przyjaciółmi do białego rana. Potem któregoś dnia, gdy miał właśnie ruszać na lotnisko, zjawił się w jego domu jakiś Amerykanin i oświadczył mu, że został zdymisjonowany. - Gdybyśmy pozwolili prezydentowi latać z tak lekkomyślnym pilotem, obarczono by nas winą za wszystko, co się może stać - powiedział Amerykanin. Pilot nie musiał pytać, kogo też ma na myśli mówiąc „my”. Sześć tygodni później samolot prezydenta rozbił się w górach Darien. Pilot nie posiadał się z radości. Panama pozbyła się kanalii, a jego życie zostało ocalone. Ale tydzień po katastrofie, gdy już mianowano nowego prezydenta - kolejnego szmuglera z układami w CIA - dowódca lotnictwa wezwał pilota i stwierdziwszy, że gdyby to on pozostawał u sterów, do wypadku nigdy by nie doszło, wyznaczył go do pilotowania samolotu nowego prezydenta. Przez całe popołudnie Mingolla słuchał i pił, zaś alkohol dał mu na oczy szkła, dzięki którym mógł zobaczyć, w jaki sposób to jego samego dotyczą te opowieści. Były to bez wyjątku historie o niezdecydowaniu, nakłaniające go do czynu, i wyliczały najistotniejsze problemy ludów Ameryki Środkowej, które - jak on w tej chwili - znalazły się w pułapce między biegunami magii i rozumu, gdy bowiem ich ciałami rządziła polityka ultrarealizmu, duszami władały mity i legendy; żyły z prostokątnym skomputeryzowanym cielskiem Ameryki Północnej nad głowami i konchoidalną tajemnicą Ameryki Południowej u stóp. Wnioskował, że to Debora zasugerowała Tio Moisesowi typ przypowieści, co jednak nie umniejszyło ich siły jako znaków; pobrzmiwały prawdą, nie zaś czymś przykrojonym do jego potrzeb. I było bez znaczenia, że drży mu dłoń, a wzrok płata figle. Te rzeczy miną, kiedy dotrze do Panamy. Rozmazywały się cienie, owady brzęczały jak werble i zmierzch spływał z nieba, nadając powietrzu pozór ziarnistości oraz sprawiając, że falki na rzece wydawały się wolniejsze i większe. Wnuczka Tio Moisesa podała talerze prażonej kukurydzy z rybą i Mingolla napchał się po uszy. Potem, gdy starzec dał do zrozumienia, że jest strudzony, Mingolla poszedł z Deborą na spacer brzegiem strumienia. Między dwiema chatami wisiała zamocowana na drągu spaczona tablica z obręczą bez siatki; kilku młodych mężczyzn grało w kosza. Mingolla dołączył do nich. Ciężko było dryblować na nierównym gruncie, ale nigdy w życiu nie grał lepiej. Resztki alkoholu we krwi dodawały jego grze ognia, a rzuty z wysoko doskonałym łukiem podążały do kosza - trafiał z nieprawdopodobnych nawet kątów. Zapamiętywał się w zwodach, próbach odebrania piłki i dynamicznych wyskokach, by ją zdjąć z tablicy, stając się, nim zapadł zupełny zmrok, najzwinniejszym z dziesięciu wymachujących ramionami, stąpających w podskokach cieni. Gra dobiegła końca i wypłynęły gwiazdy, które wyglądały jak dziurki przebite przez kotarę z zawieszzonego między palmami a ogniem czarnego jedwabiu. Migocące kręgi blasku lampek oświetlały ziemię przed chatami, a kiedy Mingolla przechodził wśród nich z Deborą, usłyszał radio nastawione na stację wojskową nadającą transmisję z meczu baseballowego. Rozległo się uderzenie kija, ryk tłumu i okrzyk sprawozdawcy: - Wziął wszystko!

Mingolla wyobraził sobie, jak piłeczka niknie w ciemnościach nad stadionem, kozłuje po przyległym parkingu, by wreszcie przytaić się pod oponą, gdzie znajdzie ją jakiś dzieciak i uzna to

za cud, lub też jak toczy się po ulicy, by spocząć pod wrakiem samochodu, pulsować, bielić się tajemnie, wydychać energię uderzenia. Wynik brzmiał trzy do jednego, góra drugiej. Mingolla nie widział, kto gra, i nie przejmował się tym. Przytrafiały mu się dobiegi i rzuty z wysokości podążające po zawczasu nakreślonych łukach. Znajdował się w centrum niezmiernych sił. Jedna z chat, z dwoma drewnianymi krzesłami na froncie, była nieoświetlona, i gdy się do niej przybliżyli, jej widok zwarzył Mingolli nastrój. Coś go w nim niepokoiło: atmosfera gotowości, aranżacji scenicznej. Zwyczajna paranoja, pomyślał. Aż dotąd znaki były dobre, czyż nie? Kiedy dotarli na miejsce, Debora usiadła na krześle bliższym drzwi i podniosła nań wzrok. Gwiazdy wskazywały jej oczy swym blaskiem. Za nią, przez drzwi, dostrzegł mroczny kokon hamaka, a pod nim worek, z którego wystawała część drucianej klatki.

- A co z twoją grą? - zapytał.

- Uważałam, że ważniejsze, abym była przy tobie - odparła. To też go niepokoiło. Wszystko zaczynało go niepokoić i nie mógł określić powodu. Istota w jego dłoni wiła się. Zaciśnął pięść i usiadł koło Debory.

- Co się dzieje między tobą a mną? - zapytał nerwowo. Czy się cokolwiek stanie? Wciąż myślę, że się stanie, ale... otarł pot z czoła i zapomniał, do czego zmierzał.

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

Przez żółtą poświatę wylewającą się z sąsiedniej chaty przemknął cień. Falujący, zmienny. Mingolla mocno zaciśnął powieki. - Jeśli chodzi o... coś romantycznego - powiedziała - to sama jestem w kropce. Czy wrócisz do swojej bazy, czy pojedziesz do Panamy, nie wygląda na to, żebyśmy mieli jakąkolwiek przyszłość. A już na pewno nie mamy przeszłości. To zwiększyło jego zaufanie i do niej, i do sytuacji - ten fakt, że nie miała przygotowanej odpowiedzi. Ale czuł się niepewnie. Bardzo niepewnie. Potrząsnął głową, odpędzając następne zjawy. - Jak jest w Panamie?

- Nigdy tam nie byłam. Prawdopodobnie prawie tak samo jak w Gwatemali, tylko bez walk.

Może powinien był wstać, przejść się. Może to by pomogło. A może powinien po prostu siedzieć i rozmawiać. Rozmowa chyba go uspokajała. - Założę się - powiedział - założę się, że tam jest pięknie, wiesz. Panama. Zielone góry, wodospady w dżungli. Założę się, że jest tam mnóstwo ptaków. Dużych i małych papug. Miliony. - Tak mi się zdaje.

- I kolibrów. Jeden mój kumpel był tam raz z kolibrową ekspedycją i powiada, że jest ich milion rodzajów. Myślałem, że to jakiś szajbus, kapujesz, że zbiera te kolibry.

Otworzył oczy i znów musiał je zamknąć.

- Chyba myślałem, że zbieranie kolibrów nie jest szczególnie istotne wobec największych problemów.

- David? - Troska w jej głosie.

- Nic mi nie jest. - Zapach jej perfum był cięższy, niż mu się dotąd zdawało. - Człowiek dociera tam łodzią, prawda? To musi być zupełnie spora łódź. Nigdy nie byłem w prawdziwej łodzi, tylko na takim bączku mojego wuja. Zabierał mnie na ryby pod Coney Island. Cumowaliśmy do boi i łowiliśmy te wszystkie trujące ryby. Żebyś tak niektóre zobaczyła! Jak mutanty. Całe w niesamowitych naroślach, tęczowe oczy. Myśl, że mógłbym je zjeść, przerażała mnie jak diabli.

- Miałam wuja, który...

- Myślałem zawsze o tych, które są tam, za głęboko, byśmy je mogli złowić. Gigantycznych diabłów morskich, genialnych rekinach, wielorybach z dłońmi. Wyobrażałem sobie, jak połykają łódkę... - Uspokój się, David - pogładziła go po karku, śląc dreszcz wzdłuż jego kręgosłupa.

- Dobrze już, dobrze - Odepchnął jej dłoń. Do tego wszystkiego potrzeba mu było tylko dreszczy. - Chcę posłuchać jeszcze czegoś o Panamie. - Mówiłam ci, że nigdy tam nie byłam.

- Ach, tak. A co powiesz o Kostaryce? Byłaś w Kostaryce. Na całym ciele występował mu pot. Może powinien iść popływać. Słyszał, że w Rio Dulce żyją manaty. - Widziałaś kiedyś manata? - zapytał. - David!

Musiała przysunąć się bliżej, bo poczuł, że przenika go jej ciepło; może okryty jej ciepłem, pomyślał, pogrążony w ciężkim, głębokim ruchu pozbędzie się drżączki. Wziąłby ją do tego hamaka i zobaczył, ile ma w sobie żaru. Ile ma żaru, ile ma żaru. Te słowa stuknęły mu w głowie jak koła pociągu. Lękając się otworzyć oczy, wyciągnął na oślep ramiona i przyciągnął ją do siebie. Zderzyli się twarzami, poszukał jej ust. Pocałował. Oddała pocałunek. Obsunął dłoń, by ująć jej pierś. Jezu, smakowała dobrze. Smakowała ratunkiem, Panamą, tym, w co się pogrążasz, kiedy śpisz.

Ale potem to się zaczęło zmieniać, zmieniać powoli, tak powoli, że nie dostrzegł tej zmiany, zanim się dokonała, a jej język wił się w jego ustach tak głupi i tłusty jak noga ślimaka, zaś jej piersi, och, kurwa, jej piersi podskakiwały, pulsując tymi samymi glistowatymi sokami, które miał w swej lewej dłoni. Odepchnął ją, otworzył oczy. Zobaczył przyklejone do jej policzków toporne sztuczne rzęsy. Rozchylone wargi, usta pełne gnatów. Martwą mięsistą twarz. Porwał się na nogi i zaczął machać ramionami, pragnąc zerwać tę oponę szpetoty, która nań opadła. - David? - zniekształciła jego imię, połykając sylaby, jak gdyby próbowała jednocześnie jeść i mówić.

Żabi głos, szatański głos.

Określił się dookoła, wchłaniając oczami strzęp czarnego nieba, kolczastych drzew i dziobatego czerepu księżyca schwytanego w siatkę gałęzi. Czarnych skrofulicznych chat z drzwiami otwartymi na ogień i poskręcane ludzkie cienie. Zamrugał oczami, potrząsnął głową. To nie zniknęło, to było realne.

Co to za miejsce? Nie gwatemalska wieś, o nie. Usłyszał w swym gardle charkot duszonego dzikusa i zaczął się wycofywać, wycofywać ze wszystkiego. Szła za nim, wyskrzekując jego imię. Peruka z czarnego siana, bryzgi połyskliwej galarety w miejsce oczu. Niektórzy z ludzi-cieni wypryskiwali ze swych drzwi, gromadzili się za jej plecami, rozprawiając o nim w swym diabelskim narzeczu. Długonogie czarnoskóre demony o rozdygotanych sercach, nicości bez oblicza z kalekiego wymiaru. Cofnął się o kolejnych kilka kroków.

- Przejrzałem cię - powiedział. - Wiem, czym jesteś. - Wszystko dobrze, David - odparła i uśmiechnęła się. Jasne! Myślała, że on kupi ten uśmiech, ale nie dał się nabrać.

Widział, jak się rozpełza po jej twarzy na kształt przegniłego sosu, który wycieka z leżącego od tygodni na śmietniku worka odpadków warzywnych. Upajający uśmiech Królowej Szatańskich Kurew. To ona mu to zrobiła, skumała się z plugawym życiem w jego dłoni, omotała czarami jego głowę. Sprawiała, że wejrzał w sam środek tej gówiennej magii, która była jej życiem.

- Widzę cię - powiedział.

Potykał się, cofał chwiejnie, na oślep, a potem ruszył biegiem w stronę miasta.

Paprocie chłostały go po nogach, gałęzie cięły po twarzy. Pajęczyny cieni spowijały ścieżkę, a rozbrzeczane owady wydawały dźwięk ostrzonych na kamieniu noży. Dostrzegł przed sobą ogromne skąpane księżycem drzewo stojące samotnie na wzniesieniu nad samą wodą. Drzewo-pradziada, drzewo białej magii. Przyzywało go. Stał przed nim, wciągając w płuca powietrze. Blask księżyca studził go, zraszał srebrem i Mingolla zrozumiał przeznaczenie drzewa. Lśniące tylko dla niego fontanny bieli w czarnym lesie. Zacisnął w pięść lewą dłoń. Był w jej wnętrzu wił się gorączkowo, jakby wiedział, co ma nastąpić.

Mingolla studiował głęboko rzeźbione mistyczne ornamenty kory, aż znalazł ich punkt zbieżny. Uzbroił się w odwagę. Potem wałnął pięścią w pień. Krzyknął, gdy świdrujący ból przewiercił mu ramię. Ale uderzył drzewo jeszcze raz, uderzył je po raz trzeci. Tłumiąc ból, przycisnął dłoń do ciała. Już puchła, stając się pozbawioną kostek dłonią z komiksów, ale wewnątrz nie ruszało się nic. Brzeg rzeki, ze swymi szmerami i cieniami, już mu nie groził, przemieniony w miejsce zwykłych świateł i zwykłych mroków. Nawet biel drzewa sprawiała wrażenie zupełnie niemagicznie jasnej.

- David! - głos Debory, niezbyt daleko.

Jakaś jego część chciała zaczekać, zobaczyć, czy ona też przemieniła się w niewinną i zwykłą, czy też nie. Ale nie mógł ufać ani jej, ani sobie, znów więc ruszył biegiem.

Złapał prom na brzeg zachodni z myślą, że odnajdzie Gilbeya, a doza Gilbeyowej wojowniczości na dobre osadzi go w świecie rzeczywistym. Siedział na dziobie obok pięciu innych żołnierzy, z których jeden rzygał przez burtę. By uniknąć rozmowy, odwrócił wzrok i spoglądał w dół na szybko umykającą do tyłu wodę. Światło księżyca retuszowało falki srebrem i odniósł wrażenie, iż widzi pośród tych refleksów odbicie przerwane łuku swojego żywota: dzieciaka czekającego Gwiazdki, rysującego obrazki i chwalonego; dzieciaka, który dorasta bezmyślnie do ogólniaka, seksu i narkotyków, wyrasta z nich, zaczyna ponownie rysować. I właśnie wtedy, gdy można było oczekiwać, że łuk nabierze jakiegoś znaczącego kształtu, zostaje przecięty, odarty z tajemnicy i pozostawiony w zawieszeniu. Pojął, jak głupia była idea rytuału. Jak umierający, który ściska ampułkę z wodą święconą, on kiedy logiki istnienia nie dało się już ocalić - wczepił się w magię. Teraz wątle spoiwa tej magii rozpuściły się i nic go już nie wspierało; spadał w głąb mrocznych stref wojny czekając, aż go porwie któryś z jej potworów. Podniósł głowę i spojrzął na brzeg Zachodni. Był czarny jak skrzydło nietoperza, dziergany gwałtowną agresywnych świateł. Sylwetki dachów i palm rysowały się na tle tęczącej mgły neonów; między nimi widać było gazowe łuki krwistej czerwieni, akwamaryny i cytrynowej zieleni - fragmenty rozjarzonych bestii. Żołnierze obok niego śmiali się i przeklinali, a ten jeden wciąż wymiotował. Mingolla wsparł czoło o drewniany reling po prostu po to, żeby czuć coś rzeczywistego. W Club Demonio cycata kurwa Gilbeya wsparta o bar gapiła się w swój kieliszek. Mingolla przepchnął się przez tańczących, przez gorąco, hałas i welony lawendowych oparów; gdy podchodził do dziwki, przyoblekła twarz w zawodowy uśmiech i chciała złapać go za krocze. Udaremnił jej zamiar. - Gdzie jest Gilbey? - wrzasnęła. Obdarzyła go nieprzytomnym spojrzeniem, ale potem spłynęło na nią olśnienie. - Meengolla? - zapytała. Przytaknął. Pogrzebawszy w torebce, wyciągnęła złożoną kartkę.

- Jest od Geel-bee - powiedziała. - Dla mnie - pięć dollarr. Wręczył jej pieniądze i odebrał kartkę. Okazała się chrześcijańską ulotką z piórkowym szkicem chudego jak trzaska, strapionego Chrystusa. Niżej zaczynał się tekst, którego pierwszy wiersz mówił: „Nadeszła pora dni ostatnich”. Przewróciwszy ulotkę znalazł z tyłu odręczną notatkę. Czysty Gilbey. Żadnych wyjaśnień, żadnych komentarzy. Wyłącznie konkrety. Zwiąłem do Panamy. Chcesz się też przejechać, to szukaj w Livingstone faceta o nazwisku Ruy Barros. On cię ustawi. Może się zobaczymy. G. M.ingolla był przekonany, że jego duchowe tarapaty sięgnęły szczytu, ale fakt dezercji Gilbeya nie mieścił mu się w głowie, a kiedy próbował go tam upchnąć, chaos wewnętrzny jeszcze narastał. Nie w tym rzecz, iż nie mógł zrozumieć, co się stało. Rozumiał znakomicie. Mógł to nawet przewidzieć. Jak szczur, który widzi swą ulubioną dziurę zastawioną przez pułapkę, Gilbey wygryzł sobie po prostu nową, by w niej zniknąć. Najbardziej kłopotał teraz Mingollę jego zupełny brak punktów odniesienia. On, Gilbey i Baylor trójkątowali, na pozór, rzeczywistość, lokalizując się wzajem na konkretnej mapie obowiązków, miejsc i zdarzeń; teraz, gdy obaj zniknęli, Mingolla czuł się zupełnie zdezorientowany. Wyszedłszy z klubu dał się ponieść tłumowi, zagapiony na neonowe zwierzaki na dachach barów... Olbrzymi niebieski kogut, zielony byk, złoty zółw o gorejących oczach. Wielkie osoby spoglądające nań niełaskawie. Krwotoki barw zmytych z szyldów i jaskrawoblade za ich sprawą powietrze, w którym wszystkie twarze

wydają się wyblakłe. Zdumiewające, myślał Mingolla, że można wdychać taki ziarnisty odbarwiony towar i nie udusić się. Wszystko tu było zdumiewające, nonsensowne. Wszystko, co widział, jawiło mu się jako wyjątkowe i niezgłębione, nawet rzeczy najpospolitsze. Przekonał się, że patrzy na ludzi - na kurwy, uliczników, na żandarma, który rozmawia z drugim żandarmem poklepując zderzak swojego jeeпа, jakby to był jego wielki brudnooliwkowy pieszczoł - że patrzy więc i próbuje dojść, co oni naprawdę robią, jakie szczególne znaczenie mają dlań ich uczynki, jakich dostarczają przesłanek, które mogą okazać się pomocne w rozwikłaniu węzła jego własnej egzystencji. W końcu - pojmując, że potrzebuje spokoju i ciszy - ruszył w kierunku bazy lotniczej. Sądził, iż znajdzie tam pustą pryczę i odeśpi kłopoty, kiedy jednak doszedł do skrótó wiodącego ku niedokończonemu mostowi, porzucił tę myśl, uznawszy, że nie jest przygotowany, aby wojować z wartownikami i oficerami dyżurnymi. Gęste, rozbrzęczane owadami zarośla zwiężały skrót do szerokości ścieżki, a jego końca strzegł kordon drewnianych kozłów. Pokonał je górą i rychło piął się na stromą krzywiznę, która zdawała się prowadzić do punktu leżącego niewiele niżej niż masywny srebrny księżyc. Choć zasłany gruzem i kartonami, beton wyglądał czysto w świetle księżyca, lśnił jasno, jak niezupełnie jeszcze zakrzepły świeży śnieg. Wspinając się Mingolla doznał złudzenia, iż pod jego stopami most drży z wrażliwością białego nerwu. Szedł, zda się, ku ciemności i gwiazdom, ku samotności wielkiej jak wszechświat. To było przyjemne i cholernie samotne, może aż za bardzo: tak iść, zostawiwszy za sobą brzęczenie owadów, słysząc tylko wiatr przewracający kartonowe pudła. Po paru minutach dostrzegł przed sobą poszarpany koniec mostu. Gdy doń dotarł, usiadł ostrożnie ze spuszczoneymi w dół nogami. Wśród nagich dźwigarów, pociągając go za kostki, świstał wiatr. Jego dłoń pulsowała i była rozpalona. Wielobarwna opalizacja przylgnęła w dole do czarnej krechy wschodniego brzegu jak kolonia fosforyzujących alg. Zastanawiał się, jak jest wysoko. Nie dość wysoko, uznał. Nikłe smużki muzyki - niewyczerpane delirium San Francisco de Juticlan - wiły się z wiatrem, i wyobraził sobie, że migotanie gwiazd jest spowodowane tą właśnie dryfującą pośród nich mgiełką muzyki.

Próbował pomyśleć, co robić. Niewiele przychodziło mu do głowy. Wyobrażał sobie Gilberta w Panamie. Szalejącego z dziewczynami, gorzkałującego, robiącego draki. Czyniącego dokładnie to, co w Gwatemali. I w tym właśnie momencie idea dezercji zawodziła Mingollę. W Panamie by się bał; w Panamie, choć może nie trzęsłaby mu się dłoń, pojawiłby się w to miejsce jakiś inny złośliwy tik; w Panamie pewnie by szukał magicznych kuracji przeciwko swym ułomnościom, zbyt bowiem lękałby się rzeczywistości, aby czerpać z niej siłę. I w końcu wojna dotrze do Panamy. Dezercja nic mu nie załatwi. Spoglądał nad posrebrzoną księżycem dżunglą i zdawało się, że wycieka mu z oczu jakaś zasadnicza część jego istoty i złączona z wiatrem gna gdzieś za Mrówczą Farmę, za terytorium partyzantów, za niedostrzegalne spojenie nieba z horyzontem; że jest niepowszymanie ściągana ku punktowi, do którego wlewa się cała siła żywotna świata. Wyciekała również z niego; czuł, że staje się zimny, pusty, ospały. Jego mózg zatracił zdolność myślenia, zachowując tylko dar rejestracji wrażeń. Wiatr przyniósł zieloną woń, która rozszerzyła mu nozdrza. Spowijała go czerń, nakłuta złotymi wrazeniami gwiazd. Nie spał, ale coś w nim usnęło.

Od krawędzi świata odciągnął go szept. Zrazu myślał, że to twór jego wyobraźni, i wciąż patrzył w niebo, które rozjaśniło się żywym granatem przedświt. Potem znów go posłyszał i obejrzał się przez ramię. W odległości jakichś dwudziestu stóp w poprzek mostu rozciągał się rząd dzieciaków. Jedne stały, inne siedziały w kucki. Większość miała na sobie łachmany, część - okrycia z pnącz i liści, reszta była naga. Czujne, milczące. W ich dłoniach połyskiwały noże. Wszystkie były wychudzone, miały długie, zlepione włosy i wspomniawszy martwe dzieci, które widział rano, Mingolla poczuł przez moment strach. Ale tylko przez moment. Jak z rozżarzonych węgli ożywionych powiewem wiatru, lęk buchnął zeń płomieniem i zamarł sekundę później, stłumiony nie przez jakiegokolwiek rozumowe pogodzenie się z faktem, lecz przez dostrzeżenie w tych obszarpanych postaciach szansy kapitulacji. Nie palił się do śmierci, a zarazem nie chciał wkładać zbyt wiele wysiłku w sprawę przeżycia. Przetrawienie, jak się przekonał, nie było dla duszy kwestią

absolutnie pierwszoplanową. Wciąż patrzył na dzieci. Ich ustawienie przywiodło mu na pamięć gromadę Neandertalczyków z Muzeum Historii Naturalnej. Księżyc wciąż był wysoko i dzieci rzucały cienie rozmyte jak maźnięcia węglem. W końcu Mingolla odwrócił wzrok; horyzont ukazywał się jako wyraźna linia zielonego mroku.

Przewidywał, że zostanie dźgnięty lub popchnięty, by runąć korkociągiem w dół i roztrzaskać się o wody Rio Dulce, które nabrały pod jaśniejącym niebem barwy stalowej. Zamiast tego ktoś przemówił mu do ucha: - Hej, macko.

Obok niego siedział w kucki czternasto- albo piętnastoletni chłopak o ciemnej małpiej twarzy obramowanej płataniną sięgających ramion włosów. Ubrany w poszarpane szorty. Z wytatuowanym na szyi zwiniętym w kłęb węzeł. Przechylił głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Zaintrygowany. Mógł próbować dojrzeć poprzez warstwy pozorów prawdziwego Mingollę. Wydał gardłowy pomruk, uniósł nóż i jął nim kręcić w różne strony, pozwalając Mingolli oglądać jego ostrą klingę, która na całej długości skupiała światło księżyca. Wojskowy nóż ogólnego użytku z kastetową rękojeścią. Mingolla parsknął z rozbawieniem. Chłopiec wydawał się zaniepokojony jego reakcją; pochylił nóż i trochę się odsunął. - Co tu robisz, człowieku? - zapytał. Przyszło Mingolli do głowy kilka możliwych odpowiedzi, ale w większości wypowiedzenie ich wymagało zbyt wielkiej energii; wybrał najprostszą. - Podoba mi się tutaj. Podoba mi się ten most.

Chłopak koso spojrział na Mingollę. - Ten most jest magiczny - powiedział. - Wiedziałeś o tym?

- Był czas, kiedy mogłem ci uwierzyć - odparł Mingolla. - Musisz mówić powoli, człowieku - nachmurzył się chłopak. - Jak za szybko, to nie rozumiem.

Mingolla powtórzył swój komentarz, a chłopak stwierdził:

Ty w to wierzysz, gringo. Bo dlaczego tu jesteś? - Płynnym gestem ramienia ukazał wymaginowane wznoszenie się dalszej części mostu. - Oto, gdzie wędruje teraz most. Nic go nie obchodzi przekraczanie rzeki. Ten tu, jest tylko kawałem białego kamienia. Most oznacza coś zupełnie innego.

Mingolla był zaskoczony, słysząc powtórzenie swych myśli z ust kogoś, kto aż tak bardzo przypominał małpoluda.

- Ja tu przychodzę - ciągnął chłopak - słuchać wiatru, słuchać, jak śpiewa w żelazie. I dowiaduję się z tego rozmaitych rzeczy. Widzę przyszłość. - Uśmiechnął się, odsłaniając poczerńiałe zęby, i wskazał na południe, ku Karaibom. - Przyszłość, człowieku, leży w tej stronie. Mingolli spodobał się ten dowcip; poczuł więź z tym chłopakiem, więź z każdym, kogo w podobnym położeniu stać na dowcipy, ale nie przychodziło mu do głowy, jak wyrazić swoją sympatię. W końcu powiedział: - Dobrze mówisz po angielsku.

- Gównno! A co żeś myślał? Że skoro żyjemy w dżungli, to gadamy jak zwierzęta? Gównno! - Dziabnął w beton czubkiem swojego noża. - Całe życie mówiłem po angielsku. Gringos za głupi, żeby się nauczyć hiszpańskiego. Za nimi rozległ się dziewczęcy głos, gardłowy i rozkazujący. Dzieciaki, ze swymi dzikimi twarzami czujnie obróconymi na Mingollę; przysunęły się na odległość dziesięciu stóp, a tuż przed nimi stała dziewczyna. Miała zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy; cienkie sznureczki warkoczy spadały na jej okryte stanikiem piersi. Kości biodrowe sterczały pod szmatławą spódnicą, którą wiatr wciskał jej między nogi. Chłopiec pozwolił dziewczynie skończyć, a potem wystąpił z dłuższą repliką, akcentując słowa uderzeniami kastetowej rękojeści swego noża w cement, które za każdym razem krzeszały iskry. - Gracela - zwrócił się do Mingolli - ona chce cię zabić. Ale ja mówię, że są ludzie, którzy jedną nogą tkwią w świecie śmierci, i jeśli ich zabijesz, śmierć zabierze także ciebie. I wiesz co? - Co? - zapytał Mingolla.

- To jest prawda. Ty i śmierć - chłopak klasnął dłońmi ot tak!

- Może - powiedział Mingolla.

- Żadne „może”. Most mi powiedział. Powiedział, że będę wdzięczny, jeśli pozwolę ci żyć. Więc ty bądź wdzięczny mostowi. Ta magia, w którą nie wierzysz, to ona ocaliła ci dupsko.

Chłopiec opadł na ziemię i usiadł po turecku. - Gracela... ją nie obchodzi, czy ty żyjesz, czy nie.

Ona mi tylko robi koło pióra, bo jak mnie nie będzie, ona zostanie szefem. Ona jest, kapujesz, niecierpliwa.

Mingolla zerknął na dziewczynę. Spokojnie przyjęła jego spojrzenie:

dziecko-wiedźma o wąziutkich oczach, zmierzwionych włosach i sterczących żebrach.

- Dokąd zmierzasz? - zapytał chłopca.

- Miałem sen, że będę mieszkać na południu; śniło mi się, że mam magazyn pełen złota i kokainy.

Dziewczyna znów zaczęła perorować, a on w odpowiedzi wyrzucił z siebie potok gniewnych sylab.

- Co powiedziałeś? - zapytał Mingolla.

- Powiedziałem „Gracela, jak będziesz pieprzyć, to cię wyjebię i wrzucę do rzeki”. - Puścił do Mingolli oko. - Gracela, ona jest dziewczcą, więc się boi pierwszego razu.

Niebo szarzało, różowe smugi nasycaly się od wschodu barwą; nadlatujące znad dżungli ptaki zbierały się nad rzekę w stada. W półświecie Mingolla dostrzegł, że pierś chłopca jest poprzecinana zarosłymi dzikim mięsem bliznami; rany od noża, których nie leczono właściwie. W jego włosach na kształt prymitywnych ozdób utkwily strzępki roślin.

- Powiedz mi taką rzecz, gringo - rzekł chłopak. - Słyszałem, że jest w Ameryce maszyna z ludzką duszą. To prawda?

- Mniej więcej - odparł Mingolla.

Uzyskawszy potwierdzenie swych podejrzeń chłopiec poważnie skinął głową. - Słyszałem też, że Ameryka zbudowała na niebie metalowy świat. - Teraz się go buduje.

- A czy w domu waszego prezydenta jest kamień, w którym trwa dusza martwego czarnoksiężnika?

Nad tą kwestią Mingolla zastanawiał się przez chwilę. - Wątpię - odparł - ale to możliwe.

Wzdrygnął się, gdy wiatr załomotał o most. Poczul na twarzy jego świeżość, delektował się tym uczuciem. I to - fakt, że wciąż może czerpać z życia najprostsze przyjemności - zaskoczyło go nawet bardziej niż nagły hałas.

Różowe smugi na wschodzie rozlewały się i pogłębiały w purpurę; strzały blasku przenikały ku górze, barwiąc brzuchy kilku niskich chmur na kolor fiołkowo-różowy. Kilko dzieci zaczęło chóralnie mamrotać. Psalm. Mówily po hiszpańsku, ale mamrotanie zniekształcało słowa, które brzmiały gardłowo i złowrogo jak język gnomów. Słuchając, Mingolla wyobrażał sobie, jak w bambusowym gąszczu skupiają się wokół ogniska. Krwawe noże wzniesione ku słońcu nad trupem powalonej ofiary. Jak w zielone noce kochają się wśród mięsistej roślinności rodem z obrazów Celnika Rousseau, a pytony o bursztynowych ślepiach okręcają się wokół gałęzi nad ich głowami.

- Tak po prawdzie, gringo - rzekł chłopiec, najwyraźniej wciąż ważąc odpowiedzi Mingolli - to są złe czasy. - Patrzył posepnie w dół, na rzekę, a wiatr unosił ciężkie kosmyki jego włosów.

Obserwując go Mingolla poczul zazdrość. Mimo smutku swej egzystencji, ten mały małpi król był rad ze swojego miejsca w świecie, pewien jego natury. Może ulegał złudzeniu, ale Mingolla zazdrościł tej uludy, a już najbardziej snu o kokainie i złocie. Jego własne sny zostały wypłoszone przez wojnę. Idea siedzenia i bazgrania farbami po płótnie przestała mu się wydawać naprawdę pociągająca. A także myśl o powrocie do Nowego Jorku. Chociaż w ciągu tych ostatnich miesięcy

sprawą dlań pierwszorzędną było przetrwanie, nigdy nie przestał rozważać, co ze sobą niesie, i teraz wcale nie sądził, by mógł powrócić. Pojął, że zaaklimatyzował się w wojnie, zyskał zdolność wdychania jej trucizn; zadławiłby się powietrzem spokoju i domu. Wojna była jego nowym domem, jego nowym właściwym miejscem.

Potem prawda tych faktów poraziła go z mocą objawienia i zrozumiał, co musi zrobić.

Baylor i Gilbey działali w zgodzie ze swymi naturami i on będzie działać w zgodzie ze swoją, co mu narzuca kroczenie szlakiem akceptacji. Przypomnił sobie opowieść Tio Moisesa o pilocie i w głębi duszy wybuchnął śmiechem. W pewnym sensie jego przyjaciel - facet, o którym wspominał w niewysłanym liście miał rację w sprawie wojny, w sprawie świata. Były przesyczone wzorami, celowością, zbiegami okoliczności i cyklami, które zdawały się wskazywać na działalność jakiejś siły magicznej. Ale te rzeczy stanowiły rezultat subtelny proces naturalny. Im dłużej żyjesz, im obfitsze masz doświadczenia, tym bardziej skomplikowane staje się twoje życie, i w końcu zapadasz w gęstwę tak wielu powikłań, pajęczynę okoliczności, emocji i wydarzeń, że nic już nie jest proste i wszystko staje się kwestią interpretacji. Interpretacja jednak to strata czasu. Nawet najbardziej logiczna z interpretacji jest ledwie próbą zamknięcia tajemnicy w klatce i zatrzaśnięcia za nią drzwi. Wcale nie czyni życia mniej tajemniczym. I równie bezcelowe jest doszukiwanie się wzorów, poleganie na nich, stosowanie się do mistycznych wskazówek, które zdają się narzucać. Jedynym sensownym trybem postępowania jest przyjęcie strategii obronnej. Godząc się z tajemnicą, niemożnością zrozumienia twojej sytuacji, musisz się zarazem przed tym bronić. Rozpiąć swą sieć tam, skąd może przyjść atak, zaktywizować czujniki. Musisz stać się potworem we własnym labiryncie, bestią równie brutalną i przebiegłą, jak los, którego próbujesz unikać. Chodziło o rodzaj wojowniczej akceptacji, której pilot Tio Moisesa nie miał okazji zademonstrować i której samemu Mingolli, choć przytrafiła mu się okazja, też nie udało się zademonstrować. Teraz to pojmował. Reagował w najlepszym razie na niebezpieczeństwo, ale nigdy go nie wyzywał ani też nie zwalczał przemyślnością. Lecz sądził, że od tej chwili będzie to umiał czynić. Odwrócił się ku chłopcu, sądząc, że ten może docenić podobny ogląd „magii”, i kątem oka dostrzegł ruch. Gracela. Zbliżająca się do pleców chłopaka z trzymanym nisko, gotowym do dźgnięcia nożem. Odruchowo Mingolla wyrzucił w górę swą obolałą rękę, by zablokować cios. Nóż drasnął kant jego dłoni, odskoczył w górę i przeciął bark chłopca. Ból w dłoni Mingolli był rozdzierający i na moment go zaślepił, ale zaraz potem, gdy chwycił ramię Graceli, by zapobiec następnemu uderzeniu, doznał innego uczucia, niemal zupełnie przytłumionego przez ból. Sądził, że istota w jego dłoni jest martwa, lecz teraz czuł, jak się trzepocze między krawędziami rany wyciekając wraz z oblewającą nadgarstek obfitą strugą krwi. Próbowwała wpełznąć na powrót do środka wijąc się pod prąd, ale jego serce tłoczyło krew zbyt mocno. W końcu zginęła, rozpryskując się o biały kamień mostu. Nim zdołał doznać ulgi, zaskoczenia, albo w jakikolwiek sposób wchłonąć to, co się stało, Gracela spróbowała się wyrwać. Mingolla klęknął, ściągnął ją na dół, walnął o most dłonią trzymającą nóż, ten zaś odleciał na bok. Gracela szarpała się wściekle, mierząc pazurami w jego twarz, a pozostałe dzieci przesunęły się do przodu. Przycisnąwszy gardło Graceli lewą ręką, Mingolla prawą podniósł nóż i przytknął czubek do gardła dziewczyny. Dzieci zatrzymały się w miejscu, a Gracela zwiotczała. Czuł, jak drży. Łzy wyorały smugi w brudzie na jej policzkach. Mała, przestraszona dziewczynka; wcale nie czarownica. - Puaa! - powiedział chłopiec. Wstał na nogi trzymając się za ramię i przeszył Gracelę wzrokiem.

- Coś poważnego? - zapytał Mingolla. - Z barkiem? Chłopiec obejrzał jasną krew na czubkach swoich placów. Boli - powiedział. - Przesunął się tak, by stanąć nad Gracelą, i uśmiechnął się. Potem rozpiął górny guzik swoich szortów. Gracela zeszytniała.

- Co robisz? - niespodziewanie Mingolla poczuł się odpowiedzialny za dziewczynę.

- Zrobię to, o czym jej mówiłem, człowieku. - Chłopak rozpiął resztę guzików i wyslizgnął się z szortów; jakby podniecony walką, miał już częściowy wzwód.

- Nie! - rzekł Mingolla, zbyt późno zdając sobie sprawę, że to wcale nie jest mądre.

- Zabieraj swoje życie - rzekł chłopak surowo. - Odejdź. W most uderzył długi potężny podmuch wiatru; Mingolli się zdawało, że źródłem wibracji mostu, bicia jego serca i drżenia Graceli jest ten sam przyspieszony puls. Czuł się niemal organicznie związany z chwilą i nie miało to nic wspólnego z jego troską o dziewczynę. Może, pomyślał, to wynik wprowadzania w czyn tych nowych przekonań. Chłopiec stracił cierpliwość. Wrzasnął na pozostałe dzieci, odganiając je wymachami rąk. Posępnie oddaliły się w dół krzywizny mostu; zajęły stanowiska przy balustradzie pozostawiając środkiem wolne przejście. Za nimi, pod lawendowym niebem, dżungla rozciągała się po horyzont z jednym tylko prostokąnym prześwietem bazy lotniczej. Chłopak przycupnął u nóg Graceli.

- Dziś w nocy - powiedział do Mingolli - złączyl nas most. Dziś w nocy siedzimy, rozmawiamy. Teraz - koniec. Moje serce powiada, żeby cię zabić. Ale dam ci szansę, bo powstrzymałeś Gracelę przed zadaniem głębokiej rany. Ona wyda osąd. Jeśli powie, że pójdzie z tobą, my - machnął w stronę dzieci - zabijemy cię. Jeśli zechce zostać, będziesz musiał odejść. Żadnego gadania, żadnego pieprzenia. Po prostu idziesz. Rozumiesz?

Mingolla się nie bał i ten brak lęku nie był zrodzony z obojętności wobec życia, ale z jasności umysłu i pewności siebie. Czas by na wyzwania przestał reagować ucieczką; czas, by im stawiał czoła. Wykombinował plan. Nie miał wątpliwości, że to jego wybierze Gracela, wybierze skapą wprawdzie, ale jednak szansę ocalenia. Nim jednak zdoła podjąć decyzję, on zabije chłopca. Potem popędzi na pozostałych; może pójdą w rozsypkę pozbawieni przywódcy. Nie był to specjalnie dobry plan i wcale się Mingolli nie podobał pomysł zabicia chłopaka, ale sądził, że zdoła go przeprowadzić.

- Rozumiem - powiedział.

Chłopiec przemówił do Gracel; potem kazał Mingolli ją uwolnić. Usiadła, rozmasowując miejsce, gdzie Mingolla ukłuł ją nożem. Popatrzyła wstydliwie najpierw na niego, a później na chłopca; odgarnęła włosy na kark i wyprężyła piersi, jakby wdziecząc się do dwóch konkurentów. Mingolla był zdumiony jej zachowaniem. Może, pomyślał, gra na zwłokę. Wstał i udając, że rozprostowuje kości, przybliżył się do chłopca, wciąż siedzącego w kucki obok Graceli. Na wschodzie zza horyzontu wyłoniła się czerwona płomienista kula, a jej rumiany blask podbudował Mingollę, ukrzepił go w postanowieniu. Ziewnął i zaciskając dłoń na rękojeści noża przysunął się jeszcze bliżej. Mocno do tyłu szarpnie za włosy głowę chłopca i poderżnie gardło. W jego piersi dygotały nerwy; narastało ciśnienie krwi, nakazując mu działać, ruszać w tej chwili. Hamował się. Wystarczy jeszcze jeden krok, jeszcze jeden krok, żeby mieć zupełną pewność. Miał go właśnie wykonać, gdy wyciągnąwszy rękę Gracela poklepała chłopca po ramieniu.

Na obliczu Mingolli musiało się pojawić zaskoczenie, bo chłopiec spojrział nań i wybuchnął gardłowym śmiechem. - Myślałeś, że wybierze ciebie? Gównu! Nie znasz Graceli, człowieku. Gringos spalili jej wieś. Wolałaby diabłu dupę wylizać niż ci podać rękę. - Uśmiechnął się i pogładził ją po włosach. - A poza tym myśli, że jeśli mi dobrze wygodzi, może powiem „Och, Gracela, muszę mieć tego więcej!” I kto wie, może będzie mieć rację.

Gracela położyła się na wznak i wysunęła ze swojej spódnicy. Między nogami była prawie bezwłosa. Uśmiech musnął kąciki jej ust. Mingolla patrzył na nią w otepieniu.

- Nie zamierzam cię zabić, gringo - nie podnosząc wzroku powiedział chłopiec; przesuwał dłonią po brzuchu Graceli. Powiedziałem ci, że nie zabiję człowieka tak bliskiego śmierci. Znów się roześmiał. - Zabawnie wyglądałeś, jak próbowałeś się podkraść. Aż miło było patrzeć. Mingolla

był oszołomiony. Cały czas, kiedy odsuwając lęk i odrazę budował w sobie gotowość do zabicia, dostarczał zaledwie chłopcu rozrywki. Ciężar noża zdawał się koncentratem jego gniewu i zapragnął przeprowadzić swój atak, zarznąć tego małego zwierzaka, który go ośmieszał. Ale ponizienie przemieszało się z gniewem, neutralizując tę chęć. Trzęsły nim jady wściekłości, nie było takiego bólu ani zmęczenia, którego by nie odczuwał w swoim ciele. Pulsowała mu dłoń, obrzmiała i odbarwiona jak dłoń trupa. Przepęniała go słabość. I ulga. - Idź - powiedział chłopiec. Wsparty na łokciu, położył się obok Graceli i pieścił jedną z jej sutek, aż poczęła obrzmiewać. Mingolla z wahaniem odstąpił kilka kroków. Za jego plecami Gracela wydała z siebie miauczący odgłos, a chłopiec coś wyszeptał. Gniew Mingolli zapłonął na nowo - już o nim zapomnieli! - ale go nie zatrzymał. Gdy mijał pozostałe dzieci, jedno go opluło, a drugie cisnęło weń kamykiem.

Skupił wzrok na umykającym mu spod stóp białym betonie. Dotarłszy do środka łuku, odwrócił się. Na końcu mostu dzieci otoczyły Gracelę i chłopca, zasłaniając ich przed jego wzrokiem. Niebo nad nimi stało się błękitnoszare, a wiatr przynosił ich głosy. Śpiewały chropawą żywą piosenkę, która sprawiała wrażenie triumfalnej. Gniew Mingolli opadł, uczucie ponizienia osłabło. Niczego nie musiał się wstydzić; choć postępował nierozważnie, to jednak z pozycji siły i nie zniweczy tego żadna doza kpiny. To wszystko zacznie jakoś iść! Zacznie! On sprawi, że zacznie iść!

Przez chwilę obserwował dzieci. Z tej odległości ich śpiew wydawał się uderzająco dziki. Zostawiając je za sobą, poczuł odrobinę tęsknoty. Zastanawiał się, co nastąpi, kiedy chłopiec skończy już z Gracelą. Nie przejmował się tym, był tylko ciekawy. Czuł się jak człowiek, który sądzi, że może będzie musiał wyjść z kina przed wielkim finałem. Czy nasza bohaterka przeżyje? Czy zwycięży sprawiedliwość? Czy to przeżycie i ta sprawiedliwość przyniosą ze sobą szczęście? Rychło koniec mostu kapał się już w złocistych słonecznych promieniach: wydawało się, że dzieci czernieją i roztapiają się w niebiańskim ogniu. Była to puenta satysfakcjonująca Mingollę. Wrzucił do rzeki nóż Graceli i zszedł z mostu, w którego magię przestał wierzyć, zmierzając ku wojnie, której tajemnicę uznał za własną.

W bazie lotniczej Mingolla przystanął obok Sikorsky'ego, który go przyniósł do San Francisco de Juticlan; rozpoznał ten helikopter po ognistych literach napisu Szepcząca Śmierć. Wsparł głowę o literę A, przypominając sobie, jak Baylor, uczyniwszy coś podobnego, wzdrygnął się przejęty lękiem, iż litery mogą mu przekazać jakąś śmiercionośną treść. Mingolla się tym nie przejmował. Malowane płomienie zdawały się ogrzewać wewnątrz jego głowy, poruszając myśli tak ospale i nieokreślone jak dym. Myśli przynoszące ulgę, myśli bez obrazów i konceptów. Po prostu łagodny szmerek aktywności duchowej jak praca silnika na wolnych obrotach. Wokół niego baza budziła się do życia. Spod koszar odjeżdżały jeepy, paru oficerów dokonywało inspekcji ładowni samolotu transportowego, jakiś facet naprawiał widlak. Spokojnie, domowo. Mingolla zamknął oczy i zapadając w półsen pozwalał słońcu i wymalowanym płomieniom ujmować się w nawiasy ciepła prawdziwego i wymyślanego.

Jakiś czas później - nie był pewien jaki - usłyszał głos:

- Nieźle rozpierdoliłeś tę rękę, co?

U drzwiczek kabiny stało dwóch pilotów. W swych czarnych kombinezonach i hełmach nie wyglądali ani niesamowicie, ani cudacznie, lecz jak istoty funkcjonalnie groźne. Władcy Maszyny.

- Taaa - odparł Mingolla. - Rozpierdoliłem.

- Jakżeś to zrobił? - zapytał pilot z lewej.

- Walnąłem w drzewo.

- Musiałeś być nieźle narąbany, żeby walnąć drzewo stwierdził pilot z prawej. - Drzewo, bracie, nie zrobi uniku, jak je pierdykniesz. Mingolla mruknął coś wymijająco.

- Lecicie na Farmę, chłopaki?

- Bankowo! A co jest grane, człowieku? Masz dość tych tam dzikich kobit? - Pilot z prawej.

- Coś mi się zdaje. Podrzucicie mnie?

- Jasne - rzekł pilot z lewej. - Ładuj się z przodu. Siądziesz za nami.

- A gdzie twoi kumple? - zapytał pilot z prawej. - Zmyli się - odparł Mingolla wdrapując się do kabiny. Któryś z pilotów stwierdził: - Tak przypuszczałem, że już nie zobaczymy tych chłopaków. Mingolla przypiął się pasami w fotelu obserwatora za stanowiskiem drugiego pilota. Sądził, że nastąpi długa kontrola instrumentów, ale ledwie rozgrzały się silniki, Sikorsky wystrzelił w górę i skręcił na północ. Z wyjątkiem broni nie zaktywizowano żadnego z systemów obronnych. Radar, monitor termiczny i czytnik terenu świeciły pustymi ekranami. Nerwowy dreszcz przebiegł przez mięśnie brzucha Mingolli, gdy pomyślał o mnogości niebezpieczeństw, na które są narażeni przez wiarę pilotów w ich cudowne hełmy; rychło jednak wrażenie to utonęło w szepczącym rytmie rotorów i spływającym nań poczuciu mocy Sikorsky'ego. Przypomniawszy sobie, że doznawał podobnego uczucia bezpiecznej potęgi siedząc przy mechanizmach sterowniczych swojego działła. Nigdy nie pozwalał, by krzepło, owładało nim, obdarzało władzą. Był głupcem. Podążali północno-wschodnim kursem rzeki, która jak błękitnostalowy drut tnący wiła się pomiędzy pokrytymi dżunglą wzgórzami. Piloci śmieli się i żartowali, i cały lot zaczął nabierać atmosfery przejażdżki z dwoma starymi dobrymi kumplami, którzy gazują donikąd; opici postawionym sobie piwem. W pewnym momencie drugi pilot przełączył się na głośniki pokładowe i zaintonował smętną piosenkę country:

/

„Gdy przy ustach usta - to się całujemy,
Gdy się rozchodzimy - to się rozstajemy.
Gdyś raz, moja miła, psa mi przemielila,
Powiedziałem sobie, żeś się pomyliła.
Ale kiedyś w pierś mi kulę władowała,
Wtedy, moja mała, serceś mi złamała.”

/

Kiedy drugi pilot śpiewał, pierwszy kołysał Sikorskim do przodu i do tyłu w pijackim wtórze, a gdy utwór dobiegł końca, wrzasnął przez ramię do Mingolli: - Uwierzysz, że ten skurwysyn sam to napisał? Naprawdę. Gra też na gitarze. Ten chłopak to geniusz.

- Bombowy kawałek - stwierdził Mingolla i myślał tak naprawdę.

Piosenka go ubawiła, a nie była to błaża sprawa. Bujali się po niebiosach, wyśpiewując w nieskończoność pierwszy wiersz. Ale później, gdy wciąż utrzymując kurs północno-wschodni zostawili rzekę za sobą, drugi pilot wskazał fragment dżungli przed nimi i wrzasnął: - Bereciarze! Kwadrat cztery! Masz ich? - Mam! - odkrzyknął pilot. Sikorsky opadł ku dżungli, zadrżał, i od jego brzucha oderwał się ogień. Chwilę później wybuch przerodził wielką połać dżungli w cętkowaną plamę dymu i płomieni. - Wiooo! - zaśpiewał drugi pilot triumfalnie. - Szepcząca Śmierć uderza znowu!

Z zięjącymi ogniem działkami spadali przez rozwiane welony czarnego dymu. Płonęły całe akry drzew, a oni wciąż atakowali. Hałas był taki, że Mingolla zacisnął zęby; przerażony całym tym szaleństwem osunął się w głąb fotela i siedział z pochyloną głową. Zwątpił raptownie w swą zdolność sprostania schizofrenii Mrówczej Farmy i przypomniał sobie wszystkie przyczyny strachu.

Drugi pilot odwrócił się do niego. - Nie ma żadnego powodu, żebyś był taki spiczniący, człowieku - powiedział. - Jesteś kurewski farciarz, wiesz? Pilot wprowadził maszynę w skręt ku wschodowi, ku Mrówczej Farmie.

- Jak to rozumiesz? - zapytał Mingolla.

- Widzę cię na wylot, człowieku - odparł drugi pilot. Mogę ci bankowo powiedzieć, że na Farmie to ty długo nie posiedzisz. Nie mam jasności dlaczego i w ogóle. Ale mi się zdaje, że będziesz ranny. Choć niezbyt ciężko. Taka rana do domciu.

Gdy pierwszy pilot zakończył manewr, do kabiny wpadł skośnie promień słońca, podświetlając osłonę twarzy drugiego, i przez ułamek sekundy Mingolla widział niewyraźny cień skrytych pod nią rysów. Wydawały się kluchowate i zdeformowane. Jego wyobraźnia podpowiedziała szczegóły. Dziwaczne narośla, spękane policzki, jedno oko pokryte bielmem. Coś jak twarz z filmu o poatomowych mutantach. Kusiło go, by uwierzyć, że naprawdę to widział; deformacje pilota uprawomocniłyby jego przepowiednie na temat bezpiecznej przyszłości. Ale Mingolla zwalczał tę pokusę. Lękał się śmierci i lękał się koszmarów niesionych przez życie na Mrówczej Farmie, a przecież z magią nic już nie chciał mieć do czynienia... o ile jakaś magia nie wiązała się z kondycją dobrego żołnierza. Z jego posłuszeństwem, zdyscyplinowaniem, praktyką w zadawaniu okrucieństw.

- Może być, że to ta ręka załatwi mu cywila - rzekł pierwszy pilot. - Ta ręka mi się wydaje solidnie pojebana. Taka ręka to numer za milion dolców.

- Nie, nie wyczuwam, że to ta ręka - zaproponował drugi pilot. - Coś innego. Cokolwiek to będzie, zrobi swoje.

Mingolla widział swą własną twarz pływającą w czarnym plastyku osłony drugiego pilota; wydawała się tak zniekształcona i blada, tak dokładnie nieznaną, że myślał przez chwilę, iż ta twarz może stanowić część koszmaru drugiego pilota.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje, człowieku? - zapytał drugi pilot.

- Nie wierzysz mi?

Mingolla pragnął wyjaśnić, że jego postawa nie ma nic wspólnego z wiarą albo niewiarą i że sygnalizuje po prostu jego zamiar zapewnienia sobie bezpiecznej przyszłości środkami troski o teraźniejszość; ale nie miał pomysłu, jak ująć to w słowa, które mógłby zaakceptować drugi pilot. Drugi pilot tylko by się powołał na swą osłonę jako świadectwo istnienia wymiarów magicznych albo może pokazałby przed siebie, gdzie za sprawą zmętniałego pod bezpośrednim atakiem promieni słonecznych plastyku kabiny, słońce zdawało się unosić w dymnej ciemności: wyraźna ognista kula o zmięzwionej koronie, jak jeden z owych znaków kabalistycznych tłoczonych na pradawnych pieczęciach. Było to zjawisko szatańskie i przeraźliwe, i choć Mingolli wcale nie poruszało, wiedział, że pilot dostrzeże w nim potężny omen.

- Myślisz, że kłamię? - zapytał gniewnie drugi pilot. - Myślisz, że bym ci w takiej sprawie wciskał kit? Człowieku, nie lę! Daję ci na to najprawdziwsze cholerne słowo!

Wyszeptując śmierć, lecieli na wschód, ku słońcu, w świat jawiący się jako przedziwne krwawe zakłęcie; lecieli nad ciemnozieloną głuszą, gdzie wojna zapuściła już korzenie, gdzie ludzie w zbrojach swego rynsztunku polowego walczyli bez istotnych powodów z ludźmi noszącymi na beretach mosiężne skorpiony, gdzie szaleni, zagubieni mężczyźni wędrowali wśród mistycznych światła Szmaragdowej Strefy Ogniowej, a schizofreniczni mędrcy dumali o sprawach jeszcze nie widzianych. Czekać na odpowiedź drugi pilot wciąż wlepił w Mingollę czarny bąbel swej osłony. Ale Mingolla tylko patrzył i drugi pilot wnet się odwrócił.

Lucius Shepard

Słoneczny Pająk

„... W afrykańskiej pustyni Namib, jednym z najbardziej wrogich środowisk na Ziemi, żyje stworzenie zwane pajakiem słonecznym. Jego włochate ciało jest bladożółte, dokładnie więc takiego koloru jak piasek, który pająk przekopuje w poszukiwaniu ofiar, prawie nie naruszając ziarenek w swej wędrowce. Wyłania się z ukrycia tylko po to, by pochwycić łup; nawet obserwując

z odległości paru centymetrów, można nie dostrzec jego obecności. Natura działa efektywnie i lubi powtarzać sprawdzone recepty na przetrwanie w tak przerażających miejscach. Jeśli tedy - jak zakładałam - na Słońcu istnieje forma życia makromolekularnego, nie byłbym zdumiony dowiedziawszy się, iż przybrało zblizoną postać.”

Z Dzienników alchemicznych

Reynoldsa Dulambre

Mój mąż Reynolds i ja przybyliśmy na Stację Helios po czterech latach spędzonych na pustyni Namib, gdzie on spłodził Dzienniki, a w nich kontrowersyjne Równania Słoneczne, ja zaś doszłam do perfekcji w czynieniu użytku z nudy. Przy węźle cumowniczym zostaliśmy powitani przez administratora Sekcji Fizycznej, dr Davisa Brenta, który następnie powiódł nas na przyjęcie wydane na cześć Reynoldsa w jednej z kopuł rekreacyjnych pokrywających jak bąble powłokę stacji. Nawet nie wiedząc, że Brent jest jednym z głównych oszczerców Reynoldsa, zorientowałabym się, że są przeciwnikami; jak kobra i mangusta stanowili swoje zupełne przeciwieństwo w powierzchowności i w zachowaniu. Brent, pękaty, łysiejący od czoła mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w bury mundurowy kombinezon, był tylko dwa lata starszy od trzydziestosiedmioletniego Reynoldsa, ale ten wyglądał na młodszego odeń o lat dziesięć. Wysoki i smukły, o spadających na kołnierz peleryny kasztanowatych włosach, miał twarz pełną tej wyniosłej szlachetności, jaką kojarzy się z bohaterami szekspirowskimi. Obaj starali się, jak mogli, ale z trudem zachowywali uprzejmość, więc odczułam prawdziwą ulgę, gdy dotarłszy wreszcie do kopuły zostaliśmy porwani przez tłum pełnych uwielbienia techników i naukowców. Stacja Helios orbitowała nad południowym biegunem Słońca; przez luki mogłam dostrzec węzeł, do którego cumowało akurat kilka z owych kanciastych statków przeznaczonych do badań koronosfery. Pozostawiając Reynoldsa jego admiratorom zajęłam stanowisko przy jednym z wizjerów i skierowałam wzrok ku Ziemi, wołąc sobie wyobrazić, że obchodzę święto narodowe w Abidżanie, niż znosić to zbiegowisko mędrków indukcyjnych i dręczycieli cząsteczek, którzy przeważnie wlepiali gały w Reynoldsa, chyba z nadzieją, że dorówna swej legendzie i zademonstruje omdlenie narkotyczne albo wywoła bójkę. Przypatrywałam się, jak rozmawia z Brentem. Gestykulacja Brenta była przymilna, służalcza, jak wygibasy psa starającego się zapracować na pochwałę; chcąc coś podkreślić klaskał łapkami i przechylał na bok głowę, jakby prosząc pana, żeby go nie bił. Reynolds stał nieruchomo z ramionami założonymi na piersi.

W pewnym momencie Brent powiedział:

- Nie mam pojęcia, jaki cel masz nadzieję osiągnąć, bombardując protonami dziury koronalne. - Reynolds odparł swym najbardziej lekceważącym tonem, że zaledwie grzebie długim kijem w zaroślach. Nie zdołałam uławić następnej wymiany zdań, ale potem usłyszałam, jak Brent mówi:

- To możliwe, ale sądzę, że nie rozumiesz, jak otwarta jest nasza społeczność. Bariery, które wzniosłeś wokół swoich badań, nie są zgodne z duchem, z...

- Całe moje cholerne życie - przerwał mu Reynolds scenicznym barytonem - dokuczały mi małe ludziki. Ludziki, które najpierw wydłubały sobie przytulne akademickie norki przez opatrywanie moich prac przypisami, a następnie pyskowanie prze ciwko nim. Takie szcurkowate skurwysynki jak ty. I dlatego trzymam wszystko w sekrecie... żeby nie dać myszom zagnieździć się w moich papierach.

Ruszył do bufetu z napojami pozostawiając Brenta, który uśmiechał się do wszystkich próbując ukazać, że nie wziął zniewagi do siebie. Do Reynoldsa przykleiła się smukła brunetka i wciągnęła go w rozmowę. Akcentował swe kwestie przesadną gestykulacją i pochylał się nad partnerką, jakby miał zamiar owinać ją swoją peleryną; wkrótce potem obydwójce dyskretnie się zmyli.

W porównaniu z typowym zachowaniem Reynoldsa w miejscach publicznych był to popis umiarkowany; i tego jednak starczyło, żeby wszyscy zapomnieli o mojej obecności. Popijałam

drinka; przysłuchiwałam się rozmowom, wcale nie czując się oszukana. Przywykłam do zdrad Reynoldsa i w istocie nawet czerpałam z nich siły. Czułam radość, że znalazł swoją brunetkę. Choć małżeństwo nasze nie było pozbawione zmysłowości, większość zbliżeń miała charakter rytualny, a po czterech latach odosobnienia w pustyni potrzebowałam tej emocjonalnej stawy, jaką daje kochanek. Helios, miałam przekonanie, dostarczy jej w ilości dostatecznej. Wkrótce po zniknięciu Reynoldsa zbliżył się Brent i ku memu ogromnemu zdziwieniu próbował mnie poderwać. Była to jedna z najmniej udolnych prób uwiedzenia, jakie mnie dotąd spotkały. Bez przerwy kombinował, jak by tu mnie dotknąć, niby przypadkiem, i kilkakrotnie wyrażał uznanie dla wielkości mych oczu. Zdołałam skierować nurt rozmowy na bezpieczne szlaki i zaczął rozprawiać o polityce, w której to dziedzinie miał się za eksperta.

- Moja podstawowa filozofia polityczna - oświadczył - pochodzi z opowiadania jednego z dwudziestowiecznych mistrzów prozy spekulatywnej. W opowiadaniu tym bohater wysłał swój umysł w przyszłość i trafia w ten sposób do rzeczywistości utopijnej, zieleńca otoczonego białymi gmachami, gdzie przechadzają się przystojni mężczyźni i piękne kobiety... Nie pamiętam, jak długo słuchałam wywodu, który wnet zdradził swą prawdziwą naturę wolnomyślicielskiej fantazji, zanim wybuchłam śmiechem. Brem wydawał się zbity z tropu moją reakcją, ale wnet ukrył zmieszanie i również się roześmiał.

- Ach, Carolyn! - powiedział. - Dałaś się nabrać, prawda? Myślałaś, że mówię serio !

Czułam wobec niego litość. Był tylko smutnym człowieczkiem o przesadnych wyobrazeniach na własny temat; mówiono mi również, iż grozi mu utrata stanowiska. Strawiłam pół godziny pozwalając mu zakosztować poczucia ważności; potem splawiwszy go ruszyłam na poszukiwanie odpowiedniejszego partnera.

Mój pierwszy kochanek na Stacji Helios, młody fizyk cząsteczkowy o imieniu Thom, okazał się w swych uczuciach przesadnie zaborczy. Zdawało się, że porywa go dźwięk mojego imienia; często podnosił głowę i mówił „Carolyn, Carolyn”, jakby mógł tym aktem ogarnąć moją istotę. Wydawał mi się absurdalny, ale łaknęłam uwagi i choć nie mogłam w żaden sposób okazać wzajemności, delectowałam się faktem, iż jestem obiektem jego fiksacji. Spotykaliśmy się codziennie w jednej z kopuł rekreacyjnych, tańczyliśmy w rytm pływów i piliśmy paradyżaki - ogromnie przypadł mi do gustu Amouriste - a potem zmykaliśmy w ustronne miejsce, kochaliśmy się i obserwowaliśmy powroty statków słonecznych z ich ognistych wypraw. Thom marzył, iż któregoś dnia zostanie skierowany na taki statek; opiewał wspaniałości towarzyszące opadaniu przez kolejne warstwy płonących gazów. W końcu jego opętanie przygodą naukową doprowadziło mnie do zerwania tego romansu. Lata obcowania z pracą Reynoldsa uodporniły mnie na wszelkie dobre opinie o nauce, a poza tym nie życzyłam sobie, by mi przypominano o bliskości Słońca; niekiedy wyobrażałam sobie, że słyszę, jak świszczcze i ryczy; że czuję, jak jego płomienie liżą ściany z metalu, gotowe jednym liźnięciem przemienić nas w skwarki.

Omawiając w szczegółach moje zdrady nie zamierzam tym samym określać swego małżeństwa jako pozbawionego miłości. Kochałam Reynoldsa, choć moje uczucia nieco zbladły. I on mnie kochał na swój sposób. Tuż przed ślubem oświadczył, że zamierza uczynić z naszego związku „małżeństwo dusz”. Ale nie było to namiętne wyznanie - raczej deklaracja zamierzeń naukowych. Wierzył w dusze i uważał je za absolutny wyraz życia, jakoś, co przenika każdą drobinę materii tworząc fundament pomniejszych manifestacjom osobowości i cielesności. Jego poszukiwanie form życia makromolekularnego na Słońcu było zasadniczo próbą wyizolowania animy i porozumienia się z nią, „małżeństwo dusz” zaś - logicznym celem fizyki dwudziestego pierwszego wieku. Przychodzi mi teraz na myśl, że te poszukiwania mogły być dla niego jedynym środkiem wyrażania najgłębszych uczuć; główny nasz problem polegał na tym, iż ja sądziłam, że doczekam się z jego strony takiej miłości, która mnie usatysfakcjonuje, on zaś uważał, iż zdoła mnie usatysfakcjonować stosując metody naukowe.

Aby precyzyjnie określić nasz związek, powinnam wspomnieć, że kiedyś napisał do mnie, iż „beznamiętne, lekko orientalne piękno” mojej twarzy przypomina mu „te pogodne oblicza kreślone jako symbol Słońca na starożytnych mapach żeglarskich”. I znów nie był to język namiętności: widział w owym podobieństwie talizman, szczęśliwe zaklęcie. Był człowiekiem myślącym magicznie; postrzegał samego siebie w większym pokrewieństwie z alchemikami niż ze współczesnymi naukowcami i, jak alchemicy, dawał wiarę mocy podobieństw. Ilekroć kochał się ze mną, kochał się ze Słońcem. I z wielką szkodą dla naszego małżeństwa każda piękna kobieta stawała się dlań Słońcem, a w konsekwencji potencjalnym rekwizytem jego rytuałów. Jeśli wziąć pod uwagę przerośnięte ego Reynoldsa, wierność była czymś niezgodnym z jego charakterem, gdyby zaś nie stosował seksu jako rytuału służącego koncentracji, wymyśliłby - jestem pewna - jakieś inne uzasadnienie dla niewierności. I ja też, jak sądzę, musiałabym wykombinować na własny użytek jakieś usprawiedliwienie. Podczas owych pierwszych miesięcy nie byłam wybredna w doborze kochanków, nawiązując romanse tak z technikami, jak i z wieloma kolegami Reynoldsa. Reynolds też nie przebierał - i tak oto nasze żywoty podążały odmiennymi ścieżkami... Rzadko spędzałam noce w naszym apartamencie i nie zwracałam najmniejszej uwagi na pracę Reynoldsa. Ale pewnego popołudnia, gdy leżałam z najnowszym kochankiem w prywatnym gabinecie kopuły rekreacyjnej, rozsunęły się drzwi i wkroczył Reynold's. Mój kochanek - technik, którego imię umknęło mi z pamięci - poderwał się i nieustannie przeprasząc ją się mocować z ubraniem. Wrzeszczałam na Reynoldsa i złorzeczyłam mu. Jakże ma prawo poniżyć mnie w ten sposób? Nigdy nie zaskoczyłam go z jego kurwami, prawda? Spoglądał na mnie nieporuszony pozwalając mi wyparować gniew i patrzył tak jeszcze wówczas, gdy technik wymknął się pospiesznie. W końcu już tylko patrzyłam groźnie, zadyszana i wciąż wściekła, ale również z pewną dozą poczucia winy... nie związanego z moim romansem, ale faktem, iż w rezultacie ostatniego stosunku z Reynoldsem zaszłam w ciążę. Od wielu lat próbowaliśmy mieć dziecko i jakkolwiek zdawałam sobie sprawę z wagi tego wydarzenia dla Reynoldsa, odkładałam moment oznajmienia mu o tym. Nie miałam już zaufania do jego zdolności wywiązania się z roli ojca.

- Przepraszam za to - machnął dłonią w stronę łóżka. Musiałem cię pilnie zobaczyć i nie pomyślałem.

Przeproszenie było i niego czymś nietypowym i zaskoczenie wywołane tym faktem zneutralizowało we mnie resztki złości. - O co chodzi? - zapytałam.

Na jego twarzy rysowały się sprzeczne uczucia.

- Mam go - odparł.

Wiedziałem, co ma na myśli: zawsze personifikował obiekt swych poszukiwań, tym razem jednak już dawno zaczął nazywać go „Pajakiem”. Uradowałam się jego sukcesem, ale z jakiegoś powodu odczułam pewien lęk i żadne słowa nie przysły mi do głowy.

- Chcesz go zobaczyć? - usiadł obok mnie. - Jest zarejestrowany w jednym z holotanków.

Przytaknęłam.

Byłam pewna, że zamierza mnie objąć. Widziałam na jego twarzy pragnienie przełamania tych barier, które wzniesiliśmy między sobą, i wyobrażałam sobie, że teraz, skoro dopiął celu, będziemy z sobą tak blisko, jak się nam kiedyś marzyło; że wierność i miłość doczekają się wreszcie swego dnia. Ale chwila minęła i rysy jego twarzy znów stwardniały. Wstał i począł przemierzać pokój. Potem zakręcił na miejscu, walnął kulakiem w dłoń i z całą namiętnością, jakiej nie potrafił wykrzesać w stosunku do mnie, powtórzył:

- Mam go !

„Sam o tym nie wiedząc, obserwowałem go już od tygodnia:

przemieszczający się w dziurze koronalnej wielki obszar niskiej temperatury. Rozpoznałem go tylko przez przypadek; w roztargnieniu potrafiłem regulator barw holotanku wyostrzyć obraz

strefy niskiej temperatury, co ujawniło wieloramienny ovoid o zmieniających się nieustannie kolorach podstawowych. Jego macki rozmywały się i ginęły; zaobserwowałem, że niektóre z nich osiągały dziesięć tysięcy kilometrów długości i nie mam doprawdy pojęcia, jaka jest granica ich rozmiarów. Składa się zasadniczo z wewnętrznego kompleksu ultrazimnych neutronów, zamkniętego w silnym polu magnetycznym. Ostatnio uzmysłowiłem sobie, że niektóre z dziur koronalnych mogą być jedynie manifestacją jego ruchów. Poza garstką tych faktów i przypuszczeń Pająk pozostaje tajemnicą i zacząłem podejrzewać, że jakkolwiek wiele elementów jego natury zostanie odkrytych, tajemnicą na zawsze pozostanie.”

Z Zapisków zebranych

Reynoldsa Dulambre

Na ekranie zmaterializowała się twarz Brenta, ułożona w jeden z tych jego pokornych uśmiezków.

- Ach, Reynolds - powiedział. - Rad jestem, że cię złapałem.

- Jestem zajęty - warknąłem sięgając do wyłącznika.

- Reynolds !

Jego rozpaczliwy ton zwrócił moją uwagę.

- Muszę z tobą pomówić - powiedział. - Sprawa nader ważna.

- Wątpię - parsknąłem pogardliwie.

- Ale tak jest... i to dla nas obu.

Do jego głosu wkradł się jakiś oślizgły ton, a ja straciłem cierpliwość.

- Zamierzam cię wyłączyć, Brent. Chcesz się pożegnać, czy mam ci przerwać w pół słowa?

- Ostrzegam, Reynolds !

- Ostrzegasz mnie? Trzęsę się cały, Brent. Planujesz jakąś napaść?

Oblał się rumieńcem.

- Rzygać mi się chce na twoją arogancję ! - wrzasnął. Kim, do diabła, jesteś, żeby tak się do mnie odzywać? Ja przynajmniej pracuję... a ty od tygodni nic nie zrobiłeś!

Chciałem zapytać, skąd to może wiedzieć, ale potem uzmysłowiłem sobie, że przez komputery stacji mógł odczytywać moje zużycie energii. - Myślisz... - zaczął, ale wyłączyłem go i powróciłem do zarejestrowanego w holotanku obrazu Pajaka, którego ramiona falowały w niespiesznym tańcu. Do tej pory nie wierzyłem, że jest czymś więcej niżli snem, niejasną wizją magiczną, praojcem czarnoksiężników pojmanym w pułapkę płomienia, złocistego światła, w samym sercu potęgi. Ufałem, pragnąłem uwierzyć. Ale nie byłem w stanie zaakceptować jego realności, dopóki nie przybyłem na Heliosa, gdzie sny nabrały mocy. Jeszcze teraz się zastanawiam, czy wiara nie jest przedłużeniem szaleństwa. Nigdy nie wątpiłem w skuteczność szaleństwa: w chaosie jest mým niezmiennikiem i punktem odniesienia.

Pierwszy sen pojawił się, kiedy miałem... ile lat? Jedenaście, dwanaście? Nie więcej. Ojciec mnie ściagał, a ja ukryłem się w jaskini złotego światła, mgły z pulsującego, przemieszczającego się światła, które miało głos, ale głosu tego - zbyt nieogarnionego - prawie nie mogłem usłyszeć. Byłem ledwie słowem przezeń wypowiedzanym, a wokół mnie ustawiły się inne słowa, które pragnąłem zrozumieć, bo w przeciwnym razie miałem być wygnany z tego światła. Równania Słoneczne - które, zda się, spłynęły raczej na mnie, niż wynikły z rozumowania - stanowią wcielenie owych przemieszczeń, tych tajemnych praw, które wyczułem w złotym świetle; wskazują złożone procesy, zdolność łączenia się i rozpadu, którą przeczuwałem w każdym śnie. Ilekroć na nie patrzyłem, odczuwałem drżenie ciała i duszy, jakby zapowiadały nadejście głębokiej przemiany i... Znów rozległ się brzęczyk, niewątpliwie kolejne wezwanie Brenta, więc go zignorowałem. Zająłem się odczytami z liczników cząsteczek, rejestrowanymi przez komputery stacji. Kiedy odkryłem, że emisje protonów z dziury koronalnej Pajaka są nieprzypadkowe - aż kusi mnie, by powiedzieć: kodowane - wpadłem w uniesienie, szczególnie iż badanie owych rozbłysków zainspirowało mnie do rozbudowania Równań Słonecznych. Wciąż jednak były fragmentaryczne i miałem przekonanie, że aby je uzupełnić, powinienem znaleźć się bliżej

Pajaka... może wziąć udział w jednym z lotów do koronosfery. Następnie pojawił się strach. Uzmysłowiłem sobie, iż możliwa jest taka potęga Pajaka, że owe emisje są żywymi artefaktami, komponentami strukturalnymi, które zachowują cienką linię łączności z resztą jego ciała. Skoro tak, pod jego obserwacją mogą się znajdować komputery, cała stacja... albo nawet pod jego władzą. Próby udowodnienia tej tezy okazały się daremne, ale owa daremność była sama w sobie odpowiedzią twierdzącą: komputery nie są zdolne do wykrętów, a oczywiście, że miałem do czynienia z jakąś postacią wykrętu. Brzęczyk umilkł, ja zaś zacząłem stawiać sobie pytania. Do tej pory działałem przy założeniu, że Pajak wezwał mnie jakimś sposobem, ale teraz wyłaniała się również inna możliwość. Czyżbym to ja pobudził go do życia? Bombardowałem protonami dziury koronalne, czyż nie? Więc może podkształciłem jakiegoś bezrozumnego stwora... albo powołałem go do życia. Czy moje sny były wyjątkowo złożonym i skutecznym kompleksem iluzji, czy też okazałem się może szaleńcem, który przypadkowo miał rację? Moim kolegom owe rozważania mogły się wydawać nieistotne; kiedy jednak odniosłem je do pragnienia, by jeszcze bardziej przybliżyć się do Pajaka, nabrały nagle niezwyklej dla mnie ważności. Jak mogłem zaufać takiej potrzebie? Spoglądałem na Pajaka, na jego ramiona falujące w rozciągniętym na dziesięć tysięcy kilometrów tańcu, na powolne zmiany ich położenia względem siebie, przypominające płas boginii Kali z mitów jeszcze mniej jasnych. Na mój strach nie było już żadnych lekarstw. Przerwałem pracę, naładowałem się środkami przeciwmajakowymi - a przecież nic nie mogłem uczynić, aby osłabić mą podstawową obawę; że Pajak użyje swego panowania nad komputerami (jeśli istotnie panuje nad nimi) w celu manipulowania moją osobą.

Wyłączyłem holotank i wyszedłem na korytarz z myślą, że warto wypić parę drinków. Nie uszedłem i dziesięciu kroków, gdy zaczął mnie Brent; przepchnąłem się obok niego, ale ruszył za mną. Roztaczał aurę fałszywej serdeczności, jeszcze mniej naturalnej niż zwykła służalczość. - Wyniki - powiedział. - To u nas kluczowa sprawa, Reynolds.

Popatrzyłem nań spode łba.

- Nie stać na rozrzutność - ciągnął - więc jeśli masz jakiś problem, może potrzebne ci świeże spojrzenie. Chętnie zerknę... Pchnąłem go biodrem, aż się zatoczył, ale nie zepsuło mu to nastroju. - Nawet najlepsi z nas trafiają na mury nie do przebicia powiedział. - A w twoim przypadku, cóż - ile to czasu minęło od twojej ostatniej poważnej pracy? Osiem lat? Dziesięć? Na fali młodzieńczych sukcesów można tylko płynąć przez...

Mój niepokój eksplodował wściekłością. Władowałem mu pięść w brzuch, aż siadł na podłodze dysząc jak wyciągnięta z wody ryba. Miałem już go kopnąć, gdy złapały mnie od tyłu ręce ubranego na czarno strażnika. Gdy się wyrwałem przeklinając Brenta, włączyło się dwóch następnych. Jeden z nich pomógł Brentowi wstać i spytał, co mają ze mną zrobić. - Puście go - powiedział masując kałdun. - Ten facet jest niepoczytalny.

Rzuciłem się na niego, ale odepchnięto mnie. - Ty sukinsynu ! - wrzasnąłem. - Ty wazeliniarski gnojku, zatłukę cię, przysięgam...

Strażnik zafundował mi następne pchnięcie.

- Proszę, Reynolds - powiedział Brent pojednawczo.- Nie martw się... dopilnuję, żebyś został właściwie potraktowany. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale byłem zbyt wściekły, żeby się zastanawiać. Gdy się oddalał pod opieką strażników, posłałem za nim jeszcze kilka zniewag.

Straciwszy nastrój na miejsca publiczne wróciłem do apartamentu, gdzie siedziałem skrobiąc bezsensowne notatki i gapiłem się na wypełniający całą ścianę wizerunek Pajaka. Byłem tak rozstrojony, że nie zauważyłem wejścia Carolyn, dopóki nie znalazła się tuż obok mnie. Kolory Pajaka przepływały po niej migotliwie, rozpalając na pozór jej sylwetkę. - Co robisz? - zapytała siadając na podłodze.

- Nic. - Odrzuciłem notatnik.
- Coś się stało?
- Wcale nie... jestem po prostu zmęczony.

Przypatrywała się beznamiętnie.

- To Pająk, prawda?

Powiedziałem, że tak, praca nastrocza mi trudności, ale nie są one poważne. Nie jestem pewien, czy tak jej pożałowałem, jak mi się zdawało, czy też użyłem seksu, żeby nie dopuścić do kolejnych pytań. Jakkolwiek było naprawdę, opadłem na podłogę obok niej, pocałowałem, dotknąłem jej piersi i wkrótce byliśmy w tym sekretnym miejscu, gdzie - jak myślałem - nie sięgną nawet oczy Pajaka. Powiedziałem, że ją kocham, w ten pozbawiony tchu gorączkowy sposób, jaki jest w mniejszym stopniu wyznaniem intymnym, w większym zaś - posapywaniem, dostosowywaniem oddechu do ruchów. Był to jedyny sposób, jakim kiedykolwiek potrafiłem jej przekazać lepszą część moich uczuć. Dlatego chyba, że czułem wstyd, iż nie kochamy się częściej. Gdy było po wszystkim, zorientowałem się, że chce powiedzieć coś ważnego: miała to wypisane na twarzy. Ale nie chciałem słuchać, dać się złapać w pułapkę na jakimś nowym poziomie intymności. Odwróciłem się od Carolyn, układając w myślach słowa, które zasygnalizują moją potrzebę samotności, i rzuciłem spojrzenie na ścianę, gdzie Pająk wciąż tańczył... tańczył w taki sposób, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. Jego barwy przechodziły przez spektrum czerwieni i fioletów, a ramiona wiły się w rytmie każącym myśleć o rytmie seksu: wolnym początku i wścieklej gonitwie ku spełnieniu... jakby podglądał, a teraz przedrzeźniał nasze czynności. Carolyn wymówiła moje imię, ale byłem zahipnotyzowany widokiem i nie potrafiłem odpowiedzieć. Ostro wciągnęła powietrze, a parę sekund później usłyszałem, jak przemierza pokój i wychodzi. Pająk poniechał tańca zastygając w jednym ze swych normalnych wzorów. Podniosłem się ospale, podszedłem do pulpitu i wyłączyłem przycisk projekcji. Ale obraz nie zniknął. Zamiast tego barwy Pajaka pojaśniały, przechodząc od ognistej czerwieni do złota, a później bieli tak rozjarzonej, że musiałem przysłonić oczy. Niemal czułem na skórze jego żar, niemal słyszałem syczący pocałunek rozpalonego głosu. Byłem pewien, że jest w pokoju; wiedziałem, że spłonę, zostaną wchłonięty przez ten piekący żar, i zawołałem Carolyn, nie chcąc, by zostały przemilczane te wszystkie rzeczy, które przed nią skrywałem. Potem mój strach sięgnął takich proporcji, że omdlałem i zapadłem w sen; nie koszmar, jakiego można było oczekiwać, ale sen o bezkresnym mieście, w którym doświadczyłem mnogości przygód i odnalazłem spokój.

„Aby zrozumieć Dulambre’a, trzeba przyjrzeć się bliżej jego stosunkom z ojcem. Alex Dulambre był muzykiem i poetą, uważanym za jednego z twórców pływów: popularnej formy tanecznej z wykorzystaniem improwizacji poetyckiej. Był barokowy, przystojny, amoralny i przymioty te, połączone z talentem uwodzicielskim, powiodły go na dwudziestopięcioletni rajd przez buduary wpływowych kobiet, od zespolonych wieżyc Abidżanu do Ogrodów Nowosybirsk i w końcu na mozambicką plażę, gdzie w wieku czterdziestu czterech lat poniósł okropną śmierć jako ofiara neurotoksyny przypuszczalnie zsyntetyzowanej dlań przez znaną chemikę Virginie Holland. To Virginia jest, jak się uważa, matką Reynoldsa, ale nie przeprowadzono nigdy żadnych testów, które potwierdziłyby tę pogłoskę. Wiemy z pewnością tylko to, że pewnego ranka Alex otrzymał skrzynię ze sztucznym łonem, a w nim embrión syna. Załączony formularz zawierał dowód ojcostwa i notatkę, iż matka nie życzy sobie pamiątki, która przypominałaby jej o popełnionym błędzie.

Alex nie odczuwał żadnej odpowiedzialności za dziecko, ale spodobało mu się, że może dołączyć do swego orszaku członka rodziny. I tym sposobem czternaście pierwszych lat swego życia Reynolds spędził w nieustannej podróży, śpiąc na podłogach, pożywiając się resztkami z wczorajszego przyjęcia i mając ogólnie poczucie, że jeśli nawet nie jest odepchnięty, to na pewno ignorowany. W akcie samoobrony przed odepchnięciem i charyzmą ojca Reynolds nauczył się kopiować barokowość Alexa i rozwinął podobny kunszt oratorski. W wieku lat jedenastu występował regularnie z kapelą ojca, tworząc popularną sekwencję pływów, która opiewała czyny

wszechmocnego czarnoksiężnika i niedole tych, co wystąpili przeciwko niemu. Alex był dumny z tych występów: widział się bardziej w roli starszego brata niż ojca i upierał się, by właśnie na sposób braterski edukować Reynoldsa w wiedzy o świecie. W tym celu nakazał jednej ze swych kochanek uwieść chłopca w dniu jego dwunastych urodzin; od tej chwili Reynolds naśladował również wszystkożerną lubieżność ojca. W istocie wyglądali na braci, a widząc, jak Alex otacza ramieniem barki syna, postronny obserwator mógłby nawet wyciągnąć wniosek, że są sobie jeszcze bliżsi. Ale nie łączyła ich silna więź, tylko historia poniżeń. Nie znaczy to wcale, iż śmierć ojca - której był świadkiem pozostawiła Reynoldsa obojętnym. Widok agonii Alexa przyprawił go o silny uraz i lęk przed śmiercią o niemal patologicznym charakterze. Gdy rozważymy ów lęk w połączeniu z trudnością, jaką sprawiało mu artykułowanie słów miłości - dziedzictwo obojętności ojca - pojmimy o wiele głębiej tak jego problemy małżeńskie, jak i obsesję nieśmiertelności w każdej formie - nawet takiej, jaką symbolizuje dziecko...”

Z Ostatniego alchemika

Russella E. Baretta

Sześć miesięcy po implantacji córki Reynoldsa w sztucznym łonie natknęłam się na Davisa Brenta w jednej z kopuł rekreacyjnych, gdzie zaczęłam spędzać popołudnia na słuchaniu muzyki i spisywaniu pamiętnika moich dni z Reynoldsem, powstrzymując się wszakże od niewierności. Dziecko i obawa o stan psychiki Reynoldsa nastroiły mnie konserwatywnie: należało podjąć ważne decyzje, działy się rzeczy niepokojące i nie chciałam, by mnie cokolwiek rozpraszało.

Ta konkretnie kopuła należała do mniejszych i miała ściany z hologramów Maxfielda Parrisha przedstawiających alabastrowe kolumny i łukowe, zwieńczone wolutami przejścia, za którymi rozpościerał się surowy górski pejzaż skąpany w pastelowym blasku zachodzącego słońca; goście zasiadali przy marmurowych stołach, a zgrzebność burych kombinezonów gryzła się z przepychem wystroju. Siedząc tam i pisząc, czułam się jak smętna i pokrzywdzona damulka z jakiejś zapomnianej epoki, którą żalonym szlakiem pamiętnikarstwa pchnął zawód miłosny.

Nie zapytawszy o pozwolenie Brent opadł na ławkę po drugiej stronie stolika i wbił we mnie wzrok. Uśmiech wyginał kąciaki jego warg. Czekałam, aż się odezwie, ale w końcu zapytałam, czego sobie życzy. - Tylko złożyć gratulacje - odparł.

- Z jakiej okazji?

- Z okazji twojej córki.

Implantacji dokonano w tajemnicy i byłam wściekła, że odkrył mój sekret.

Nim zdołałam wydusić słowo, obdarzył mnie obłudnym uśmiechem i powiedział:

- Jestem administratorem i niewiele się tu dzieje bez mojej wiedzy. Z kieszeni kombinezonu wyciągnął skórzane etui w rodzaju tych, jakich używa się do noszenia hologramów.

- Ja też mam córeczkę, urocze dziecko. Wysłałem ją na Ziemię kilka miesięcy temu. - Otworzył etui, popatrzył na zawartość i ciągnął głosem przesyconym osobliwym napięciem. - Kazałem komputerowi sporządzić jej portret takiej, jaka będzie za kilka lat. Masz ochotę zerknąć? Wzięłam futerał i zdrętwiałam. Przedstawiona w holo dziewczynka miała siedem albo osiem lat i była uderzająco podobna do mnie w tym wieku. - Nie powinienem był jej odsyłać - powiedział Brent. Wygląda na to, że łono trafiło nie na ten statek, co potrzeba, i pewnie nie da się go odnaleźć. Nawet dokumenty pozamieniano. A technik, który dokonał implantacji, wrócił tym samym statkiem i przepadł z pola widzenia. Zerwałam się na nogi, ale złapał mnie za ramię i siłą posadził. - Sprawdź, jeśli sobie życzysz - oświadczył. - Ale to prawda. Najlepiej przysłuchasz się sprawie jej odnalezienia słuchając tego, co powiem. - Gdzie ona jest? - Chorobliwy dreszcz przepelzł przeze mnie i wydawało się, że serce nie bije mi, lecz drży.

- Kto wie? W Sao Paulo, Paryżu. Może w jednym z Rezerwatów Miejskich.

- Proszę - wyrzuciłam z trudem. - Sprowadź ją z powrotem.

- Jestem pewien, że zdołamy ją odnaleźć, jeśli połączymy siły.

- Czego chcesz, czego mógłbyś ode mnie chcieć?

Znów się uśmiechnął.

- Na początek kopii tajnych notatek twojego męża. Chcę wiedzieć, nad czym pracuje.

Nie miałam oporów przeciwko wyjawieniu mu tej sprawy; cała moja troska dotyczyła dziecka.

- Bada możliwości życia na Słońcu.

Ta odpowiedź wyraźnie zbiła go z tropu.

- To śmieszne !

- Ale prawdziwe, znalazł je !

Wytrzeszczył oczy.

- Nazywa go Pajakiem Słonecznym. Jest olbrzymi... i zbudowany z jakiegoś rodzaju plazmy.

Brent palnął się w czoło, jakby wymierzając sobie karę za przeoczenie.

- Oczywiście! Ten fragment z Dzienników!

Ze zdumieniem potrząsał głową.

- Ten cały metafizyczny bełkot o życiu makromolekularnym... Nie mogę uwierzyć, że jest oparty na konkretnych podstawach. - Pomogę ci - powiedziałam. - Ale błagam, sprowadź ją z powrotem.

Wyciągnął ramię nad stołem i pogłaskał mnie po policzku. Zesztywniałam, ale się nie odsunęłam.

- Nie mam najmniejszej ochoty sprawić ci bólu, Carolyn. Daję słowo, wszystko jest pod kontrolą.

Pod kontrolą.

Teraz odnoszę wrażenie, iż miał rację i że ową siłą kontrolującą nie był wcale człowiek czy stworzenie, ale taki zbieg prawdopodobieństw i pragnień, jaki może spowodował ową pierwszą iskrę, co rozpałała gwiazdy. W ciągu dwóch najbliższych tygodni spotykałam się z Brentem kilkakrotnie, każdorazowo dostarczając mu jakieś pakiety Reynoldsa. W końcu pozostał do zdobycia jeszcze tylko jeden i upewniłam Brenta, że wkrótce doń dotrę. Jakże go nienawidziłam ! A przecież byliśmy współnikami. Ilekroć spotykaliśmy się w czterech nagich metalowych ścianach jego pracowni wypełnionej tylko terminalami komputerów, rozważaliśmy sposoby odwrócenia uwagi Reynoldsa po to, by mi ułatwić kradzieże. Pewnego razu zapytałam, dlaczego postanowił pasożytować na pracach Reynoldsa, skoro nigdy go nie podziwiał. - Och, ależ podziwiam go - odparł. - Naturalnie, gardzę stylem jego życia, seansami narkotycznymi i satyryzmem jako metodą naukową. Ale nigdy nie wątpiłem w jego geniusz. Cóż, przecież to ja zaaprobowiałem jego stypendium tutaj.

Na mojej twarzy musiało odmalować się niedowierzanie, bo mówił dalej:

- To prawda. Wielu członków zarządu uważało, że trzeba mu odmówić, wychodząc z założenia, że nie jest już zdolny do poważnej pracy. Ale ujrzawszy Równania Słoneczne pojąłem, że wciąż stanowi siłę, z którą należy się liczyć. Przyglądałaś się im?

- Nie rozumiem ich strony matematycznej.

- Jakkolwiek fragmentaryczne, są zdumiewające, eleganckie. W ich strukturze jest coś mistycznego. Masz wrażenie, że nie musisz ich studiować, że wystarczy wpatrywać się w nie odpowiednio długo, a wpłyną same do twego mózgu i coś w nim zmienią. - Zrobił palcami kominiarza. - Miałem nadzieję, że skończy je tutaj, ale... cóż, może to ten ostatni pakiet.

Powróciliśmy do naszego planowania. Reynolds rzadko teraz opuszczał mieszkanie i uznaliśmy z Brentem, że czas działania przyjdzie podczas jego przyjęcia urodzinowego w przyszłym tygodniu. Reynolds bez wątpienia mocno się zaćpa, a ja będę mogła wślizgnąć się do jego gabinetu i zyskać dostęp do komputera. Skoro dyskusja została podsumowana, Brent podszedł do drzwi swojego apartamentu, odryglował je i zaprosił mnie na drinka. Odmówiłam, ale nalegał i w końcu weszłam przed nim do środka. Mieszkanie urządzone było z uderzająco złym smakiem. Jedyne oświetlenia dostarczały meble z przezroczystej substancji, jarzącej się niezdrowym,

błękitnozielonym blaskiem. Na jednej ze ścian wisiał pod szkłem dwudziestowieczny plakat z wierszem zatytułowanym „Desiderata”, sięgającym treścią wyżyn ckliwego romantyzmu. Inne ściany obwieszane były czymś, co sprawiało zrazu wrażenie antycznych gobelinów, ale przy bliższej inspekcji okazało się pornograficznymi falsyfikatami przedstawiającymi sceny takie jak kopulacja kobiet z jeleniami. Biorąc pod uwagę te szczegóły wystroju uznałam potępienie, jakie wobec prywatnego życia Reynoldsa okazywał Brent, za hipokryzję. Nalał z karafki wina i prowadząc banalne pogaduszki dotykał mnie od czasu do czasu, tak samo jak podczas naszego pierwszego spotkania. Niekiedy zdobywałam się na uśmiech i na koniec, sądząc, że okazałam się już dostatecznie uległa, oznajmiłam, że muszę iść.

- Och, nie - powiedział obejmując mnie ramieniem w pasie. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Odepchnęłam jego ramię; nie był zbyt silny.

- Więc dobrze - dotknął przycisku w ścianie i drzwi na korytarz stanęły otworem. - Idź.

Ostre białe światło wlewające się przez drzwi przemieniło go w mroczną sylwetkę i nadało słowom pozór groźby.

- No, idź. - Wysączył swe wino. = Nie mogę cię zatrzymać. Boże, myślał, że jest sprytny ! I był... sprytniejszy niż ja, może nawet sprytniejszy niż Reynolds. I choć miał się przekonać, że i spryt, szczególnie skonfrontowany z geniuszem losu, ma swoje granice, tym razem osiągnął swoje.

- Zostanę - powiedziałam.

„... W tańcu Pająka, w jego tworzących wzory zmianach koloru, w rytmicznym falowaniu ognistych ramion, był rodzaj mowy, tej mowy, którą usiłowały wytłumaczyć Równania; mowy moich snów. Siedziałem godzinami obserwując go; zarejestrowałem na małych hologramach kilka sekwencji i nie rozstawałem się z nimi mając nadzieję, że ich bliskość wyjaśni brakujące partie Równań. Osiągnąłem pewien postęp, ale doszedłem do wniosku, że takiej bliskości, jakiej naprawdę potrzebuję, dostarczy tylko wyprawa ku Słońcu - i wątpiłem, czy mam odwagę, by po nią sięgnąć. Tym niemniej z moim tchórzostwem ścierało się piękno, jakie począłem dostrzegać w tańcu Pająka, hipnotyczny wdzięk; nęcił w podobny sposób, jak tancerka z Bali. Począłem wierzyć, że ruchy owe przekazują wszechwiedzę i wszechmożliwość. Moje sny jeły się wypełniać postaciami, których dotąd nie uważałem za prawdopodobne - smokami, skrzatami, ludźmi o rozjarzonych dłoniach albo świecącymi w całości, zbudowanymi z upiornej ziarnistej bieli; teraz istoty owe sprawiały na mnie wrażenie nie tylko możliwych, ale wielce prawdopodobnych mieszkańców świata, którego obraz wyostrzał się coraz bardziej i bardziej i który pociągał mnie z ogromną siłą. Czasem przez cały dzień wylegiwałem się w łóżku licząc na więcej snów o tym świecie i o czarnoksiężniku, co nim włada. Niewykluczone, iż używałem tych snów, aby unikać stawiania czoła trudnemu i napawającemu strachem wyborowi. Ale prawdę mówiąc zwątpiłem ostatnio, że wybór w istocie zależy ode mnie.”

Z Zapisków zebranych
Reynoldsa Dulambre

Niewiele pamiętam z przyjęcia, a jeśli już coś, to zarejestrowane w oszołomieniu migawki piersi, ud, spoconych ciał, zakrytych powiekami oczu. Pamiętam pływ wykonywany przez grupę techników. Grali muzykę Alexa jako hołd i cofnąłem się pamięcią do moich lat ze starym bękartorobem, do bicia, zaskakiwania go w łóżku z kochanicami, do wysłuchiwania jego homilii. I, rzecz jasna, przypomniałem sobie tę noc w Mozambiku, gdy patrzyłem, jak szarpie pazurami oczy i twarz. Jak wyrzuje bomby krwi, niezdolny do wrzasku, bo odgryzł sobie język. Wytrzeźwiająwszy powstałem na nogi i powędrowałem do łazienki, która wprawdzie była już mniej zatłoczona, ale wciąż zbyt nabita jak na mój na strój. Złapałem szlafrok, zawiązałem go i otworzyłem drzwi do pracowni. Kiedy wszedłem, Carolyn odskoczyła od komputera. Na ekranie widać było coś, co

sprawiało wrażenie stronicy z moich tajnych pakietów. Próbowala wyłączyć monitor, ale złapałem ją za ramię i sprawdziłem stronę: miałem rację.

- Co robisz? ! - wrzasnałem odrywając ją od komputera. - Byłam ciekawa - próbowała się wyszarpnąć.

Potem spotrzełem przyklejony do komputera mikroblok; rejestrowala.

- Co to jest? - spytałem wykręcając ją, by go zobaczyła. Co to jest?

Dla kogo, u diabła, pracujesz?

Zaczęła płakać, ale mnie to nie ruszało. Zdradzaliśmy się wzajemnie tysiące razy, ale nigdy do tego stopnia.

- Niech cię cholera! - spoliczkowałem ją. - Kto to jest? Wyrzuciła z siebie opowieść o planie Brenta, o jego żądaniach. - Przepraszam - powiedziała z płaczem.

- Przepraszam. Doświadczyłem wówczas czegoś, czego nie potrafiłbym określić mianem strachu, gniewu czy jakiegokolwiek konkretnego uczucia. Wyobraziłem sobie dziecko, strzęp mojej duszy, ginące w otchłaniach jakiegoś ziemskiego ścieku. Zrzuciłem szlafrok i wskoczyłem w kombinezon.

- Dokąd idziesz? - zapytała Carolyn ocierając łzy.

Zaciągnąłem suwak kombinezonu.

- Nie ! - Carolyn próbowała oderwać mnie od drzwi. - Nic nie rozumiesz

!

Odepchnąłem ją, zaryglowałem za sobą drzwi i precyzyjnie się przez tłum gości wypadłem na korytarz. Ogarnęła mnie wściekłość. Musiałem Brentowi dołożyć. Miałem w głowie taki zamęt, że dotarwszy do jego apartamentu nie dostrzegłem nic podejrzanego w fakcie, iż drzwi są otwarte... choć później zdałem sobie sprawę, że musiał mieć na przyjęciu szpicla, który miał go ostrzec w razie kłopotów. Z wyrazem samozadowolenia na twarzy Brent siedział rozwalony w jednym z tych groteskowych świecących foteli i raczej ta mina niż cokolwiek innego, niż nawet słabe szuranie za moimi plecami, ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem. Zakręciłem się na miejscu i zobaczyłem strażnika unoszącego laser, żeby we mnie wymierzyć. Rzuciłem mu się pod nogi czując przy uchu eksplozję gorąca, i obaj upadliśmy. Próbował wbić mi palce w oczy, ale się wykręciłem i chwyciwszy go oburącz za włosy zacząłem walić jego głową o ścianę. Przy trzecim uderzeniu dźwięk był łagodniejszy niż przy dwóch poprzednich i poczułem, że kości czaszki przesuwają się pod skórą jak potrzaskane dachówki w worku. Przerażony, ale nadal wściekły, zsunąłem się ze strażnika. A kiedy zobaczyłem, że fotel Brenta jest pusty, kiedy usłyszałem wrzask w korytarzu, nawet pojmując, że te wrzaski ściągną następnych strażników, zbiesiłem się do tego stopnia, że zupełnie nie przejęty własnym losem chciałem tylko zobaczyć Brenta martwym.

Kiedy wypadłem z apartamentu, mijał w pędzie zakręt korytarza. Mój laser osmalił ścianę za jego plecami tuż przedtem, nim znikł mi z oczu. Pobiegłem za nim. Rozsunęło się kilkoro drzwi wzdłuż korytarza, pokazały się w nich głowy i zniknęły na mój widok. Minawszy zakręt dostrzegłem Brenta i wystrzeliłem ponownie... przenosząc o kilka centymetrów. Nim zdołałem wymierzyć lepiej, z boku korytarza wyprysnęło kilku strażników, którzy wciągnęli go za osłonę. Ich promienie nakreśliły rozjarzone krechy obok mego biodra i u stóp, więc zacząłem się cofać, wciąż prowadząc ogień i waląc w mijane drzwi z myślą, że zabarykaduję się w którymś z pomieszczeń i spróbuję zdemaskować kłamstwa Brenta, rozgłosić jego oszustwo przez interkom. Ale nie otworzyły się drzwi żadnego pokoju, mieszkańców bowiem najwidoczniej przerażała moja broń. Dwaj strażnicy wystawili głowy zza zakrętu i wystrzelili, a od jednego z promieni zajął się materiał na kolanie mego kombinezonu. Zdusiłem płomień i pogałem co sił w nogach. Z tyłu rozbrzmiewały wrzaski, a snopy rubinowego światła cięły powietrze nad moją głową. Dostrzegłem przed sobą czerwone drzwi wiodące do węzła cumowniczego, więc nie mając żadnego wyboru otworzyłem je i popędziłem wąskim korytarzykiem. Pierwsze trzy stanowiska cumownicze były puste, ale obok

klapy wiodącej do czwartego paliło się niebieskie światło sygnalizujące obecność statku. Wsunąwszy się do wewnątrz zatrzasnąłem pokrywę i podążyłem tunelem do śluzy; zaryglowałem ją i osłonięty siatką mostka pobiegłem w kierunku sterowni, do radia. Miałem właśnie wejść do niej, gdy poczułem, że przez statek przebiega drzenie - pojąłem, że odcumował i ruszył ku Słońcu. Ogarnięty paniką wpadłem do sterowni. Fotele ustawione przed pulpitem sterowniczym były puste, sam zaś pulpit migotał światłkami; statkiem kierował komputer. Zasiadłem do instrumentów próbując przejąć kontrolę, ale żadne wysiłki nie przynosiły efektu. Potem z głośników dobiegł głos Brenta.

- Zyskałeś trochę czasu, Reynolds - powiedział. - Ale nic więcej.

Dostaniemy cię, gdy statek powróci.

Roześmiałem się.

Żywiłem do tej pory nadzieję, że to on doprowadził do startu, ale z jego słów wynikało jasno, że zmierzam oto ku konfrontacji, której tak długo próbowałem uniknąć, wiedziony przez komputer znajdujący się pod kontrolą istoty ściganej przeze mnie całe życie, istoty z ognia i snów, z takiej materii, jak dusze. Wiedziałem, że tego nie przeżyję. Choć jednak zawsze myśl o śmierci mnie przerażała, teraz - gdy śmierć była tuż tuż - stałem się osobliwie pewny i spokojny... na tyle spokojny, by nadać te słowa, obejrzeć wnętrze mojej trumny, a nawet przestudiować instrukcję wyjaśniającą jej działanie. Nigdy nie próbowałem zrozumieć funkcjonowania sond słonecznych i z ciekawością czytałem teraz o zasadach wykorzystywanych w każdym locie. Zbliżając się do Słońca statek odczytuje kierunek pola magnetycznego i określa, czy archimedejska spirala wiatru słonecznego skierowana jest na zewnątrz.

O ile wszystko jest jak należy, opuści się na odległość mniejszą niż jedna j.a. i przemknie przez otwarte pole magnetyczne dziury koronalnej. Będzie gnać z tak ogromną prędkością, że zachowa się jak naładowana cząsteczka schwytna w polu magnetycznym: gdy pole się otworzy, statek zostanie na powrót odrzucony w kierunku Heliosa... to znaczy zostanie odrzucony, jeśli interesującej nas dziury koronalnej nie zamieszkuje istota żyjąca z pozbawiania cząsteczek ich ładunku. Ale prawdopodobieństwo takiej sytuacji jest niewielkie.

Zastanawiałem się, co odczuję pozbawiany swego ładunku. Nie mam ochoty na takie męczarnie, jakie wycierpiał ojciec. Im bliżej jestem Słońca, tym staję się spokojniejszy. Moje doczesne ułomności zdają się ze mnie opadać. Czuję się czysty i nieznaczący, i mam przekonanie, że wnet będę jeszcze prostszy - ot, esencjonalna szczypta człowieka. Tak niewiele zostało mi pragnień, że myślę tylko, by powiedzieć rzecz jedną.

Carolyn, ja...

„... Polem złotych traw pod jasnym niebem kroczy mężczyzna, kroczy bez ustanku, choć nie ma widocznego celu, bo równina rozciąga się po horyzont, a jego myśli są kryształowo czyste i czyste ma też serce, gdyż jego przeszłość stała się częścią teraźniejszości, a przyszłość - dostrzegalna jako dywan złotej trawy wyściełającej dalekie wzgórza, za którymi na kształt błysku prawdopodobieństwa skrzy się miasto - jest równie potoczysta i jasna jak myśl, i mężczyzna wie, że kształt jego przyszłości nada ten marsz, ta myśl i moc w jego dłoniach, a szczególnie ta moc; i wszystko to sprawia, że pragnie teraz przemówić do kobiety, której miłość odrzucił, której ciało ma czystość jasnego promiennego nieba i złotych traw, która zawsze, nawet w krainie łągarstw, była sercem jego życia, a tu, w głębi krainy prawdy, jest na koniec prawdziwie kochana...”

ze Śmiałego Kochanka

części „Cyklu Białego Smoka”

Gdy Reynolds ukradł statek słoneczny - tak właśnie, jak mnie poinformowano, wyglądała sprawa - Brent uwięził mnie w areszcie domowym i oskarżył o knucie wraz z Reynoldsem spisku na jego życie. O śmierci Reynoldsa dowiedziałam się od strażnika, który tego pierwszego wieczoru przyniósł mi kolację; opowiedział, że ze Słońca wystrzeliła protuberancja (wyobraziłam ją sobie

jako ognistą wędkę) i spopielila statek. Szlochałam bez opamiętania. Nawet wówczas, gdy komputery zaczęły tłumaczyć emitowane z dziury koronalnej Pajaka kodowane rozbłyśki molekularne, nawet gdy okazały się one pełnymi Równaniami Słonecznymi ujętymi nie tylko matematycznie, ale także w formę zrozumiałą dla laika, płakałam nadal. Zbyt byłam pogrążona w rozpacz, by uzmysłowić sobie, co zapowiadają. Mogłam się z nimi zapoznać za pomocą komputera Reynoldsa, a gdy opowieści z „Cyklu Białego Smoka” wypłynęły na światło dzienne, zrozumiałam, że ktokolwiek je stworzył - lub cokolwiek je stworzyło - mnie w szczególności miał coś do powiedzenia. Przekonał mnie o tym Śmiały Kochanek, pierwszy utwór cyklu, ze swoimi licznymi odniesieniami do pięknych skrzywdzonych kobiet. Wciąż na nowo odczytywałam opowieść i przypominałam sobie wówczas opis uczuć Brenta podczas studiowania Równań. Zogniskowały się na mnie jakieś magiczne soczewki, czułam pulsowanie w ciele i zamieszanie w głowie... nie chaos impulsów, ale myśli, które biegnąc wedle nowego wzoru zderzają się ze sobą jak atomy emitowane przez reaktor, co wymknął się spod kontroli. Straciłam rachubę czasu, żyłam wśród fal złotej trawy, w egzotycznym mieście, gdzie pojęcia jedności i rozdzielności sobie nie przeczą, gdzie zbrodniarze, bohaterowie i bestie symbolizują rytualne namiętności, gdzie miłość jest wszechwładnym pulsem istnienia.

Któregoś dnia Brent złożył mi wizytę. Rozdęty poczuciem własnej ważności i triumfu. I choć go nienawidziłam, emocje wydawały się czymś marginalnym wobec mego celu - celu, który jego wizyta pomogła określić - i zareagowałam nań łagodnie, obserwując, jak z uśmiechem przemierza pokój i spogląda na mnie.

- Jesteś spokojniejsza niż się spodziewałem - powiedział. Nie miałam dla niego słów, tylko spokój. W mojej głowie Śmiały Kochanek spoglądał w kryształ Poznania oczekując przybycia Mocy. Mam wrażenie, że też się uśmiechnęłam.

- Cóż - powiedział. - Nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Ale rad jestem z rezultatu. Pajak będzie wielkim zwycięstwem Reynoldsa... tego nie da się ominąć. Ale jednak zdołałem załatwić sobie rolę Sanczo Pansy przy jego Don Kichocie: racjonalisty, który powiodł szaleńca właściwą drogą.

Mój uśmiech był brzytwą, nożem, płomieniem.

- Zupełnie starczy - ciągnął - żeby zagwarantować mi stanowisko... a może i nieśmiertelność.

Przemówiłam doń niesłyszalnym głosem, który wyrzekł „Śmierć”. W jego zachowaniu było coraz więcej podniecenia; kręcił się po pokoju, dotykał rzeczy.

- Co mam z tobą zrobić? - powiedział. - Nie mam najmniejszej ochoty oddawać cię pod sąd. Nasze wspólne noce... cóż, dość powiedzieć, że byłbym najszczęśliwszy na świecie, gdybyś została ze mną. Co myślisz? Mam świadczyć za tobą, czy wolisz odsiadkę w Rezerwach Miejskich? Brent, Brent, Brent. Jego nazwisko dawało swoisty wybór.

- Może chcesz mieć czas na zastanowienie? - spytał.

Zapragnęłam, żeby mój oddech stał się trujący.

Ruszył ku drzwiom.

- Gdy podejmiesz decyzję, powiedz tylko strażnikowi na zewnątrz. Do przybycia statku masz dwa miesiące. Założę się, że wybierzesz przetrwanie. Moje oczy posłały mu pocałunek śmierci.

- Naprawdę, Carolyn - stwierdził. - Nigdy nie byłaś wierną żoną. Nie sądzisz, że ta żalobna poza trochę koliduje z twym charakterem? Potem wyszedł, a ja wróciłam do lektury.

Miłość.

Jaką grała rolę w moim pragnieniu zemsty, w moim wściekłym spokoju? Smutek może odgrywał większą, ale miłość była z pewnością ważnym czynnikiem. Taka miłość, jaką praktykował Śmiały Kochanek. Opowieść przekazywała to niewzruszone uczucie, a moja rozpacz nadawała mu mściwą

formę. Moje poczucie nierzeczywistości, rozedrganego istnienia, potęgowało się z dnia na dzień i prawie nie dotykałam już posiłków. Nie jestem pewna, kiedy Równania wcielone w tę opowieść zakotwiczyły się we mnie; kiedy posiana wiedza przemieniła się w siłę. Sądzę, że było to dwa tygodnie po wizycie Brenta. Ale choć czułam już swe możliwości, swą potęgę, nie przystąpiłam do działania natychmiast. W istocie nie byłam pewna, czy potrafię działać i czy działanie będzie tą drogą, jaką wybiorę. Byłam obłąkana w taki sam sposób jak Reynolds: szaleństwem samowchłonięcia, koncentracji tak intensywnej, że wszystko o mniejszym natężeniu nie miało żadnego znaczenia.

Pewnej nocy przerwałam czytanie, poszłam do łazienki, założyłam przejrzysty szlafrok, a potem owinęłam się płaszczem z kapuzą. Nie miałam pojęcia, dlaczego to robię. Uwodzicielskie rytmy opowieści wiły się w mej głowie nie dopuszczając myśli. Przeszłam do pokoju frontowego i stanęłam twarzą do drzwi. Moim ciałem wstrząsnęły gwałtowne drgawki. Czułam się krucha, niematerialna, a przecież zarazem obdarzona fantastyczną potęgą: wiedziałam, że nic mi się nie oprze... ani stal, ani ciało, ani ogień. Pchnięta tym poczuciem pewności wyciągnęłam ku drzwiom prawą rękę. Dłoń jarzyła się biało, jej kontur migotał, palce wydłużały się i traciły spoistość zdając się falować we wdzięcznym tańcu. Wcale mnie to nie dziwiło. Wszystko było tak, jak być powinno. I nie uznałam za zdumiewające, że moja dłoń pogrzyżyła się w metalu drzwi. Czułam mechanizmy zamka; znałam, zda się - czy raczej znały moje nierzeczywiste palce - funkcję każdej drobiny metalu; po chwili drzwi rozsunęły się z sykiem. Zdumiony strażnik wsunął głowę, a ja schowałam dłoń za plecami. Cofałam się, pozwalając rozchylić się połom mojego płaszcza. Strażnik się zagapił, a potem zerknął na lewo i prawo wszedł za mną. - Jak dałaś sobie radę z zamkiem? - zapytał.

Nic nie odrzekłam.

Na próbę przekręcił klucz, a potem zatrasnął drzwi. Byliśmy w pokoju sami.

- Hm - powiedział - komputer musiał coś pokręcić. Podeszłam doń blisko, przechylając głowę jakby w oczekiwaniu pocałunku, a on uśmiechnął się i objął mnie w pasie. Jego usta wgniotły się w moje; moja prawa dłoń, działając na pozór samodzielnie, wślizgnęła się w jego bok i dotknęła czegoś, co przez parę sekund tłuło się opętańczo, a potem zastygło. Odepchnął mnie łapiąc się za pierś i zalewając na twarzy purpurą, po czym upadł na podłogę. Przystąpiłam go obojętnie i wyszłam na korytarz. Kroczyłam niespiesznie chowając pod płaszczem prawą dłoń. Dotarwszy do apartamentu Brenta nacisnęłam dzwonek; po chwili drzwi się otworzyły, a zaspany i zaskoczony Brent wystawił głowę. - Carolyn ! - wykrzyknął. - Jak się wydostałaś ? - Powiedziałam strażnikowi, że zamierzam z tobą zostać - i stosując tę samą taktykę, co wobec strażnika, rozchyliłam połę płaszcza. Jego oczy przywarły do moich piersi.

- Wejdz - powiedział stłumionym głosem.

Znalazłszy się w środku zrzuciłam płaszcz, ukrywając dłoń za plecami. Byłam tak przepelniona nienawiścią, że moja dusza wydawała się równie ślepa i ciężka jak kamień. Brem nalał wina; ale nie przyjęłam kieliszka. Mój głos brzmiał martwo; rzuciwszy mi badawcze spojrzenie Brent spytał, czy dobrze się czuję.

- Znakomicie - odparłam.

Odstawił wino i ruszył ku mnie, ale odsunęłam się. - Najpierw - powiedziałam - chcę się dowiedzieć o córce. Stał jak wryty.

- Nie masz córki - powiedział po przerwie. - To było oszustwo.

- Nie wierzę ci.

- Przysięgam, że to prawda - odparł. - Gdy poszłaś na badanie, kazałem technikowi powiedzieć ci, że jesteś w ciąży. Ale nie byłaś. Kiedy natomiast miałaś się poddać implantacji, uspił cię i po prostu czekał, aż się obudzisz.

Coś takiego, uzmysłowiłam sobie, było w jego stylu. A przecież mógł być również dość sprytny, żeby wymyślić całą tę historię i tym sposobem mieć na mnie haka, o którym poinformuje mnie, gdybym stała się krnąbrna. - Ale możesz mieć dziecko - oświadczył sunąc ku mnie bokiem. - Nasze dziecko, Carolyn. Chciałbym tego, bardzo bym chciał. Zdawało się, że ma trudności z wypowiedzeniem następnych słów, ale na koniec je wydusił:

- Kocham cię.

Jaką zwyrodniałą postać, zastanawiałam się, przybrała w jego umyśle miłość?

- Naprawdę? - zapytałam.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć - powiedział. - Chyba nie potrafisz zrozumieć nacisków, jakie na mnie wywierano, żądań, które zmusiły mnie do działania. Ale przysięgam ci, Carolyn, zawsze się o ciebie troszczyłem. Wiedziałem, jak jesteś tłamszona przez Reynoldsa. Nie pojmujesz? Do pewnego stopnia działałem dla twego dobra. Chciałem cię wyzwolić. Wypowiedział to wszystko tym samym zawodzącym tonem, podsuwając się coraz bliżej, tak blisko, że czułam jego gorzki oddech. Położył mi rękę na piersi, uniośł ją... Może i kochał mnie na swój sposób, bo jego dotyk wydawał się czuły. Ale mój nie był.

Położyłam mu na karku blado jarzącą się prawą dłoń. Wrzasnął, zeszywniał i, och! jakże się poczułam usłyszawszy ten wrzask! Jego ból był jak muzyka. Zachwiał się w tył, runął na jeden ze świecących foteli i wijąc się leżał tam, wczepiony pazurami w szyję. - Gdzie ona jest? - zapytałam klękając obok niego.

Ślina pociekła spomiędzy jego zaciśniętych zębów.

- Zzz...najdę ją, sprowadzę... och!

Zrozumiałam, że absolutnie nie mogę mu ufać. Zdesperowany powie cokolwiek. Może nawet sprowadzić czyjeś dziecko. Dotknęłam jego brzucha, pogrążając w ciało czubki palców, a potem przebierając nimi. Znow wrzasnął. Krew splamiła przód jego kombinezonu. - Gdzie ona jest? - Nie myślałam więcej o dziecku; było stracone.

Dręczyłam go tylko.

Mówił niespójnie, próbował wygiąć się w łuk. Pokazałam mu swoją dłoń, rozjarzoną, a jemu oczy wyszły z orbit.

- Wciąż mnie kochasz? - zapytałam dotykając jego genitaliów, zaginając palce, pociągając za jakieś włókno.

W jego gardle gulgotała udreka, gdy ściskając ciało rękami zwinął się w kłębek wokół swego bólu.

Nie mogłam przestać go dotykać. Dyrygowałam jego wrzaskami, wydobywając zeń to długie, to krótkie albo też takie, co brzmiały wysiłonym chropawym tonem. Moja nienawiść była uczuciem odległym. Nie czułam wściekłości ani uciechy. Byłam tylko fachowcem, który pracował nad przedłużeniem mu agonii. Różowa mgiełka spowiła białka jego oczu, purpura zabarwiła zęby i na koniec legł nieruchomo.

Zdaje się, że siedziałam obok niego przez długi czas. Potem włożyłam płaszcz i wróciłam do mojego apartamentu. Upewniwszy się, że w korytarzu nie ma nikogo, wyciągnęłam strażnika z pokoju i oparłam go o ścianę. Ustawiłam zamek, weszłam do środka i drzwi zasunęły się za moimi plecami. Nic nie czułam. Wróciłam do Śmiałego kochanka, ale straciłam dlań całe zainteresowanie. Gapiłam się na ściany, coraz bardziej wyprana z myśli; pamiętałam tylko, że gdzieś byłam i dopuściłam się jakiejś przemocy; ognista dłoń wprawiała mnie w zakłopotanie. Ale

wkrótce zasnęłam i kiedy zostałam rozbudzona przez otwierających drzwi strażników, przekonałam się, że dłoń wróciła do normy.

- Czy słyszałaś coś na zewnątrz? - zapytał jeden ze strażników.

- Nie - odparłam. - A co się stało?

Opowiedział mi w krwawych szczegółach o martwym strażniku i Brencie. Jak wszyscy na Stacji Helios, wydawał się bardziej zбитy z tropu tymi niepojętymi zgonami, niż poprzedzającym je aktem fantastycznych narodzin. „Ściany stacji zostały wyłożone płytami złota, korytarze roją się od turystów i badaczy przybyłych studiować dyscypliny wywodzące się z Równań, dyscypliny sięgające o wiele dalej niż cudowna transformacja mojej dłoni. Sklepy z pamiątkami sprzedają hologramy Pająka, nagrania „Cyklu Białego Smoka” (używane teraz do oswojania dzieci z podstawami Równań) i autoryzowane historie smutnych wydarzeń towarzyszących ujawnieniu się Pająka. Kopuły rekreacyjne rozbrzmiewają pływami Alexa Dulambre’a, a w stworzonym do tego celu audytorium klon Reynoldsa wygłasza codzienne wykłady o zawikłanych okolicznościach swej śmierci i triumfu. To miejsce jest na pół lunaparkiem, na pół świątynią. A jednak nie tu wzniesiono dokonaniom Reynoldsa największy pomnik; ten unosi się za orbitą Plutona i jest olbrzymią ruchomą strukturą złotego światła, którą zasiedlają ci badacze, co opanowali już owe dyscypliny i przełamali okowy cielesności. Zajęci są, jak się mówi, niepojętą pracą, która zaczerpnęła może inspirację z metafizycznych eskapad wyobraźni Reynoldsa lub - a wielu upiera się przy tej właśnie opinii - realizuje zamysł Pająka, jego pragnienie pozbycia się ludzkiej plagi poprzez pchnięcie jej nowym szlakiem ewolucyjnym. Po śmierci Brenta miałam zamiar przyłączyć się do nich, ale mój umysł nie okazał się zdolny do opanowania dyscyplin; całą moc, jaką mogłam z siebie wykrzesać, roztrwoiłam pozbywając się Brenta. Postanowiłam kontynuować poszukiwania mojej córki. Może być, iż - jak utrzymywał Brent - wcale nie istnieje; tylko to mi jednak pozostało i na tym przeświadczeniu oparłam decyzję. A jednak nie zdołałam opuścić stacji, bo przyciąga mnie klon Reynoldsa. Wciąż i wciąż siadam w tylnych rzędach audytorium i obserwuję, jak przemierza podium prowadząc wywód z właściwą sobie swadą i podnieceniem. Pragnę się doń przybliżyć i stwierdzić, jak bardzo przypomina prawdziwego Reynoldsa. Jestem pewna, że wypatrył mnie kilkakrotnie; zastanawiam się, co myśli i co bym odczuła przemówiwszy doń albo go dotknąwszy. Może to perwersyjne z mojej strony, ale nie mogę przestać rozmyślać...”

Dni w Słońcu

Carolyn Dulambre

Pragnąłem z nią porozmawiać, odkąd... cóż, odkąd zaczęło się to osobliwe życie. Dlaczego? Kochałem ją, to po pierwsze. Ale zdawało się, że jest jeszcze powód daleko bardziej nieodparty, którego nie potrafię ująć w słowa. Jakiś czas tłumiliem w sobie to pragnienie nie chcąc sprawiać jej bólu, ale zauważywszy, iż poczęła przychodzić na wykłady, zdecydowałem w końcu podjąć próbę zbliżenia.

Zaczęła bywać w kopule rekreacyjnej zwanej „U Pająka „. Jej ściany były holograficznymi wizerunkami Pająka i łączyły się ze sobą złotą siecią, która na czarnym tle zdawała się żarzyć jak smugi nieziemskiego ognia. W złocistej mgiełce twarze klientów promieniowały jak zjawy, a gwałtowność muzyki zdawała się podkreślać to promieniowanie. Nie był to lokal w moim guście ani, jak podejrzewam, w jej. Może wizyty tutaj były formą manifestowania odwagi, stawiania czoła istocie, która sprawiła jej tyle bólu.

Znalazłem ją usadowioną w najdalszym kącie; popijała Amouriste, a kiedy podszedłem do jej stolika, nie zwróciła na mnie uwagi. Nikt się do niej nigdy nie zbliżał; była takim samym pomnikiem jak stacja i choć pozostawała wciąż piękną kobietą, traktowano ją jak żonę świętego. Niewątpliwie uznała, że przystanęłam koło jej stolika, rozglądając się za kimś. Ale kiedy usiadłem naprzeciwko niej, podniosła wzrok i rozchyliła usta.

- Nie bój się - powiedziałem.

- Dlaczegoż miałabym się bać?

- Sądziłem, że moja obecność może... być dla ciebie kłopotliwa.

Patrzyła mi w oczy bez zmruczenia powiek.

- Zdaje mi się, że też tak myślałam.

- Ale...

- To nieważne.

Narastała między nami cisza.

Miała na sobie suknię ze złotego jedwabiu z dekoltem eksponującym zaokrąglenie piersi, a szesane do tyłu włosy nie zasłaniały gładkich pogodnych linii jej piękna, piękna, które kiedyś rozpalało mnie... i rozpalało mnie nawet teraz.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Z jakiegoś powodu ciągnie mnie, by z tobą pomówić; czuję, że mam...

- Odczuwam to samo. - W jej słowach było wiele pasji, którą zaraz spróbowała ukryć. - O czym będziemy mówić?

- Nie jestem pewien.

Stukała palcem w kieliszek.

- Może się przejdziemy?

Wszyscy się nam przyglądali, gdy wychodziliśmy, a kilka osób podążyło za nami na korytarz i okoliczność ta skłoniła mnie do wystąpienia z sugestią, że lepiej będzie pomówić w moim mieszkaniu. Zawahała się, a potem ledwie dostrzegalnym skinięciem wyraziła zgodę. Szybko przebiliśmy się przez tłumy, gubiąc prześladowców, a potem ruszyliśmy wolniejszym krokiem. Od czasu do czasu przyłapywałem ją na wpatrywaniu się we mnie; pytałem wówczas, czy coś jest nie w porządku. - Nie w porządku? - Zdawała się smakować te słowa, próbować. - Nie - powiedziała. - Nie bardziej niż zwykle.

Sądziłam, iż po rozmowie z nim przekonam się, że jest ledwie falsyfikatem, że w niczym - prócz rzeczy najbardziej powierzchownych - nie będzie przypominał Reynoldsa. Ale było inaczej.

Krocząc tym złotym korytarzem w tłumie turystów przelewających się ze sklepów pamiątkarskich do barów, czułam się przy nim tak samo jak owego dnia, gdyśmy się poznali w Abidżanie: ogromnie przyciągana, krucha i przejęta. A przecież wyczuwałam jednak w nim różnicę.

Jakkolwiek obecność Reynoldsa była dominująca i intensywna, w intensywności owej odczuwało się coś kruche: wrażenie, iż jego diamentowy połysk może łatwo zostać skażony. Z tym Reynoldsem nie miało się wrażenia podobnej niestałości. Obecność jego - choć potężna - była gładka, naturalna i wolna od ułomności. Co krok natykaliśmy się na owoce Równań: przekaźniki materii, salony odrodzeń, w których można doświadczyć tak transformacji ciała, jak i duszy; oraz wszechobecnych badaczy, niektórych na poły przeniesionych w stan transkorporealny i spowitych w płaszcze, by fakt ten ukryć, ale zdradzających się oczami skierowanymi gdzieś w głąb własnej istoty. Mając u boku Reynoldsa postrzegałam to wszystko jako zrozumiałe, nie zaś - jak dawniej - jako festiwal bezsensownych nieprawdopodobieństw.

Zapytałam, co czuje widząc rezultaty swej pracy, a on odrzekł:

- Naprawdę zupełnie mnie to nie obchodzi.

- A co cię obchodzi?

- Ty, Carolyn - odrzekł.

Ta odpowiedź sprawiła mi przyjemność i jednocześnie zaniepokoiła.

- Na pewno masz na głowie sprawy istotniejsze. - Wszystko, co uczyniłem, uczyniłem dla ciebie - przez jego twarz przebiegł wyraz zakłopotania.

- Nie graj przede mną ! - warknęłam z rosnącym gniewem. - To nie jest występ, to nie jest audytorium.

Otworzył usta, ale zatrzymał dla siebie to, co chciał powiedzieć, i szliśmy dalej.

- Wybacz - powiedziałam uświadamiając sobie zmieszanie, w jakie musiał popaść. - Ja...

- Nic tu nie ma do wybaczenia - powiedział. - Wszystkie nasze omyłki mamy już za sobą.

Nie wiem, skąd płynęły te słowa. Były moimi słowami, a przecież zdawały się zarazem dochodzić z jakiegoś miejsca w głębi mej istoty, miejsca, którego istnienie było dotąd skrywane, a ja sam mogłem tylko te słowa powstrzymywać. Doszliśmy do górnych poziomów stacji, gdzie mieszkał personel stały, i minawszy zakręt nieomal wpadliśmy na zagapionego w ścianę nieruchomego badacza: bladego czarnowłosego młodzieńca o wąskich ustach, spowitego w szarą pelerynę. Jego oczy wyglądały jak martwe, głos brzmiał grobowo.

- Ono czeka - powiedział.

Są tak pogrążeni w kontemplacji, ci badacze, że mówią najdziwniejsze rzeczy. Niektórzy dostrzegają w nich wyroczenie, ale ja nie: ich słowa sprawiają wrażenie przypadkowych, jak iskry z wystrzępionego przewodu. - Co czeka? - zapytałem zaciekawiony.

- Życie... miasto.

- Ach, tak - powiedziałem. - A jak się tam dostać?

- Ty... - zagapił się na mnie z otwartymi ustami. Carolyn pociągnęła mnie i ruszyliśmy dalej.

Zacząłem żartować z tego spotkania, ale powstrzymałem się widząc na jej twarzy zakłopotanie.

Gdy weszliśmy do mieszkania, stanęła na środku bawialni, zdumiona widokiem ścian.

Zaprogramowałem je, by ukazywały pejzaż z początków Śmiałego kochanka: bezkres złocistych traw i migotanie na horyzoncie, które mogło być błyskiem jakiejś promiennej wieżycy. - Niepokoi cię to? - zapytałem ukazując gestem ściany.

- Nie, oszałamia, to wszystko.

Ruszyła wzdłuż nich zapatrzona w trawy, jakby próbując kogoś dostrzec w ich gęstwie. Potem odwróciła się, a ja przemówiłem znowu z tego ukrytego głęboko miejsca, które teraz - reagując na widok jej obrysowanej złotym bezkresem postaci - rozlewało się po całej mej istocie. - Carolyn, kocham cię - powiedziałem... i tym razem dobrze wiedziałem, kto mówi.

Zdjął płaszcz, a jego ciało migotało, spowite w tę bladą poświatę, co niegdyś uczyniła z mojej dłoni broń. Przerazona cofnąłem się. Ale nawet ogarnięta strachem pojmowałam, że nie jestem tak przerażona, jak być powinnam, że wcale nie myślę o wrzasku czy ucieczce. - To ja, Carolyn - powiedział.

- Nie - zaprzeczyłam, cofając się dalej.

- Nie wiem, czemu miałabyś mi uwierzyć. - Popatrzył na swą migocącą dłoń. - Aż do tej chwili sam tego nie rozumiałem. - Kim jesteś? - zapytałam oceniając odległość do drzwi. - Ty wiesz - odparł. - Pająk... przenika całą stację. Jest w komputerze, w laboratoriach, nawet w zbiornikach, z których pobrano do rozrostu moje komórki. To on nas znowu połączył. Spróbował mnie dotknąć, ale odskoczyłam w bok.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział.

- Widziałam, co może zrobić taki dotyk.

- Ale nie mój dotyk, Carolyn.

Wątpiłam, czy zdołam dobiec do drzwi, ale gotowałam się do podjęcia próby.

- Posłuchaj mnie, Carolyn - powiedział. - Wszystko, czego chcieliśmy na początku, wszystkie marzenia i ułudy miłości, mogą należeć do nas. - Nigdy ich nie pragnęłam - odparłam. - To ty ich chciałeś ! Ja pragnęłam normalności a nie jakiejś...

- Wszyscy kochankowie chcą tego samego - powiedział. To rozczarowania prowadzą ich do udawania, że chcą mniej. Wyciągnął ku mnie ramiona. - Wszystko na nas czeka, wszystko zostało przygotowane. Jak to się stało, nie potrafię wyjaśnić. I tylko wydaje mi się odrobinę zabawne, że

ostatecznym rezultatem nauki jest niepojęta magia. Wciąż się bałam, ale mój strach malał, usypiany rytmem jego słów i choć odbierałam go jako śmierć, widziałam również jasno, że jest Reynoldsem, Reynoldsem stworzonym na powrót.

- To było nieuniknione - powiedział. - Oboje wiedzieliśmy, że stanie się coś cudownego... oto dlaczego mimo wszystko pozostawaliśmy ze sobą. Nie lękaj się. Nie zdołam cię skrzywdzić bardziej, niż już skrzywdziłem. - Co jest nieuniknione? - zapytałam. Był za blisko, abym mogła marzyć o ucieczce, więc pomyślałam, że jeśli zagram na zwłokę, odwrócę pytaniami jego uwagę.

- Nie czujesz tego? - Był teraz tak blisko, że czułam jego żar. - Nie mogę ci powiedzieć, co to jest, Carolyn; wiem tylko, że to życie... nowe życie.

- Pająk - powiedziałam. - Nie rozumiem, ja...

- Dość pytań - uciał zsuwając suknię z moich ramion. Jego dotyk był cieplejszy od naturalnego, ale nie spowodował bólu, a tylko sprawił, że opadły mi powieki. Pociągnął mnie na podłogę i w oka mgnieniu był we mnie, i poruszaliśmy się razem, serce przy sercu, omotani bladą migocącą poświatą, a wśród rozkoszy poczułam ból, tak jednak niedokuczliwy, że nie miał żadnego znaczenia... ... i ja też się bałam, bałam się, że nie jestem tym, za kogo się uważam, że unicestwiają nas płomienie i nicość, ale skoro posiadałem ją raz jeszcze i zaspokoilem długotrwałe pragnienie, wątpliwości osłabły... ... a ja nie potrafiłam już powiedzieć, czy moje oczy są zamknięte, czy otwarte, bo chwilami, kiedy sądziłam, że są zamknięte, widziałam go, twarz złagodniałą w rozkoszy, odrzuconą głowę...

... a kiedy wydawało mi się, że są otwarte, dostrzegłem przelotnie inne miejsce, w którym stała u mego boku, a obrazy te były zrazu zbyt krótkie, żeby utrwalić je w duszy...

... i wszystko wirowało, zmieniało się, moje ciało, dusza, wszystko w przepływie, a śmierć - jeśli to była śmierć - miała postać długiego stoku, powodzi złotego promieniowania, z tyłu zaś dostrzegałam przeszłość zredukowaną do równiny i wzgórz wysłanych dywanem złotych traw... ... i miałem wokół siebie złote migocące wieże, które z sekundy na sekundę krzepły w ostateczną formę, i ludzi w oparach złotej mgły, którzy również stawali się prawdziwi, wyposażeni w blizny, łachmany, kosztowne szaty, z koszykami i workami w dłoniach...

... i nie był to raj, żadne spokojne niebiosy, gdy bowiem wędrowaliśmy pod tymi murszejącymi wieżami z żółtego kamienia, dojrzałam na blankach wojowników z osobliwie ukształtowanymi włóczniami, a otaczający nas tłum składał się z zaciętych mężów i niewiast zbrojnych w przytroczone do pasa sztylety, starych bab zgiętych we dwoje pod brzemieniem worków z towarami oraz młodszych kobiet o zmarnowanym wyglądzie, które wychylone z drzwi i okien wywrzaskiwały swoją cenę...

... a słońce nad głową zdawało się poruszać, wyciągając rozedrgane i falujące jak w tańcu macki, i posłało w dół promień, aby oświetlić najwyższą z wież, tę, której szukaliśmy przez wszystkie owe lata; tę, której tajemnicę musieliśmy rozwikłać...

... nad tłumem unosił się przejrzysty wizerunek starca w żółtej szacie, którego oczy zdawały się wędrować, śląc takie same jak słońce ogniste smugi; i przemawiał zachęcając nas wszystkich, byśmy wdarli się do jego wieży i przewyciężywszy pułapki wykradli sekrety czasu... ... a po całodniowej wędrówce znaleźliśmy izbę w karczmie odległej o mniej niż pół mili od wieży czarnoksiężnika, ohydną norę o zapleśniałych ścianach, z dziurami w kątach i materacami ze słomy, które chrzęściły, kiedy się na nich kładliśmy. Ale to było 0 wiele, wiele więcej, niżśmy mieli od dawna, więc byliśmy zachwyceni, a kiedy zapadła noc, kiedy blask księżyca wlał się do izby, a w oknie wieża czarnoksiężnika zarysowała się na tle granatowego nieba, zdało się nam, że jesteśmy w pałacu. Kochaliśmy się prawie do przedświt i to tak, jak nigdy dotąd tego nie robiliśmy: gwałtownie, wyzbyci wszelkich zahamowań. A potem, gdy wciąż złączeni słuchaliśmy

wrzasków i muzyki miasta, przypomniałem sobie nagle życie w tamtym świecie. Pajaka, stację Helios, wszystko, a z wyrazu napięcia na twarzy Carolyn i z jej następnych słów pojąłem, że ona także wspomina. - Tam, na Heliosie - powiedziała - też się kochaliśmy i leżeliśmy właśnie tak... - urwała, a na jej czole zakłopotanie nakreśliło zmarszczkę. - A jeśli to wszystko jest snem, chwilą między umieraniem a śmiercią?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Pająk... nie wiem. Ale wydało mi się, że tak jest. - Różnorodniejszy jest wniosek, że to wszystko jest formą przejścia z tamtego mieszkania do tej izby. A poza tym dlaczego Pająk miałby pragnąć twojej śmierci?

- A dlaczego zrobił wszystko, co zrobił? Nie wiemy nawet kim jest... demonem, bogiem.

- Albo czymś ze mnie - powiedziałem.

- Tak, tym... albo śmiercią.

Pogładziłem ją po włosach i jej powieki opadły.

- Boję się zasnąć - powiedziała.

- Nie martw się - odrzekłem. - Jest w tym coś więcej niż śmierć.

- Skąd wiesz?

- Z tego, jak ze sobą jesteśmy.

- Dlatego właśnie myślę, że to śmierć - powiedziała. - Bo jest zbyt dobre, aby mogło trwać.

- Nawet jeśli to śmierć - powiedziałem - może w tym miejscu trwać dłużej niż nasze dawne życie.

Oczywiście, sam też niewiele miałem pewności, ale zdołałem ją ukoić i wnet zasnęła. W prostokącie okna wieża czarnoksiężnika - jeśli w istocie tym właśnie była - jarzyła się i falowała, ożywiona potęgą, budząca grozę swą jasnością. Ale i lęk miałem już za sobą. Nawet w obliczu czegoś tak niezgłębionego jak powołana może do istnienia człowieczym snem istota, która zawłaszczywszy ów sen wymodelowała swemu stwórcy życie albo śmierć, nawet w świecie pytań bez odpowiedzi, kiedy jest się pewnym miłości miłości: jedyne pytanie będące zarazem odpowiedzią - wszystko staje się dość proste i jest, w końcu, tylko kwestią akceptacji.

„Żyjemy w odwiecznym chaosie słońca”

Wallace Stevens

Lucius Shepard

Szklany smok

Miłość może być bardzo kruchą rzeczą, równie kruchą jak delikatny, szklany smok, którego szklarz wydmuchał dla młodej kobiety, zamierzającej go porzucić. A jednocześnie może być równie czarodziejska (lub zaczarowana) jak ten smok. Na plaży Florydy, na południe od Fort Myers, w bungalowie krytym dachówkami i stojącym pośród palm, mieszkał dmuchacz szkła nazwiskiem Carter McCrae, szczupły, siwowłosy mężczyzna około pięćdziesiątki, którego opalona, pokiereszowana bliznami twarz wyrażała cynizm będący wynikiem dwóch nieudanych małżeństw i licznych krótszych związków. W warsztacie za bungalowem Carter tworzył delikatne cuda, poszukiwane przez muzea całego świata; jednak nie czerpał duchowej satysfakcji ze swojej pracy, ponieważ wierzył, że każda ludzka działalność - artystyczna, polityczna czy interpersonalna - może być tylko płytka, tylko ułomna. Najczęściej mieszkał sam, ale od czasu do czasu jakaś kobieta dzieliła z nim bungalow. Niektóre zostawały na noc, niektóre na tydzień, niektóre na miesiąc czy dwa. Zwykle były całkiem młode - co można tłumaczyć jego kompleksem Elektry. Obecna towarzysząca, Sharon, miała dwadzieścia cztery lata, rude włosy, jasną cerę i wrażliwe rysy, zdradzające brak doświadczenia. Przez ostatnie dziewięć miesięcy podróżowała po Ameryce Centralnej - jak mówiła, szukając życiowego celu. Carter wątpił w powodzenie tego zamiaru;

przewidywał, że Sharon zdecyduje się na konwencjonalne małżeństwo i będzie dręczyć jakiegoś nieszczęśnika tak samo, jak jego dręczyły dwie poprzednie żony. Podobnie jak jego wyroby ze szkła, była śliczna i pusta w środku.

Wprawdzie Sharon miała znacznie mniej doświadczenia życiowego, ale była równie rozczarowana jak Carter, również na skutek swobodnego trybu życia (o ile zgadzacie się z opinią, że zbytne folgowanie własnym zachciankom nieuchronnie prowadzi do rozczarowania). Sharon była prawdziwym dzieckiem lat osiemdziesiątych, uznającym tylko wartości materialne, wykazującym modną niechęć do wartości duchowych i związków opartych na uczuciach. Chyba właśnie to podobieństwo poglądów, to połączenie nudy i cynizmu przyciągnęło ich do siebie. Przez jakiś czas udawali, że są zakochani, a różnica wieku między nimi nie istnieje. Oboje wiedzieli, że udają, i dlatego prowadzili ze sobą rozgrywki, wymieniali fałszywe namiętności na przysięgi niezależności i obserwowali wyniki. Ale pod koniec miesiąca Sharon zaczęła wykazywać oznaki zniecierpliwienia; zauważywszy je Carter - który wpadł w pułapkę, próbując przełamać jej obojętność, co skłoniło go do przybrania nazbyt ojcowskiej pozy - stał się milczący i zamknięty w sobie, i codziennie spędzał coraz więcej czasu w warsztacie, wznosząc mur obronny przed nadchodzącym zerwaniem. Wiedział, że to będzie trudne: nawet udawanie miłości wymagało emocjonalnego zaangażowania, które otwarło go na ból.

Sharon mieszkała już z nim od miesiąca, kiedy pewnego ranka obudziła się z silną gorączką. Tego rodzaju dolegliwości są niewątpliwie spowodowane przez wirusa, ale przychodzą i odchodzą tak nagle, jakby zasiał je zmienny wiatr, dmuchający przez człowieka na wylot. Carter przygotował jej posłanie w cieniu, pod wystającym dachem bungalowu, przyniósł czasopisma i sok owocowy. Potem usiadł obok, zabawiał rozmową i szkicował jej usta; miała lekko wystające przednie zęby, co nadawało twarzy wyraz podniecającej bezbronności, a on chciał to skopiować na twarzy szklanego anioła, którego zamierzał stworzyć. Patrząc na jego rękę, biegnącą po papierze, nagle dostrzegła w nim dobrego, mocnego człowieka i powiedziała tęsknie, w zamyśleniu:

- Chciałabym cię kochać.

Zesztywniał.

- To świństwo tak mówić! - warknął i ruszył w stronę warsztatu. Ale po kilku krokach przystanął, zawrócił i usiadł obok niej na piasku. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Dlaczego nie możesz? - zapytał. - Z powodu mojego wieku? Sharon zwykle starannie unikała takich intymnych tematów, teraz jednak wdzięczność w połączeniu z gorączką, przez którą czuła się jak bezsilny i rozgoryczony rozbitek, skłoniły ją do szczerości.

- Chyba tak - odpowiedziała. - Kiedy się kochamy, wcale o tym nie myślę. Ale później... zaczynam się zastanawiać, jakie to dziwne, że kochałam się z kimś o tyle starszym. Czasami mówię sobie: „Kiedy on będzie miał sto lat, ty będziesz miała siedemdziesiąt sześć”, i to wydaje się całkiem rozsądne. To znaczy, nasz związek. Ale potem myślę, że kiedy tobie stuknie sześćdziesiątka, ja będę miała dopiero trzydzieści sześć lat, i to jest trochę bez sensu. - Przełknęła, bo zaschło jej w gardle. - Przykro mi. Carter studiował kruchą doskonałość jej rysów: linie wokół ust delikatne jak rysy na steatycie; powieki tak cienkie, że w pewnym oświetleniu wydawały się przezroczyste; kości policzkowe tak ostre, że omal nie przebiły skóry. Pomyślał, że gdyby zdołał odtworzyć w szkłe ten rodzaj doskonałości, wszystkie lata pracy nie poszłyby na marne. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała podejrzewając, że Carter chce ją wyrzucić; nie czuła się dość dobrze, żeby maszerować na piechotę do miasta. - Po prostu myślę, jaka jesteś ładna.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Wcale nie jestem ładna!

- Oczywiście, że jesteś. - Zachichotał. - Zdumiewające, jak wiele pięknych kobiet ma o sobie kiepską opinię. Zupełnie jakby uważały, że jeśli mają urodę, to nie zasługują na nic więcej. Jak ty. Uparcie zaprzeczasz swoim zdolnościom...

- Nie mam żadnych zdolności. Jestem tylko kawałkiem dupy!

- To nieprawda - zaprotestował, zaskoczony jej wybuchem.

Wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, jak się zabawiałam w Nowym Jorku? Zrobiłam się na punka. Nosiłam suknię ze srebrnej lamy, trupi makijaż i pas z promiennikiem. Włosy w szpice. I chodziłam do dyskotek. Zaliczyłam wszystkie. Kamikaze, Palladium. Nazwałam się Futurystyczną Dziewczyną. Bramkarze lubią, kiedy jesteś kimś specjalnym; chętniej cię wpuszczają. Więc zostałam Futurystyczną Dziewczyną. Odmierzałam swoje życie gazetowymi nagłówkami. Futurystyczna Dziewczyna Daje Dupy W Toalecie Palladium. Futurystyczna Dziewczyna Niucha Kokę Z Pokrywy Sedesu, A Kierownik Reklamy Wali Ją Od Tyłu. Futurystyczna Dziewczyna Obciąga Druta Czterem Świrom Z Nowej Fali. - Wypluła to wszystko jak strumień żółci i była zdumiona, że nie okazał zgorszenia.

- Dlaczego to robiłaś?

- Uwielbiałam to! To byłam ja!

- Więc dlaczego przestałaś?

- Natrafiłam na nagłówek, którego nie mogłam znieść. Sharon popatrzyła na zatokę.

Spokojna toń miała stalowoniebieską barwę, tylko na horyzoncie błyszczało karmazynowe odbicie zachodzącego słońca. Brodźce grzebały w brązowym błocie wzdłuż linii przyływu. Carter czekał na wyjaśnienie, ale ona milczała. Wreszcie zapytał o ten nagłówek.

- Futurystyczna Dziewczyna Zgwałcona. - Nie umiała spojrzeć mu w oczy. - Od tamtego czasu jesteś pierwszym facetem, z którym to robiłam. A to znaczy, że znowu jestem Futurystyczną Dziewczyną.

- To wcale nie musi być tak.

- Nie rozumiem - oświadczyła. - Jak możesz zaprzeczać, skoro ja tak mówię? Ty też masz nie najlepszą opinię o sobie.

- Tak - przyznał po chwili. - Racja. Robiłem poniżające rzeczy... chociaż tym się nie przejmuję. Patrzę na to z dystansu. Mój problem polega na tym, że się boję. - A czego?

- Kiedy miałem dwadzieścia parę lat, trochę podróżowałem na własną rękę. Europa, Ameryka Południowa. Pewnego razu trafiłem do małego miasteczka na południu Meksyku, San Cristobal de la Cases. Zamieszkałem u jednego starszego faceta, który przygarniał wszystkich przybłądów. On był pisarzem, przeżył kilka okropnych małżeństw i właściwie spisał własne życie na straty. Co wieczór siadywaliśmy całą gromadą przy jego kominku i gadaliśmy. I prędzej czy później John - tak miał na imię - zaczynał nam opowiadać o swoich wizjach przyszłości. Rozmawiał z Jezusem i miał niezwykle wyraziste sny o Apokalipsie. Armie ludzi świecących od radioaktywności, które walczą na dnie wyschłych mórz i tak dalej. John był romantyczną postacią. Pisaliśmy o nim w pamiętnikach. Tym dla nas był... wstępem do pamiętnika. - We wspomnieniu zobaczył zgorzkniałą twarz Johna i usłyszał jego ponury głos.

- Ty nie masz wizji.

- Nie, ale pod każdym innym względem upodobiłem się do niego. Jestem tylko młodszy. Daj mi parę lat, a na pewno wymyślę jakąś obsesję.

- Chciałabym... chciałabym pomóc.

- Pomogłaś. Piękno zawsze pomaga.

Sharon nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Wreszcie zapytała:

- Chcesz się kochać?

- Raczej nie. Oboje wiemy, że niedługo odejdziesz.

- Co ma jedno do drugiego?

Zirytowany Carter wstał.

- Nie potrzebuję pieprzenia z litości. Takie jak ty przyjeżdżają każdym autobusem. Przeciągnął ręką po oczach.

- Przepraszam. Słuchaj, dobrze nam było ze sobą. Niech tak zostanie, dobrze?

- Dobrze... skoro tego chcesz.

- Idę popracować. Zrobię ci prezent na pożegnanie, okay? Masz jakieś specjalne życzenie?

Fala gorączki przepłynęła przez nią i przyniosła odpowiedź z niezbadanych głębi.

- Zrób mi smoka.

- Dlaczego smoka?

- Nie wiem... Może dlatego, że smoki nie istnieją. Carter nie miał nastroju do czegoś tak skomplikowanego jak smok. Postanowił zrobić jakąś abstrakcję. Nazwie to „Smok”. Ale kiedy przyczepił gruby bąbel płynnego szkła do końca piszczeli, całkowicie stracił natchnienie. Wyszedł z warsztatu, żeby strząsnąć bąbel na piasek. Słońce prawie zaszło, smuga ognia na horyzoncie; w ostatnich blaskach dnia. Włosy Sharon przybrały barwę płomienia, skóra jak kość słoniowa zaróżowiła się od ognia. Na jej widok Carter poczuł smutek i tęsknotę. Wyobraził sobie na chwilę, że podobnie jak muzyk potrafi stworzyć melodię doskonale wyrażającą jego uczucia, podniósł piszczel do ust, zamknął oczy i dmuchnął. W oczach Sharon pęczniący bąbel, wzniesiony ku umierającemu słońcu, wyglądał jak kula czerwonego ognia. Jak skrzydlaty, ruchliwy kształt, próbujący oderwać się od szklanej łądy, z której się rozwijał. Zamrugła oczami i pomyślała, że przeżywa halucynacje wywołane gorączką, ponieważ wiedziała, że tak skomplikowanego przedmiotu nie można wydmuchać jednym oddechem. Ale kształt nie zniknął, przeciwnie, nabierał coraz większej wyrazistości, wysunął długą, wygiętą szyję i ogon, potem wąski jaszczurczy łeb. Przezroczysta figurka, nie większa od kota, była ledwie widoczna, ale Sharon nie miała żadnych wątpliwości: to był smok.

Carter wciąż nie otwierał oczu, chociaż wiedział, że dzieje się coś niezwykłego. Zdawało mu się, że ma w płucach niewyczerpany zapas powietrza, w gardle wyczuwał kształt powstającego przedmiotu. A kiedy wreszcie otworzył oczy, nawet się nie zdziwił na widok smoka, który ostrym skrzętem zerwał się ze szklanej uwięzi i wzbił się w niebo, z gracją machając skrzydłami, stopniowo nabierając wysokości. Wypukłe oczy smoka migotały niczym feralne klejnoty, wąski brzuch zdawał się wypełniony ogniem, a z każdej łuski buchała karmazynowa energia.

Smok zaczął zataczać koła nad Sharon i Carterem, krążył po coraz mniejszej orbicie, a oni przysuwali się do siebie coraz bliżej, przyciągani nieodpartą siłą, niczym szczątki rozbitego statku wessane morskim wirami. Wreszcie stanęli obok siebie, zapatrzeni w smoka, który wówczas wykonał serię skomplikowanych pętli nad ich głowami, przypominających płynne ruchy rąk czarnoksiężnika nad dymiącym pentagramem. Przez sekundę unosił się nie dalej niż na wyciągnięcie ręki; przyglądał im się uważnie, jakby oceniając wyniki swojej pracy. Sharon nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Smok był doskonały w każdym szczególe, jego szklane szpony krwawiły się czerwienią zachodzącego słońca, kły błyskały, delikatny pyszczek rozciągał się w krwiożerczym uśmiechu, wyrażającym nieklamana satysfakcję. Sharon odwróciła się do Cartera i ujrzała w jego twarzy niezłomny męski upór, w którego istnienie niedawno powątpiewała. Zrozumiała, że stworzył dla niej tę magiczną istotę powodowany głębokim uczuciem, jakiego nie spodziewała się napotkać, a zrozumiawszy, odwzajemniła to uczucie w pełni. Carter natomiast odkrył, że Sharon dostarczyła mu podstawowego materiału, z którego stworzył smoka, że zapaliła w nim isierkę prawdziwego uczucia, którą jego oddech rozbudził do życia, a którą ona ukształtowała swoim życzeniem, swoją czarodziejską mocą, mocą kobiety obdarzonej miłością. Smok zasyczał cichutko i wzbił się ponad czubki palm, rozszczepiając światło na miriady tęczyowych pryzmatów. Potem pomknął prosto w stronę zachodzącego słońca, którego skrawek wciąż wisiał nad horyzontem. Po chwili zniknął, a razem z nim znikło słońce, ogłaszając koniec dnia bladezielonym błyskiem, który przeszył nisko leżące chmury i trwał przez jeden oddech,

zanim zgasł niechętnie jak uparty sen. I jakby ten błysk był czystą wiedzą płynącą ze snów, Sharon i Carter uświadomili sobie, że magia zrodzona z walki pomiędzy stępną wrażliwością a niespokojną nadzieją jest nietrwała. Wkrótce oboje znajdą się w świecie odartym z magii; wkrótce będą musieli przemówić, przełamać czar płomiennej ciszy utkanej przez kolisty lot smoka; a wówczas zwyciężą w miłości lub przegrają. Łatwo mogą przegrać, ponieważ miłość jest iluzją kruchą jak szkło i promień słońca, którą trzeba nieustannie odnawiać. Ale na razie woleli o tym nie myśleć. Woleli spoglądać w dal za smokiem, za samotną prawdą ich życia, której żadne kłamstwa nie mogą przekreślić. Księżyc wzeszedł i rzucił srebrny blask na ciemne, spokojne wody zatoki. W oddali pierwsze gwiazdy wyłaniały się spoza białych, widmowych chmur. Sharon i Carter zwrócili się ku sobie i chociaż lekali się tego, co nadejdzie, noc rozpoczęła się bez błędu.

Przełożyła Danuta Górską